

JoANN ROSS
NA DOBRY
POCZĄTEK

Lokatorzy Bachelor Arms

Ken Amberson - nieco zdziwaczały administrator, który wie więcej na temat legendy Bachelor Arms, niż się do tego przyznaje.

Connor Mackay - mężczyzna, który nie chce zdradzić, kim jest naprawdę, i ukrywa swą tożsamość.

Caitlin Carrigan - policjantka, dla której nie istniało nic prócz kariery zawodowej, dopóki nie poznała scenarzysty Sloana Wyndhama.

Eddie Cassidy - barman „U Flynnna”, a także scenarzysta, który czeka na swój wielki dzień.

Jill Foyle - seksowna projektantka wnętrz. Świeżo po rozwodzie. Przeniosła się do Los Angeles, aby rozpocząć nowe życie.

Lily Van Cortland - wrażliwa kobieta o kochającym sercu, która jest skłonna wybaczyć wszystko oprócz zdrady.

Natasza Kuryan - podstarzała femme fatale, z pochodzenia Rosjanka. Ongiś charakteryzatorka gwiazd filmowych.

Brenda Muir - młoda entuzjastka. Marzy o karierze aktorki, a na razie zarabia na utrzymanie jako kelnerka.

Bobbie-Sue O'Hara - najlepsza przyjaciółka Brendy. Pracuje jako początkująca aktorka i kelnerka, lecz wie, że prawdziwą władzę ma ten, kto stoi z drugiej strony kamery.

Bob Robinson - ćma barowa. Przesiaduje „U Flynnna” dzień i noc. Ma własne zdanie o wszystkim i wszystkich.

Theodore „Teddy” Smith - miejscowy donżuan. Każda świeżo poznana kobieta wywołuje błysk w jego oku.

Gage Remington - dawny współpracownik Caitlin Carrigan, prowadzący śledztwo w sprawie zbrodni sprzed lat, w którą byli wmieszani mieszkańcy Bachelor Arms. Mieszkał na jachcie, dopóki go nie stracił.

PROLOG

Hollywood 1933

Kiedy tylko Aleksandra Romanow zobaczyła go po drugiej stronie zatłoczonej sali, od razu wiedziała, że to pokrewna dusza. Ich oczy - jej ciemne jak u Cyganki, jego przenikliwie błękitne - spotkały się i zatopiły w sobie. Wszystko w złociściej sali balowej słynnego hotelu Biltmore rozpląnęło się, - zamazało. Istniał tylko ten jeden mężczyzna - niezwykle przystojny i szykowny w swoim smokingu.

Gładkie salonowe rozmówki wydały się nagle Aleksandrze uprzykrzonym bzyczeniem. Urok nieznajomego i bijąca od niego siła zaparły jej dech w piersiach. Stopy wrosły w parkiet. Aleksandra zamarła niczym dziewica złożona w ofierze przez jakieś prymitywne plemię, czekająca na przyjęcie przez wszechmocne bóstwo męskości.

Wiedziała oczywiście, kim jest ów mężczyzna. Wszyscy w Hollywood rozprawiali o Patricku Reardonie, pisarzu lubiącym alkohol i grę w pokera. Walter Stern przywiózł go do Hollywood, aby dla wytwórni filmowej Xanadu Studios przerobił na scenariusz swoją ostatnią powieść, która okazała się bestsellerem.

Nie odrywając wzroku od twarzy Aleksandry, Patrick ru-

szyl w jej stronę. Tłum między nimi rozstał się posłusznie. Widać nie tylko ona miała go za uosobienie męskiej siły i urody.

Zatrzymał się tak blisko, że czubki brokatowych pantofelków dotykały nosków jego butów. Fakt, że ośmielił się nosić kowbojskie buty do smokingu, świadczył o tym, że gardzi sztywnymi regułami życia towarzyskiego.

Dłoń Patricka, znacznie większa i ciemniejsza niż Aleksandry, zacisnęła się delikatnie na jej dłoni. Poczowała bruzdy i zgrubienia na skórze.

- Mógłbym powiedzieć, że jest pani najpiękniejszą kobietą na dzisiejszym przyjęciu - odezwał się niskim, ochryplym głosem. - Ale niewątpliwie pani o tym wie.

Aleksandra nie była w stanie odpowiedzieć. Jej wargi zrobiły się suche jak pustynia, na której właśnie skończyła kręcić film, melodramatyczną opowieść o kobiecie zniewolonej i więzionej przez przystojnego sułtana.

- Mógłbym także powiedzieć, że pragnę pani. - Musnął palcem wewnętrzną stronę jej ramienia. Podniecający dreszcz przebiegł po nagiej skórze. - Ale niewątpliwie to pani również wie.

Tym razem zdołała skinać głowę.

Nie pamiętając (lub nie myśląc) o obecności innych gości, którzy obserwowali ich z nie skrywaną ciekawością, przesunął wolną dłonią po cudownie wyrzeźbionej linii policzka Aleksandry. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymała pokusę, by odwrócić głowę i przycisnąć usta do zuchwałej dłoni.

- A więc co z tym zrobimy? - zapytał.

Pożądanie w głosie mężczyzny sprawiło, że pod kobietą ugięły się kolana. Ciemna skóra Patricka pachniała nie jakąś drogą, wykwintną wodą kolońską, lecz mydłem sosnowym, przywołującym w pamięci Aleksandry lasy ojczystej Rosji.

Wiedziała, że jeśli opuści przyjęcie z Patrickiem, rozgniewa Waltera Sterna, właściciela Xanadu Studios. Zaborczy Walter traktował ją jak jedną ze swych kosztownych zabawek. Wciąż wzbraniała się zostać jego kochanką, lecz poza tym pozwalała, by stał się jej władcą absolutnym. Zatwierdzał jej scenariusze, kontrolował każdy kęs, który brała do rubinowych ust, wybierał ubrania, fryzury, samochody, meble i przyjaciół.

Okrutnik o wrodzonym instynkcie tyrana, Walter Stern patronował karierze Aleksandry, szydził z niej, a czasem upokarzał. Zainteresował się nią, kiedy nie wyróżniała się niczym szczególnym, i z właściwym sobie tajemniczym talentem stwórcy tchnął życie w nią jaką osobowość. Obiecał, że zrobi z niej gwiazdę - i dotrzymał słowa.

Śniady kowboj, który tak zaintrygował zblazowany światek Hollywood, w niewytłumaczalny sposób pociągał Aleksandrę, chociaż rozumiała, że niepokorny styl bycia Patricka wróży kobiecie niebezpieczeństwa. W jej żyłach płynęła jednak krew wielu pokoleń namiętnych, porywczych Kozaków i prostych, wybuchowych chłopek. Całym ciałem i duszą czuła, że nie oprze się temu mężczyźnie, nawet gdyby chciała.

A nie chciała.

Posłała mu znany milionom kinomanów leniwy, zmysłowy uśmiech. Uwodzicielskie spojrzenie rozświetlił blask, który emanował kobiecością i niósł obietnicę rozkoszy.

- Odpowiedziałabym - zaczęła z rosyjskim akcentem, wzmocnionym przez wzbierającą namiętność - że mamy piękną noc, wprost wymarzoną na przejażdżkę w świetle księżyca.

Wyszli z sali, trzymając się za ręce. Za nimi rozległ się szmer. Największe plotkarki Hollywood, dziennikarki Hedda

Lopper i Louella Parsons, omal nie pobiły się o dostęp do jedyne go telefonu.

Patrick zaprowadził Aleksandrę do rolls-royce'a z opuszczanym dachem - prezentu powitalnego od wytwórni filmowej. Biały samochód lśnił jak alabaster w księżycowej poświacie. Mężczyzna zwolnił szofera i wziął od niego kluczyki.

Kiedy pomagał jej zająć miejsce na białym skórzanym siedzeniu, Aleksandra przeczuwała, że nadejdzie jeszcze czas zapłaty za chwilowe oszołomienie. Postanowiła pomyśleć o tym później. Jutro.

Jutro wydawało się bardzo odległe. Na razie mknęli Bulwarem Zachodzącego Słońca nad zalany światłem księżycyca ocean - ku krótkiej i burzliwej przyszłości.

ROZDZIAŁ

1

W przededniu ślubu Blythe Fielding i doktora Alana Sturgesa świt wstał równie jasny i słoneczny jak na plakatach biura podróży reklamującego Los Angeles. Niebo było błękitne jak skorupka jaja rudzika. W zasięgu wzroku - ani jednej chmurki. Ptaki śpiewały w koronach drzew pomarańczowych otaczających dom. Lekka bryza wiała od pobliskiego Pacyfiku, niosąc delikatny aromat słonej wody.

Zastanawiając się później nad tym, co się stało, Lily Van Cortland zdała sobie sprawę, że nic w najmniejszym nawet stopniu nie zapowiadało katastrofy.

Przyjechała do Kalifornii na ślub najlepszej przyjaciółki. Nękana nocnymi koszmarami, tego dnia wstała wcześniej, wzięła prysznic w łazience przylegającej do pokoju gościnnego w domu Blythe w Beverly Hills, włożyła białe szorty i ciążową tunikę w biało-czerwone paski.

Może z braku snu, a może z powodu stresu, jaki ostatnio jej nie opuszczał, Lily czuła się rozdrażniona. Pomyślała, że wschód słońca podziała na nią uspokajająco, i przez wielkie oszklone drzwi wyszła na balkon sypialni. Zdenerwowana, nie potrafiła jednak usiedzieć długo na miejscu.

Po cichu, starając się nikogo nie zbudzić, zeszła na parter i zadzwoniła po taksówkę. Zostawiła dla Blythe liścik z prośbą, żeby się nie martwiła, wsiadła do taksówki przy bramie prowadzącej na podjazd i dojechała do mola w Malibu, gdzie godzinę siedziała na skale, obserwując fale morskie.

Nieustanny, monotonny rytm przypływów i odpływów cudownie kołował nerwy. W porównaniu z ogromem szklistej, rozświetlonej słońcem wody Pacyfiku problemy Lily od razu wydawały się mniejsze.

Wychowała się w stanie Iowa. Przez cztery lata studiów na Brown University mieszkała w Rhode Island, a potem, tuż po ślubie, przeprowadziła się do Connecticut. Zakochała się w morzu podczas wakacyjnych wizyt w domu Blythe w studenckich czasach.

Lily uwielbiała widok oceanu - niezmierny obszar to niebieskiej, to zielonkawej czy szarej wody, gdzieś tam ozdobiony białymi kryzami fal i skrzący się niczym diament w dobroczynnym blasku słońca, lub ciemniejszy, spiętrzony i groźny, kiedy sztorm nadciągał zza horyzontu.

Kochała zapach morza - woń ryb, soli i niezliczonych tajemniczych aromatów, tak samo jak odgłosy morza - potężne dudnienie lub delikatny szmer, nasuwający myśl o sekretnej rozmowie kochanków.

Uwielbiała wszystko, co łączyło się z Oceanem Spokojnym, najbardziej jednak - jego paradoksy. Pacyfik w magiczny sposób potrafił jednocześnie uspokajać i ekscytować.

Spienione fale zapraszały, zrzuciła więc tenisówki i weszła do wody po kolana. Po raz pierwszy od wielu tygodni Lily zaczęła się lekko odprężyć.

Niemal zdołała zapomnieć o zgrozie, jaka ją ogarnęła, kiedy otrzymała od teściów te okropne dokumenty. Chociaż z trudem

przebrnęła przez długie paragrafy, jasno i dokładnie zrozumiała ich treść. W obliczu śmierci jedynego syna James i Madeline Van Cortlandowie zamierzali zapewnić sobie dziedzica rodu, dysponując jeszcze nie narodzonym dzieckiem Lily.

Mokry piasek, twardo ubity na krawędzi wody, wciskał się między palce stóp. Smugi morskiej piany otaczały kostki nóg. Poranna bryza rozwiewała włosy, chłodziła kark i dawała poczucie wspaniałej swobody.

Fala odpływu zostawiała smugę srebrzystego, usianego muszelkami piasku. Zachwycona Lily szła w ślad za nią, ku horyzontowi. Pochłonięta urokami porannej samotności, nie zauważyła mężczyzny stojącego na skraju klifu. Urzekł go widok młodej kobiety brodzącej w białej pianie.

Zdaniem Connora Mackaya przypominała morskiego elfa. Patrząc na jej oddalającą się sylwetkę, stwierdził, że jest niewysoka i ma długie, szczupłe nogi. Długie blond włosy, opromienione wschodzącym słońcem, powiewały niczym platynowa flaga.

Chociaż Mackay nie miał tego ranka specjalnych powodów do radości, widok kobiety wywołał uśmiech na jego twarzy. Po raz pierwszy w życiu był skłonny uwierzyć w syreny. Zszedł kamiennymi schodkami na plażę.

Zachwyt stopniowo zmienił się w zatroskanie, a potem popłoch, kiedy Connor zobaczył, że Lily wkroczyła na teren z napisami ostrzegającymi przed przybrzeżnymi wirami. Zapuściła się zbyt daleko w morze. Woda sięgała jej do kolan. Za chwilę już wyżej.

- Ślepa czy co? - powiedział głośno do siebie na pustej plaży. Z pewnością widziała jaskrawopomarańczowe znaki ostrzegawcze. - A może po prostu idiotka? Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa?

Kiedy brnęła dalej w stronę skalistego falochronu, przerażająca myśl zmroziła Connora. A jeśli wiedziała o niebezpieczeństwie czyhającym na tym odcinku wybrzeża? A jeśli celowo ryzykowała?

- Do diabła! - zaklął, patrząc na olbrzymie fale nadciągające od horyzontu. Jeśli panienska marzyła o samobójstwie, nie mogła wybrać lepszego miejsca.

Rzucił się do wody.

Podśpiewując piosenkę, którą chodziła jej po głowie, Lily przystanąła i podziwiała daninę błyszczących muszelek, złożoną u jej stóp przez odpływ. Pograżona w zachwycie dla dzieła artystki natury, nie zauważyła potężnej ciemnej ściany piasku i wody sunącej wprost na nią.

Fala ścięła ją z nóg i obracała jak bezbronną, kruchą muszelką. Lily słyszała tylko ryk i czuła ucisk w płucach. Usiłowała stanąć na dnie, lecz natychmiast fala odbita od skał wcisnęła ją z powrotem w wodę.

- Do jasnej cholery! - Connor ponownie zaklął, kiedy kobieta zniknęła pod spienioną, wzburzoną wodą. W grę wchodziły dwa zakończenia tej przygody: albo morze wciągnie i zatopi swoją ofiarę, albo rzuci ją na skalisty falochron, gruchocząc każdą kosteczkę.

Mackay zanurkował i popłynął w kierunku miejsca, gdzie widział topielicę po raz ostatni.

Lily nie miała zamiaru tonąć. Zbyt wiele przeżyła w ciągu kilku minionych miesięcy, aby teraz poddać się żywiołowi.

Usiłowała poruszać rytmicznie ramionami i nogami, tak jak przy pływaniu crawllem. Myślała, że lada chwila jej płuca eksplodują, i właśnie wtedy chwyciły ją jakieś ręce. Czowała, jak ciągną ją przez przybrzeżną kipielię ku bezpiecznej plaży.

Klnąc na czym świat stoi, Connor na wół przeniósł, na wół przeciągnął kobietę na ubity piasek.

- Cholera, co ty, do diabła, wyprawiasz? - wrzasnął, przekrzykując szum fal.

Lily nie była w stanie odpowiedzieć. Złapał ją atak kaszlu. Wydawało jej się, że wypłała pół morza. Mackay chwycił ją pod ramiona i z wysiłkiem postawił na nogach.

- Jesteś nie tylko lekkomyślna, panienko - rzucił surowo przez zaciśnięte zęby. Przerazona Lily aż się skuliła. - Jesteś niebezpieczna. Czy zdajesz sobie sprawę, że twój głupi wy czyn mógł zabić nas oboje?

Chociaż pospieszył jej na ratunek, z pewnością nie przypominał rycerza na białym koniu. Lily postanowiła, że już nigdy nie pozwoli żadnemu mężczyźnie - nawet temu, który ocalił jej życie - znęcać się nad sobą. Wywinęła się z jego objęć, wyprostowała i hardo spojrzała w roziskrzone gniewem oczy.

- Nie przypominam sobie, abym prosiła pana o zanurkowanie w fale -. stwierdziła z dumnie podniesioną głową. - I chociaż nie orientuję się w zwyczajach panujących w Kalifornii, nie sądzę, aby rola ratownika upoważniała pana do podnoszenia na mnie głosu.

Adrenalina zaczęła żywiej krążyć w żyłach Mackaya. Musiał przyznać, że kobieta umiała trzymać fason. Sposób uniesienia podbródka świadczył o jej silnej woli, a przecież trudno zachować godność, wyglądając jak zmokła kura.

Przyjrzał jej się uważnie i spostrzegł wreszcie, że mokra bawełniana bluza przylgnęła do wypukłego brzucha, zdradzającego ciążę.

Cholera. Zamknął oczy. Genialne posunięcie, Mackay! Wyłowiłeś przyszłą matkę, cierpiącą w dodatku na depresję samobójczą.

- Przepraszam.

Lily omal się nie uśmiechnęła. Prawdę mówiąc, zakłopotanie mężczyzny wcale jej nie schlebiało, lecz mimowolnie pomyślała, że bardziej mu z nim do twarzy niż z gniewem.

- Nie szkodzi - mruknęła wielkodusznie. - Przecież uratowałeś mi życie.

- A jednak nie powinienem wrzeszczeć.

Lily nie należała do kobiet, którym sprawia przyjemność widok mężczyzny czołgającego się u ich stóp. Chciała powiedzieć, że nie zamierza go winić za spontaniczną, serdeczną ludzką reakcję - przecież naprawdę mógł utonąć w morskiej kipieli. Nie zdołała, ponieważ dopiero teraz kolana się pod nią ugięły. Zadygotała z zimna i spóźnionego strachu. Przycisnęła dłonie do brzucha obronnym gestem.

Connor, który zwracał uwagę na takie sprawy, spostrzegł, że Lily nie nosi obrączki.

- Może... usiądziemy... - zaproponował.

Tylko refleks mężczyzny uratował Lily przed upadkiem, kiedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wziął ją na ręce, zaniósł w stronę klifu i delikatnie posadził na piasku.

- Lepiej? - zapytał.

- Chyba tak. - Oparła czoło o podkurczone kolana i zamknęła oczy.

- Wiesz, nawet w najgorszej sytuacji samobójstwo nie jest wyjściem - odezwał się łagodnie. Jakże ten ton różnił się od niedawnego wściekłego krzyku... Nie wiedząc, jak pocieszyć zdesperowaną nieznaną, niezgrabnie pogłaskał jej mokre, potargane włosy.

Dopiero po chwili zrozumiała sens kojących słów. Otworzyła szeroko oczy. A więc przypuszczał, że próbowała się zabić, wkraczając w morze niczym tragiczna bohaterka dzie-

więtnastowiecznych powieści o miłości, porzucona przez niewiernego kochanka.

- Ależ ja naprawdę nie... - Lily zamilkła, napotkawszy spojrzenie prawie czarnych oczu.

Cóż, po prostu się zagapiła, ale nie potrafiła się powstrzymać. Boże, jakież on był przystojny! Miał ciemne bujne włosy. Zdecydowaną męską linię szczęki zawdzięczał nie operacji plastycznej jak osobnicy z reklam, lecz naturze. Był ubrany w czarną koszulkę polo i dżinsy, równie przemoczone jak jej ubranie.

- Nie próbowałam się zabić. To wypadek.

Przyglądał się Lily długo w milczeniu, jak gdyby pragnął wyczytać prawdę z jej oczu.

- Cieszę się, że to słyszę - stwierdził wreszcie.

Wyobraźnia podsuwała mu taką oto scenę: leżą oboje na plaży, spleceni w miłosnym uścisku jak Burt Lancaster i Deborah Kerr w filmie, który pokazała telewizja kablowa zeszłego wieczora.

- Mieszkasz w pobliżu?

Fantazja Lily również wkroczyła do akcji. W głosie mężczyzny wyraźnie słyszała nadzieję. Oczami wyobraźni widziała ich oboje kąpiących się we wzburzonych przybrzeżnych falach. Niebezpieczne pomysły. Przypomniała sobie, że w siódmym miesiącu ciąży z pewnością nie wygląda atrakcyjnie.

Roześmiała się w duchu. Śnij dalej! Pochodziła ze środkowego wschodu Stanów Zjednoczonych i zawsze mocno stapała po ziemi. Odgrywanie scen ze starych filmów pozostawiała innym, bardziej ponętym kobietom. Takim jak Blythe.

- Jestem z Connecticut - odparła, z ulgą słysząc, że głos nie zdradza, jak szybko bije jej serce. - Przyjechałam na ślub przyjaciółki.

- Mąż przyjechał z tobą? - W Los Angeles brak obrączki u ciężarnej kobiety nie był niczym niezwykłym. - Powinniśmy chyba zadzwonić...

- Mój mąż nie żyje.

- Przykro mi.

Connor wiedział, że paskudnie kłamie. Poczł dziwne zadowolenie na wieść o tym, że na kobietę nie czeka mąż.

Zbeształ się w myślach: Mackay, ty podły draniu! Lily wzruszyła ramionami. Nie chciała się wdawać w szczegóły przedwczesnej śmierci Van Cortlanda juniora.

- A więc lepiej zadzwońmy do twojej przyjaciółki, żeby po ciebie przyjechała - zaproponował.

- Ach nie! Ona ma dzisiaj pełne ręce roboty. Mogę wziąć taksówkę.

Connor pomyślał o odrzutowcu stojącym na specjalnym pasie lotniska w Los Angeles, a także o sprawach do załatwienia czekających w San Francisco. Nie zamierzał jednak pozwolić, aby ciężarna syrena odeszła. Jeszcze nie.

- Przeżyłaś szok. A w twoim stanie...

- W moim stanie? - Lily odchyliła głowę i podniosła zdumiony wzrok ku niebu. Tak samo traktowała ją Blythe od momentu, kiedy wyszła po nią na lotnisko. - Dlaczego wszyscy z uporem maniaka zachowują się tak, jak gdyby ciąża nie była normalnym stanem u kobiety?

Kiedy wyciągnął ją z fal, wyglądała bezbrinnie i krucho. Teraz, w przypływie irytacji, oczy Lily rozblęły niczym szafiry, a na policzki wystąpiły rumieńce. Coś go kusiło, aby musnąć koniuszkami palców zaróżowioną skórę, lecz tylko uniósł brwi.

- Nie wiem jak inne, ale szczerze mówiąc, większość znanych mi kobiet w ciąży nie rzuca się do wzburzonej wody.

Punkt dla niego. Lily nie czuła się jednak jeszcze gotowa, by to głośno przyznać.

- Znasz dużo kobiet w ciąży, prawda?

- Skoro już poruszyłeś tę kwestię, syreno, powiem ci, że jesteś pierwsza.

Niski, głęboki głos mężczyzny działał na system nerwowy Lily. Przebiegł ją dreszcz, odczuła skurcz żołądka. Miała nadzieję, że nie były to sensacje związane z ciążą. Zastanawiała się, czy Mackay jest żonaty. A przecież to nie jej sprawa!

Patrzył na nią bez skrępowania, taksującym wzrokiem, jak gdyby oglądał najnowszy model sportowego samochodu, i to w kolorze czerwonym. Sprawiał wrażenie człowieka, który świetnie się czuje w towarzystwie płci przeciwnej, od urodzenia wie, jakich słów użyć i jak się zachować, aby zaciągnąć kobietę do łóżka. I nawet się przy tym nie wysilać.

Nawet gdyby ją zainteresował - a tak się oczywiście nie stało - Lily wiedziała, że pozostaje poza jej zasięgiem.

- No cóż - oddychała niepokojąco szybko - trzeba stwierdzić, że nie jesteś ekspertem w sprawach ciężarnych.

- To prawda, ale skoro zgodziliśmy się, że uratowałem ci życie, nie mogę przestać czuć się za ciebie odpowiedzialny.

- To doprawdy śmieszne!

Wzruszył ramionami.

- Nic nie poradzę. Po prostu tak się czuję.

Od śmierci rodziców, którzy przed rokiem zginęli w wypadku samochodowym na skutek zderzenia z traktorem prowadzonym przez pijanego, Lily była zupełnie sama. Oczywiście, poza rosnącym pod sercem dzieckiem.

Connor zauważył, że w łagodnych błękitnych oczach kobiety pojawiła się zawziętość. Zorientował się, że rozmowa

wkroczyła na poważne tematy. Czy już nie miał nic innego do roboty z piękną jasnowłosą wdową? Jej policzki przybrały kolor azalii rosnących w posiadłości matki w Pacific Height. Postąpiła za nie nagrodę na konkursie.

Connor nie miał zwyczaju wchodzić w kontakt fizyczny z nieznanymi. Złamał jednak swoje zasady i zdjął z włosów kobiety pasemko wodorostu. Nic nie znaczący, zdawkowy gest, lecz kiedy przypadkowo musnął dłonią ramię Lily, oboje zadrżeli.

- Jeżeli mam po nikogo nie dzwonić, to sam cię odwiezę do domu twojej przyjaciółki.

Propozycja wydała się zaskakująco kusząca. Lily zerwała się na nogi, przerażona, że jeśli zostanie na plaży choć chwilę dłużej, zgodzi się na wszystko.

- Nie trzeba.

Zrozumiał, że teraz on trafił w czuły punkt. Remis. Zwinnie, z wdziękiem wstał z piasku, co przypomniało Lily o jej niezgrabnym ciele.

- Mylisz się. - Uśmiechał się ciepło, przyjaźnie i, niestety, seksownie. - Matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym porzucił syrenę w opałach.

Nie pytając o pozwolenie, splótł palce z jej palcami i ruszył w stronę schodków na klif.

- A moja matka nauczyła mnie, żeby nigdy nie wsiadać do samochodu z nieznanym - odparła Lily.

Wybuchnął śmiechem, beztróskim i dźwięcznym, który wdzierał się pod jej skórę i łaskotał koniuszki nerwów.

- Sytuacja patowa. Co powiesz na kompromis i wezwanie taksówki?

- Będziesz musiał zostawić samochód na parkingu.

- Nie martw się. Odwiezę cię i wrócę po niego.

Powiedział to z tak naturalną pewnością siebie, że przekonał Lily.

- Zawsze dostajesz to, czego chcesz?
- Przeważnie. - Ciemne oczy nie kryły rozbawienia.

Lily miała dość zepsutych, samolubnych mężczyzn. Wyszarpnęła dłoń.

- To musi być przyjemne.

Connor spostrzegł, że konwersacja powróciła na bezpieczne wody tematów towarzyskich.

- Nie mam konkurencji.

Lily wydała z siebie stłumiony dźwięk. Albo nieśmiało przytaknęła, albo zakłęta. Connor, nie zrażony, brnął dalej:

- Powiedz, czy syreny mają imiona?
- Oczywiście. - Mackay, mimo szumu fal, usłyszał ciche westchnienie. - Jestem Lily. Lily Van Cortland.

To nazwisko powiedziało Connorowi wszystko, co chciał wiedzieć. Chodził do szkoły z mężem Lily. Pamiętał mgliście, że słyszał coś o ślubie Cortlanda juniora z niewinną, naiwną córką farmera. Słyszał też, że człowiek, którego znał jako egoistę i playboya, zginął niedawno w wypadku samochodowym.

Nie był sam. Towarzyszyła mu sekretarka, która zmarła w wyniku obrażeń, nie odzyskawszy przytomności.

- Lily - powiedział zamyślony. - Podoba mi się.

Imię pasowało do tej kobiety. Proste, ładne, trochę staroświeckie.

- Czas, żebyś i ty się przedstawił.

Teraz Connor westchnął. Po burzliwym początku dogadywali się całkiem nieźle. Nie był milionerem odludkiem, jak zawsze przedstawiano go w prasie, lecz obawiał się, że mąż wspomniał Lily o zawartej z nim niefortunnej umowie. Mac-

kay sprzeciwiał się przyjęciu byłego kolegi szkolnego do spółki, lecz inni -jego adwokat, sędzia okręgowy oraz przedsiębiorca budowlany - upierali się, że kontakty Cortlanda juniora z nowojorską finansjerą przyniosą korzyści.

Umowa nie doszła do skutku, ale najpierw Junior okazał się człowiekiem o lepkich rękach. Connor wniósł sprawę do sądu. Sądził, że Lily nie przeżyje szoku dowiedziawszy się, że trzymała za rękę przeciwnika męża.

Wiedziony impulsem, postąpił jednak tak jak często przedtem. Nie chciał psuć nastroju.

- Przyjaciele nazywają mnie Mac - skłamał gładko. - Mac Sullivan.

Jego babka ze strony matki przewróciłaby się w grobie słysząc, że pożyczył od niej nazwisko.

Lily pomyślała, że to miłe imię. Mocne, męskie, i bez żadnych dodatków dla odróżnienia od ojca, dziada, pradziada i tak dalej. Zmarszczyła czoło na wspomnienie teściowej, która poinformowała ją, że pierworodni synowie w każdym pokoleniu Van Cortlandów otrzymują imiona James Carter. Mąż Lily, znany potocznie jako Junior, był trzecim Jamesem Carterem. Nie zamierzała dopisywać do listy czwartego.

Connor zadzwonił z automatu po taksówkę. Chociaż instynkt mówił Lily, że nie powinna się niczego obawiać, rozsądek nakazywał nie wsiadać do samochodu z nieznanym, nawet tak przystojnym i czarującym.

Po paru minutach przyjechała taksówka. Za kierownicą siedział osiłek o włosach spłowiałych na słońcu. Jego uśmiech wydał się Lily dziwnie znajomy.

- Przyjemna okolica - stwierdził Connor półgłosem, kiedy podała szoferowi adres Blythe w Beverly Hills.

- Dom należy do Blythe Fielding-wyjaśniła.-Mieszka-

łyśmy w jednym pokoju w akademiku podczas studiów na Brown University.

Dla milionów kinomanów na całym świecie Blythe Fielding, mimo swoich dwudziestu pięciu lat, symbolizowała aktorską legendę. Pierwszą rolę otrzymała jeszcze jako niemowlę w kołysce w reklamówce mydła marki Ivory, a zanim skończyła roczek, wystąpiła w tasiemcowym serialu telewizyjnym. Zgodnie ze scenariuszem odtwarzana przez nią postać dziecięca umarła tragicznie (syndrom nagłej śmierci łożeczkowej), zaś agent zdobył dla niej rolę w filmie kinowym. Zanim doszła do wieku dojrzewania, jej gaże wyrażały się liczbami sześciocyfrowymi.

Na pięć lat przerwała świetnie zapowiadającą się karierę filmową i wyjechała na wschód na studia. Tam właśnie Lily poznała ją i jej najlepszą przyjaciółkę z dzieciństwa, Cait Carrigan.

Po dyplomie Lily wyszła za mąż i zamieszkała w stanie Connecticut w olbrzymim domu z rozległym trawnikiem i obowiązkowym garażem na trzy samochody, Cait i Blythe wrócili do Los Angeles.

Cait, córka znanych aktorów, zrażona do Hollywood, postanowiła zerwać z rodzinną tradycją i, wbrew radom matki, wstąpić do policji. Blythe z przyjemnością odkryła, że po paru latach nieobecności na ekranie publiczność o niej nie zapomniała. Posypały się propozycje i Blythe znowu znalazła się na planie filmowym, mało tego, zaczęła myśleć o wyprodukowaniu własnego filmu.

Dla rzeszy miłośników sztuki filmowej Blythe Fielding była wielką gwiazdą; dla Lily - kochaną, najdroższą przyjaciółką.

Lily uśmiechnęła się promiennie na wspomnienie beztro-

skich studenckich lat, a Connor zrozumiał, że Van Cortland okazał się skończonym głupcem. Tylko idiota rozgląda się za innymi, kiedy taka kobieta czeka na niego w domu.

- Blythe Fielding wychodzi za mąż?

Zdumiony, zmarszczył czoło. Jak to się stało, że on, nowy właściciel Xanadu Studios, nie został powiadomiony o ślubie jednej z największych gwiazd wytwórni?

- Nie powinnam ci o tym mówić - mruknęła Lily. - Ona stara się zachować wszystko w tajemnicy.

- Umieję trzymać język za zębami. - Mackay postanowił wysłać prezent młodej parze. - Blythe Fielding niewątpliwie złamie serca wielu swoim wielbicieleom.

Chociaż Lily przywykła do takich reakcji mężczyzn, poczuła w sercu ukłucie zazdrości.

- Z tobą włącznie?-spytała.

- Właściwie zawsze większe wrażenie robiły na mnie kobiety o oczach koloru rozświetlonego morza i włosach jak pszenica.

Powiódł aprobującym wzrokiem po twarzy Lily, zatrzymując się na pełnych, zmysłowych wargach, jak gdyby wyobrażał sobie ich smak. Poczowała suchość w ustach.

- A czy podobają ci się mokre włosy splecione z wodorostami?

Chwycił jeden z kosmyków i uśmiechnął się tak, że pod każdą kobietą ugięłyby się kolana.

- To moje ulubione.

Lily odwróciła wzrok, zmieszana i niespokojna. Zdawało się jej, że upłynęła cała wieczność od chwili, gdy czuła, że podoba się komuś i że ktoś jej pragnie. Mąż traktował Lily niemal jak przedmiot.

Zapadło milczenie. Kiedy podjechali pod posiadłość, Lily

wychyliła się przez okno i wcisnęła kod otwierający bramę. Tuż przed domem taksówkarz zaskoczył ją uprzejmością. Wsiadł, otworzył drzwiczki i zanim zdążyła podziękować, podał jej swoją wizytówkę.

- Nazywam się Brent Langley - oznajmił, odsłaniając w uśmiechu błyszczące zęby. I wtedy Lily przypomniała sobie, gdzie go widziała. Występował w serialu telewizyjnym, który oglądała od czasu do czasu. - Bardzo proszę o przekazanie pani Fielding mojej wizytówki i zapewnienie, że byłbym zachwycony, gdyby zaprosiła mnie na przesłuchanie do roli Patricka Reardona. Naprawdę byłbym bardzo wdzięczny.

- Czy takich rzeczy nie załatwia się przez agenta? - spytała Lily.

- Ależ agent już się z nią kontaktował, ale nie oddzwoniła, więc pomyślałem, że skorzystam z okazji i poproszę, żeby szepnęła pani słówko przyjaciółce.

- Dam jej wizytówkę - zgodziła się Lily - ale niczego nie mogę obiecać.

Prawdę mówiąc, nie wyobrażała sobie bardziej nietrafnej obsady. Patrick Reardon, ukochany Aleksandry Romanow, nieżyjącej gwiazdy, która zafascynowała Blythe do tego stopnia, że postanowiła nakręcić o niej film, był w zupełnie innym typie. Śniady, bardzo męski, potężnie zbudowany, promieniał niebezpiecznym urokiem, któremu nie potrafiły się oprzeć nawet najrozsądniejsze kobiety. Langley - płowłosy, muskularny chłopak o uśmiechu jak z reklamówki pasty do zębów, nie nadawał się do roli postaci mrocznej i tajemniczej.

- I tylko o to proszę - dodał, znów uśmiechając się promiennie i niewinnie.

Connor, ubawiony tą rozmową, chrząknął znacząco. Od-

prowadził Lily do olbrzymich, rzeźbionych drzwi frontowych.

- No cóż. - Lily podniosła wzrok i zrozumiała, że wcale nie ma ochoty rozstać się z nowym znajomym.

- Następny poważny temat do przedyskutowania - stwierdził tonem, który wywołał uśmiech na jej twarzy.

- Tak. - Cisza przeciągała się, napięcie rosło. - Cóż, jeszcze raz dziękuję. - Wyciągnęła rękę. - Zawdzięczam ci życie.

Ujął jej rękę w obie dłonie. Czy reszta skóry Lily była równie delikatna i gładka?

- Cała przyjemność po mojej stronie.

I podniósł jedwabistą dłoń do ust. Nigdy w życiu nie całował kobiety w rękę.

- Zostaniesz tu na dłużej?

Niewinny pocałunek Lily odebrała jako słodką pieśczołę, która rozpałała jej ciało. Na dodatek dziecko energicznie obróciło się w brzuchu. Lily doszła do ponurego wniosku, że chyba urodzi dziewczynkę. Wątpiła, czy jakakolwiek osoba płci żeńskiej, bez względu na wiek, oparłaby się magnetycznemu urokowi Maca Sullivana.

- Jeszcze nie wiem - odparła, nie będąc w stanie oderwać wzroku od przepastnych oczu mężczyzny.

Connor kuł więc żelazo póki gorące.

- Słuchaj, przyjechałem do Los Angeles w interesach. Wrócę tu w przyszłym miesiącu. - Zawojowała go. Postanowił odesłać samolot do San Francisco bez siebie na pokładzie.

- Czy matka wpołała ci jakieś zasady dotyczące kolacji z nieznanymi mężczyznami?

Uwodził ją. Oczami, muśnięciem kciuka powodował, że przebiegł ją dreszcz. Co za niestosowna sytuacja dla kobiety w ciąży! Zirytowała się w duchu na siebie. Cofnęła się o krok.

- Przykro mi. Nie wiem, jak długo zostanę.

- A zatem w przyszłym tygodniu?

Connor nie zwykł błagać kobiet o spotkanie, tym razem jednak zdecydował się na tak rozpaczliwy krok.

- Nie sądzę...

- To dziś wieczorem.

Do diabła z samolotem i wszystkimi planami. Jeden z sekretów olbrzymich sukcesów Mackaya polegał na tym, że potrafił błyskawicznie zmieniać taktykę.

- Przykro mi, ale nie umawiam się na randki.

- Rozumiem, że jest za wcześnie, abyś angażowała się w nowy związek, ale ja proponuję tylko kolację. Albo kino, albo...

- Nie. - Twarz jej stężała. - Nie rozumiesz. Nie udzielam się towarzysko.

Uniósł brwi.

- Wcale?

Lily postanowiła od razu ustalić pewne reguły.

- Wcale. Nie teraz. - Odwróciła się i nacisnęła dzwonek. Rozległy się kuranty. - Ani później. Nigdy.

Connor nie był przyzwyczajony do odmów. Zwłaszcza że kobieta, chociaż przypominała prześliczną, renesansową Madonnę, przypuszczalnie nie narzekała na nadmiar propozycji.

- Ale...

- Naprawdę mi przykro. - Uśmiechała się szczerze, tak jak mówiła. - Z pewnością jesteś bardzo miły. I ocaliłeś mi życie. Ale nie zamierzam zmieniać zdania. - Otworzyły się drzwi. - Poza tym widać, że jesteś bogaty. A ja postanowiłam nie zadawać się z bogatymi mężczyznami.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła w holu. Oniemiały, odprowadził ją wzrokiem. Po raz pierwszy miał do czynienia

z kobietą, której nie imponowały jego pieniądze. Podejrzał, że dziwaczne zasady Lily mają związek z nicponiem, którego poślubiła, lecz nie mógł uwierzyć, że mówiła serio.

Rzeźbione dębowe drzwi zatrzasnęły się. Aktor-taksówkarz odwiózł go na parking, gdzie Connor zostawił wynajęty samochód.

Cóż, osiągnął wystarczająco wiele. Nie potrzebował znajomości z ciężarną wdową po Van Cortlandzie juniorze.

Chociaż miała naprawdę rewelacyjnie zgrabne nogi...

ROZDZIAŁ

2

Lily zapewniła Blythe, że nic jej się nie stało i że tylko zabrudziła się piaskiem na plaży. Weszła na górę, wzięła prysznic i usiłowała przekonać samą siebie, że nie żałuje ani trochę odesłania Maca Sullivana z kwitkiem.

Wiedziała, że się okłamuje, ale jednocześnie musiała pamiętać, że jest w szczególnej sytuacji i że nadchodzące dwa miesiące będą trudne i wyczerpujące. Nie mogła się rozprasać i bujać w obłokach, a obawiała się, że Mac Sullivan trafiłby ją zaabsorbować bez reszty.

Blythe siedziała przy wiklinowym stoliku na werandzie. Patrzyła przez olbrzymie okna na róże kwitnące w ogrodzie. Wydawała się pogrążona w kontemplacji. Zaniepokojona zmarszczką na czole przyjaciółki, Lily chciała wierzyć, że Blythe nie rozmyśla o zbliżającym się ślubie.

- Czujesz się lepiej?

Blythe uśmiechnęła się serdecznie i szczerze. Za tym uśmiechem szaleli widzowie płci męskiej w kinach całego świata. W jej ciemnych oczach Lily spostrzegła życzliwe z troskaniem.

- Wcale się tak źle nie czułam - skłamała młoda wdowa.

- Tylko przemokłam. - Zdawała sobie sprawę ze swoich podkrążonych oczu i ubiegając pytanie dociekliwej Blythe, spróbowała zmienić temat. - A jak ty się miewasz? Gorączka przedślubna?

- Skądże, nic podobnego - odparła pospiesznie aktorka. Zdaniem Lily, nieco zbyt szybko. - Dlaczego pytasz?

W głosie Blythe zabrakło zwykłej pewności siebie. Lily wzruszyła ramionami.

- Tak sobie, bez specjalnego powodu.

Blythe, podobnie jak Lily, nie miała tego ranka ochoty na zwierzenia. Podała przyjaciółce filiżankę.

- Zaparzyłam ci herbaty ziołowej. Czytałam gdzieś, że w ciąży należy unikać kofeiny, ale jeśli wolisz kawę...

- Wspaniała herbata - zapewniła Lily.

Blythe okazywała się ekspertem w rozmaitych dziedzinach. Inteligentna kobieta z dyplomem Wydziału Ekonomii Brown University była niezmiennie obsadzana w rolach bogiń seksu i ten fakt świadczył wymownie, że Hollywood to kraina fantazji i iluzji.

Lily usiadła przy stole i zerknęła na wyblakłe gazetowe zdjęcia rozłożone na blacie. Jedno z nich przedstawiało uderzająco piękną, smutną kobietę, spoczywającą na szeszlony w wystudiowanej pozie charakterystycznej dla lat trzydziestych. Podpis wyjaśniał, że za śmiałe sceny miłosne w ostatnim filmie z Aleksandrą Romanow, „Bezbronna dama”, wytwórnia Xanadu Studios została ukarana grzywną przez urząd cenzury obyczajowej.

Na następnej fotografii Aleksandra tańczyła w ramionach zabójczo przystojnego mężczyzny w smokingu. Przepiękna para. I bardzo zakochana. Aleksandra patrzyła na mężczyznę nie ze smutkiem, jak na poprzednim zdjęciu, lecz z nie skry-

wanym požądaniem. Podpis głosił, że Aleksandra Romanow i pisarz Patrick Reardon to najbardziej fascynująca młoda para na naszej planecie.

- Wyglądają na takich zakochanych - zadumała się Lily.

- Prawda? - westchnęła Blythe. - To zdjęcie zrobiono wkrótce po ich ucieczce. Pomyślałam sobie, że jeśli spotkam mężczyznę, który spojrzy na mnie tak jak Patrick na Aleksandrę, wyjdę za niego bez wahania.

Blythe miała wyjść za mąż nazajutrz, więc Lily mimowolnie zaczęła się zastanawiać, czy narzeczony aktorki, Alan Sturgess, pasował do jej ideału.

Na kolejnej fotografii, zajmującej pół gazetowej strony, widniał Patrick Reardon sam, o oczach przepastnych i ponurych. Krótki, dosadny tytuł stwierdzał: „Reardon stracony”.

- Jak twoje plany?

Od kilku miesięcy Blythe wspominała w rozmowach telefonicznych z Lily o planach założenia własnej wytwórni filmowej, połączonej umową dystrybucyjną z Xanadu Studios. Tragiczne dzieje Aleksandry Romanow i Patricka Reardona posłużyły za kanwę scenariusza pierwszego filmu produkowanego przez Blythe.

Brutalną śmierć aktorki, symbolu seksu lat trzydziestych z rąk gburowatego, krewkiego, lubiącego wypić męża okrzyknięto skandalem dekady. Sześćdziesiąt lat później nadal to dramatyczne wydarzenie poruszało opinię publiczną.

- Nie idzie to tak, jak bym sobie życzyła.

Przez dziesięć minut Blythe opowiadała o zadziwiającym i denerwującym braku informacji w archiwach Xanadu Studios na temat zamordowanej aktorki.

.- Przecież filmy z Aleksandrą Romanow przynosiły wówczas właścicielom Xanadu największe zyski. Gdybym nie

znała tej sprawy, pomyślałabym, że chodzi o rosyjskiego szpiega, którego dane utajniła CIA.

Przemysł filmowy uchodzi za dziedzinę wykreowaną przez wyobraźnię i pomysłowość. Lily nasłuchiwała się jednak tyłu opowieści Blythe i Cait, że poznała inną prawdę o Hollywood: to pieniądze wprawiały w ruch magiczną maszynę snów.

- Biorąc pod uwagę dochody wytwórni w czasach, gdy Aleksandra była u szczytu sławy, Xanadu powinno wzniesć kapliczkę ku jej czci.

- Prawda? Na szczęście rzeczy przyjęły korzystny obrót - ujawniła Blythe charakterystycznym dla siebie tonem osoby, która potrafi osiągnąć wszystko. Lily zawsze podziwiała tę cechę przyjaciółki, a i zazdrościła jej trochę. - Wynajęłam prywatnego detektywa, żeby zakrzętnął się wokół tej sprawy. Udało mu się odnaleźć charakteryzatorkę, która pracowała przy wszystkich filmach Aleksandry realizowanych w Xanadu Studios.

- Jaki z tego pożytek?

- Aktorzy na ogół opowiadają swoim charakteryzatorkom o wszystkim.

- Tak jak kobiety fryzjerom.

- Dokładnie tak. W każdym razie, naprawdę myślę, że detektyw Gage Remington, znajomy Cait, rozwiązał nasze problemy. Niestety, ta charakteryzatorka wypłynęła w rejs wycieczkowy. Powinna wrócić w przyszłym tygodniu.

- Kiedy ty będziesz w podróży poślubnej na Hawajach.

Lily wiedziała, że Blythe nie wierzy w winę Patricka. Aktorka uważała też, że po sześćdziesięciu latach tajemnica morderstwa może poczekać na wyjaśnienie jeszcze parę tygodni.

- To żaden problem. Gage obiecał zadzwonić, kiedy tylko porozmawia ze starszą panią.

- A czy Alan nie ma nic przeciwko temu, że interesy zakłócają wam miodowy miesiąc? - spytała Lily ostrożnie.

Poprzedniego wieczora poznała pana młodego. Odniosła wrażenie, że sławny w Beverly Hills chirurg plastyczny nie darzy szacunkiem niczego, co wiąże się z przemysłem filmowym.

- Pewnie nie będzie zachwycony - przyznała Blythe, wyraźnie się wahając. - Ale on rozumie, ile dla mnie znaczy praca.

Oczy aktorki pociemniały, jakby na przekór tym słowom.

- Wiesz, chciałam cię o coś zapytać - odezwała się Blythe niepewnie, jak gdyby wkraczała na niebezpieczny teren.

- Mianowicie?

- Zdaję sobie sprawę, że masz piękny dom w Connecticut, ale myślałam... - Poprawiła włosy. - O Boże, od dwóch tygodni ćwiczę tę scenę i powinnam ją znać na wyrywki.

- Jaką scenę?

Blythe wzięła głęboki oddech.

- W porządku, jedziemy. Za każdym razem, kiedy ostatnio rozmawialiśmy przez telefon, wydawałaś się przygnębiona, co oczywiście jest zrozumiałe, ponieważ śmierć męża i...
- urwała Blythe.

Ciekawe, co by powiedziała przyjaciółka na wieść o reakcji Lily na tragiczny wypadek męża. Wstyd się przyznać, ale Lily obok przerażenia poczuła wtedy również ulgę.

- Przeżywam trudne chwile.

W tym względzie z pewnością nie kłamała.

- Oczywiście. - Blythe położyła dłoń na ręce przyjaciółki.
- Dlatego chcę, żebyś zastanowiła się nad zamieszkaniem tutaj.

- Tutaj? - Lily rozejrzała się po przestronnej, jasnej werandzie. - Z tobą i Alanem?

- To olbrzymi dom. Twoja obecność nie będzie przeszkadzała.

- A po urodzeniu dziecka?

- Możemy przerobić garderobę przylegającą do twojej sypialni na pokój dziecięcy. Chyba że uznasz ją za zbyt małą i wtedy...

- Na pewno nie jest zbyt mała.

Lily spróbowała, zresztą bezskutecznie, wyobrazić sobie przewijanie dziecka na prześlicznej komódce w stylu Ludwika XV.

- Ależ ja nie myślałam o żadnej przeprowadzce.

Tym razem skłamała. Od kiedy otrzymała dokumenty od teściów, niemal codziennie rozmyślała nad przeprowadzką czy raczej ucieczką. Ale nie do Los Angeles. Może do Rio de Janeiro albo na jakąś tropikalną wyspę, gdzie Van Cortlandowie nigdy by jej nie znaleźli, a co ważniejsze, nie znaleźliby jej dziecka.

- Cait i ja uważamy, że w tak trudnym okresie powinnaś mieć przy sobie przyjaciół.

Pomysł, z pozoru zwariowany, wydał się nagle wielce kuszący.

- Pomyślę o tym - obiecała Lily.

- Dobrze.

Blythe kiwnęła głową z zadowoleniem, jak gdyby decyzja już zapadła.

Następny dzień wstał, jak to w Kalifornii, słoneczny, bezchmurny i ciepły. Słodki zapach kwitnących różanych krzewów wypełnił sypialnię Lily. Wyczerpana kolejną niespokoj-

ną nocą, podczas której nękały ją przerażająco realne koszmary, Lily zasnęła. Umyła się i ubrała pośpiesznie, po czym stanęła w otwartych drzwiach balkonu.

Elegancko ubrana harfistka zabawiała swoją grą członków rodziny i gości, siedzących na wypożyczonych, wyściełanych białym aksamitem fotelach. Pod białym baldachimem przystrojonym szkarłatnymi różami pan młody czekał na pannę młodą.

Lily westchnęła i poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Kiedy oświadczył jej się James Carter Van Cortland junior, zachwycona Lily z niecierpliwością oczekiwała ślubu, o którym marzyła od dziecka. Pragnęła, aby odbył się w Hastings w stanie Iowa, w kościele metodystów, gdzie chodziła do szkoły niedzielnej i gdzie jej rodzice co niedziela śpiewali w chórze. Chciała zaprosić starych, dobrych przyjaciół, wypróbowanych w biedzie i trudnych chwilach. Myślała o Jake'u Iversonie, który nie narzekał, gdy z opóźnieniem płacono rachunki; Iris Brown, która co wieczór pewnej ciężkiej zimy stawiała bańki matce Lily, chorej na zapalenie płuc; Shelley Mosley i Julie Havir, bibliotekarkach z objazdowej biblioteki, które nie tylko pomagały Lily zaspokoić głód wiedzy, ale poradziły, jak wypełnić dokumenty, aby uzyskać stypendium prestiżowej uczelni. Na drużny wybrałyby oczywiście najlepsze przyjaciółki - Caitlin Carrigan i Blythe Fielding.

Staromodna Lily postanowiła, że weźmie ślub jako dziewczyna, a zniecierpliwionemu narzeczonemu było wszystko jedno, gdzie i w czyjej obecności wygłoszą przysięgę małżeńską. Interesowało go jedynie podpisanie odpowiedniego dokumentu. Przyszli teściowie natychmiast zniweczyli plany Lily.

- Moja droga - prychnęła Madeline Van Cortland - nie

chciałabym wyznaczać roli rodzinie panny młodej, czuję się jednak zobowiązana wspomnieć, że nasi przyjaciele oraz liczni partnerzy handlowi pana Van Cortlanda nie wzięliby raczej udziału w uroczystości urządzonej gdzieś w wiejskiej głuszy,

Lily kusiło, aby przypomnieć, że chodzi o małżeństwo, a nie o fuzję firm, lecz lojalność wobec narzeczonego nakazała jej trzymać język za zębami. Wmawiała sobie, że przyszły mąż nie ponosi winy za to, że ma matkę snobkę. Zbyt późno zorientowała się, że jest jeszcze gorszy niż Madeline.

Lily ugięła się. Zapewniła przyjaciółki, że to najlepsze wyjście, chociaż one radziły, by nie ustępowała. Rodziców Lily nie stać było na wystawną ceremonię, jakiej oczekiwali Van Cortlandowie. Nie potrafiła też wyobrazić sobie wyniosłych rodziców pana młodego wznoszących toast winem domowej roboty w wiejskiej świetlicy udekorowanej białą krepiną i dzwonami ze srebrnego kartonu.

Skończyło się na tym, że składali małżeńską przysięgę w zatłoczonym neogotyckim kościele Świętego Tomasza na nowojorskiej Piątej Alei.

Małżeństwo, rozpoczęte pijaństwem męża na przyjęciu weselnym, a zakończone jego śmiercią w wypadku samochodowym sześć miesięcy później, okazało się kłęską.

- Masz wielkie szczęście - odezwała się półgłosem do Blythe, która weszła na górę i stając obok, popatrzyła na ogród.

- Szczęście?

- Moja babcia Padgett zawsze mówiła: „Szczęśliwa panna młoda, nad którą świeci słońce”.

Porzekadło przypomniało trzem przyjaciółkom o dniu ślu-

bu Lily. Kiedy wychodziła za mąż za potomka milionowej fortuny, łało jak z cebra.

- Takie powiedzenie w Kalifornii traci sens - stwierdziła Cait, wchodząc do pokoju. - Tutaj słońce świeci prawie codziennie. A jeśli chodzi o procent rozwodów, Kalifornia przoduje.

- Chyba masz rację.

Lily pogładziła przód plisowanej sukienki ciążyowej. Dziecko gwałtownie obróciło się w brzuchu. Jeszcze dwa miesiące i weźmie niemowlę na ręce. Uczepiła się tej myśli i tylko dlatego nie rozkleiła się od chwili, gdy dostarczono jej straszliwe dokumenty przygotowane przez prawników Van Cortlandów.

- To tylko porzekadło - mruknęła, usiłując otrząsnąć się z przynębnienia, w które popadała na wspomnienie grózb adwokatów.

- W każdym razie bardzo miłe. - Blythe próbowała wywołać uśmiech na bladej twarzy przyjaciółki.

Lily wiedziała, że Cait i Blythe martwią się o nią. Widziała, jak na siebie spojrzały, kiedy zobaczyły ją wychodzącą z samolotu. Postanowiła nie psuć wesela Blythe własnymi troskami. Odgoniła ponure myśli, tłumacząc swoje przynębnienie męczącym lotem oraz aktywnością małej istotki mieszkającej w jej łonie. Zmarszczyła brwi. Helikopter wścibskich paparazzi zagłuszał harfistkę, a Lily miała nieodparte wrażenie, że to wszystko jej wina.

- Powinnam przynieść karabin z radiowozu i zestrzelić to cholerstwo - odezwała się zirytowanym głosem Cait.

- Cudownie - stwierdziła Blythe ironicznie. - Całe miasto czeka na opowieść o czujnej policjantce. Załączamy kasety wideo. - Zmarszczyła czoło. Podmuchy niszczyły girlandy róż. - Choć przyznam, że to nęcący pomysł.

- Między innymi dlatego unikam osobiście takich imprez - odezwała się Cait ponuro. - Helikoptery zakłóciły ostatnie dwa wesela mojej matki.

Lily zostawiła rozmawiające kobiety i przeszła do garderoby. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Nie należała do osób próżnych i nie zwykła porównywać swego wyglądu z dziewczynami, które poznała na pierwszym roku studiów i które stały się jej najbliższymi przyjaciółkami.

Cóż, Cait odziedziczyła niezwykłą urodę po matce, słynnej aktorce. Chyba żadna śmiertelniczka nie mogła się równać z Cait Carrigan jeśli chodzi o bujność włosów, cerę bez skazy i duże, wyraziste, szmaragdowe oczy. Natomiast uroda Blythe wprost zbijała z nóg mężczyzn, zafascynowanych kuszącymi krągłościami jej ciała. Lily natura poskapiła wspaniałej karnacji Cait i budzącej pożądanie figury Blythe, polegała więc zawsze na zaletach swojej osobowości. Miała niespożyta energię, dzięki której kilku młodzieńców w Iowa i na studiach zwróciło na nią uwagę.

Teraz jednak, przypatrując się swojemu odbiciu, doszła do wniosku, że zainteresowanie Maca Sullivana było podyktowane litością i niczym więcej. Żaden mężczyzna nie dopatrzyłby się w niej niczego atrakcyjnego. Była blada, miała podkrążone oczy i zapadnięte policzki, które nie dodawały jej urody i wyglądała przez nie na więcej niż swoje dwadzieścia pięć lat.

- Wyglądam jak zabiedzony kot w ludzkiej skórze - uzależniła się, zatykając za ucho kosmyk włosów, który wymknął się z francuskiego warkocza.

- Wyglądasz prześlicznie-upierała się Blythe.-Myślałaś o naszej wczorajszej rozmowie?

- O zamieszkaniu tutaj z tobą i Alanem?
- Byłoby cudownie mieć cię w pobliżu - wtrąciła Cait.
- Nie zniosłabym myśli, że rodzisz dziecko gdzieś sama, mając za jedyne towarzystwo tych zarozumiałych Van Cortlandów.

- Wciąż się nad tym zastanawiam.

Zanim przyjaciółki zaczęły drażnić temat, stary zegar na komodzie wybił pełną godzinę, przypominając, że czas zejść do gości. Lily doświadczyła już czegoś podobnego, tuż przed swoim ślubem. W przedsionku kościoła ugięły się pod nią nogi, kiedy nagle ogarnęło ją złe przeczucie.

Spojrzała na Blythe. Panna młoda wzięła głęboki oddech.

- Masz jeszcze czas na zmianę decyzji - oznajmiła Cait.
- Nie bądź głupia. - Blythe wyprostowała ramiona. - Nie zamierzam rozczarować tych wszystkich ludzi.

Lily i Cait wymieniły zatroskane, zakłopotane spojrzenia. Obie pomyślały o tym samym. Od przyjazdu Lily wysłuchiwała aluzji Cait, że małżeństwo Blythe nie wyglądało na zaplanowane przez anioły. I nawet zaprzątnięta własnymi troskami Lily zauważyła u Blythe brak radosnego oczekiwania na ceremonię zaślubin. Bardzo ją to martwiło.

- Lepiej rozczarować paru przyjaciół, niż spędzić resztę życia na żałowaniu pochopnego kroku - pospieszyła z radą.

To samo powiedział jej ojciec, zanim ruszyła powoli główną nawą kościoła Świętego Tomasza. Ileż razy od tego dnia żałowała, że nie posłuchała jego rady! Zdrowy rozsądek podpowiadał jednak, że jeżeli nie wyszłaby za mąż, nie nosiłaby teraz pod sercem dziecka. A z dziecka nie miała zamiaru rezygnować. W żadnym wypadku!

Blythe potrząsnęła głową i zdobyła się na cichy śmiech. Lily powróciła z krainy wspomnień do rzeczywistości.

- Przesadzacie, to zwykła trema przedślubna - stwierdziła, chwytając wiązanek kwiatów i idąc do drzwi.

Cait i Lily, wymieniając zmartwione spojrzenia, ruszyły w ślad za panną młodą.

ROZDZIAŁ

3

Lily powoli kroczyła po białym atłasowym dywaniku, takim jak ten w kościele Świętego Tomasza. Wydawało jej się, że wszyscy ludzie w ogrodzie gapią się na jej spęczniały brzuch.

Chociaż jej widoczna ciąża wywołała kilka cichych komentarzy oraz lekkie zmarszczenie czoła pana młodego - większość gości uśmiechała się życzliwie.

Kiedy Lily dotarła do przystrojonego różami baldachimu, odwróciła się i popatrzyła na Cait. Wiedziała, że ciemnowłosy mężczyzna siedzący między rodzicami Blythe a gwiazdą filmową Natalie Landis, matką Cait, to jej obecna sympatia, Sloan Wyndham. Jego właśnie zaangażowała Blythe do napisania scenariusza o Aleksandrze Romanow. Kiedy Sloan z wyrazem miłości na twarzy obserwował kroczącą energicznie długonogą Cait, Lily zyskała pewność, że przynajmniej jedna z jej przyjaciółek wybrała właściwą osobę.

Harfistka, widząc Blythe pod baldachimem, zagrała marsza weselnego. Oczy zgromadzonych zwróciły się na pannę młodą. Blythe miała elegancką kreację, lecz jak na zwyczajne obowiązujące w Beverly Hills - bardzo skromną: kreponową

tunikę koloru kości słoniowej, z rękawami, narzuconą na długą, prostą spódnicę.

Ku zaskoczeniu Lily Blythe zatrzymała się w pół drogi. Nie bacząc na szczególną sytuację i oczekiwania narzeczonego oraz gości, stanęła i zatopiła spojrzenie w oczach wpatrzonego w nią z zachwytem ciemnowłosego mężczyzny. W ogrodzie rozległ się szmer zaciekawienia. Lily doskonale rozumiała, że stała się świadkiem wymiany intymnych i wiele mówiących spojrzeń, lecz nie potrafiła oderwać wzroku.

- O Boże - mruknęła Cait tonem, który wyrażał zarazem zdumienie i radość. - Gage i Blythe. Kto by pomyślał?

- Gage? - powtórzyła Lily jak echo. - Ten detektyw, który ma udowodnić, że Patrick Reardon nie zabił żony?

Kiedy dzień wcześniej Blythe wspomniała o detektywie, Lily wyobraziła sobie byłego policjanta w wymiętych spodniach i z papierosem w zębach.

- Tak. I bez względu na to, co ustali w sprawie Reardona, zdaje się, że będzie dla Blythe wymarzoną parą.

Doktor Alan Sturgess znieruchomiał. Przeszywał narzeczoną lodowatym, ostrym jak laser wzrokiem.

- Mówisz, że Blythe jest naprawdę zakochana w detektywie?

- Nie powiedziała na ten temat ani słowa - przyznała Cait. - Pamiętasz tę scenę w „Absolvencie”, kiedy Dustin Hoffman porywa Katherine Ross sprzed ołtarza?

- Oczywiście, ale... Chyba nie sądzisz, że Blythe ucieknie z własnego ślubu, zostawiając narzeczonego przed ołtarzem?

- Pozostaje nam mieć nadzieję.

- Ależ ona tego nigdy nie zrobi. - Lily wiedziała, że Blythe nie jest zdolna do takich zachowań. - Nie wystawiłaby nikogo na pośmiewisko.

- Pewnie masz rację. - Cait zerknęła na błękitne niebo.
- Potrzeba nam tylko boskiej interwencji.

Odpowiedziało jej z początku stłumione, a potem coraz głośniejsze dudnienie podobne do odgłosu nadjeżdżającego pociągu.

- Do diabła - mruknęła Cait. - Nie musimy długo czekać.

Po chwili potężny wstrząs powalił Lily na kolana. Zdawało jej się, że jakaś siła znów wciąga ją pod powierzchnię morza. Straszliwy zgrzyt trących o siebie zwałów ziemi i kamieni przypominał pracę gigantycznych młotów pneumatycznych rozpruwających chodniki.

Lily zamknęła mocno powieki i rozpaczliwie recytowała modlitwy wyuczone w dzieciństwie. Wokół rozgrywały się istic apokaliptyczne sceny. Wyściełane białym ałtąsem fotele wyrzucały jak z procy siedzących na nich gości, którzy spadali jeden na drugiego, krzycząc przy tym ze strachu, lecz ich wołania zagłuszało dudnienie rozstępującej się ziemi.

Lily wychowała się w okolicy, gdzie tornado nie należało do rzadkości. Dobrze wiedziała, jak groźna i nieprzewidywalna potrafi być przyroda. Kalifornijskie trzęsienie ziemi przerosło jednak jej najśmielsze wyobrażenia. Przycisnęła dłonie do brzucha. Dziecko zachowywało się nie mniej gwałtownie niż pękająca ziemia.

I, co gorsza, wcale nie zanosilo się na koniec kataklizmu. Czas płynął niesamowicie wolno. Z okien sypały się odłamki szyb, niczym burza gradowa w stanie Iowa.

Wreszcie rozkołyszany grunt zaczął się uspokajać. Stał się cud. Śmierć wypuściła zdobycz ze swych objęć.

Wciąż dygocząc, Lily otworzyła oczy i aż się skuliła na widok skali zniszczeń. Blythe leżała pod Gage'em Remingtonem wśród stosu połamanych krzeseł. Tuż obok Alan Sturgess

bezsukutecznie usiłował wydostać się z płataniny kolczastych różanych girland.

Basen, do tej pory laguna spokoju otoczona pachnącymi kwiatami, po prostu wystąpił z brzegów i spłynął po stoku wzgórza.

Cait wylądowała aż trzy metry dalej. Leżała przygnieciona dwuskrzydłowymi drzwiami, wyrwanymi z futryny. Sloan próbował dotrzeć do niej, kiedy nastąpił powtórny wstrząs, który ściął go z nóg.

Lily nie chciała uwierzyć, że uratowała się z morskiej kipieli jedynie po to, aby zginąć podczas trzęsienia ziemi nazajutrz. Zwinęła się w kłębek i przerażona czekała na koniec koszmaru.

San Francisco, Kalifornia

Padało. Ponieważ w rejonie Zatoki Kalifornijskiej zdarzało się to często, brzydka pogoda nie popsuła nastroju Connowi. Zresztą miał powody do radości. Nie tylko został dumnym właścicielem najstarszej i najszacowniejszej amerykańskiej wytwórni filmowej, lecz właśnie rozgromił swego adwokata na boisku piłki ręcznej.

Po wyjściu z klubu sportowego obaj zasiedli przy barze San Francisco Brewery Company, gdzie Jack Dempsey pracował kiedyś jako bramkarz. Popijali szkocką whisky. Wzniesli toast za ostatni sukces Mackaya, nazwanego przez „Wall Street Journal” królem Midasem, który wszystko przemienia w złoto i nie narzeka na koniec dobrej koniunktury lat osiemdziesiątych.

Po sześciu miesiącach intensywnych, tajnych negocjacji, poprzedniego dnia podpisano dokumenty. Wytwórnia Xanadu

przeszła w całości w wyłączne posiadanie przedsiębiorstwa C.S. Mackay Enterprises.

- Przy okazji, chciałbym, żebyś wycofał pozew przeciwko Van Cortlandowi - stwierdził Connor.

- Dlaczego, do diabła, chcesz to zrobić? Nie pamiętasz, że nieuczciwość tego człowieka kosztowała cię prawie milion dolarów?

Na wspomnienie strat twarz Connora stężała.

- Ja nigdy niczego nie zapominam.

- Więc dlaczego...

- Powiedzmy, że to sprawa osobista, i nie wracajmy do tego.

Adwokat popatrzył badawczo, lecz kiedy Connor spokojnie wytrzymał jego spojrzenie, wzruszył ramionami.

- To twoje pieniądze.

Wiedział, że jeśli Mackay coś postanowi, dyskusja traci sens. Zmienił temat.

- Jak się czujesz, dołączywszy do takich sławnych producentów jak Sam Goldwyn i Darryl Zanuck? Będziesz dostarczał przyjaciółom hollywoodzkie aktoreczki, prawda?

- Kupiłem wytwórnę filmową, a nie burdel - zauważył Connor. - Obawiam się, że musisz zdobywać kobiety sam, licząc na swój wygląd, pieniądze i wdzięk. Chyba nie powinieneś mieć trudności. - Mackay uśmiechnął się jak chłopiec, który zrobił kolegom świetnego psikus. - Wiesz, myślę o przeprowadzce do Tinseltown i osobistym zajęciu się produkcją filmów. Może zacznę od najnowszego projektu Blythe Fielding.

Nazwisko sławnej aktorki przywołało na myśl jej przyjaciółkę, Lily Van Cortland, i to nie pierwszy raz od ich dramatycznego spotkania.

- Chociaż doskonale rozumiem twój zapał do pracy z po-
nętą panią Fielding, jako adwokat zdecydowanie opowiadam
się przeciwko temu pomysłowi. Nastąpiły złe czasy dla inwes-
torów.

- Dlaczego wróżysz mi porażkę? - Connor przyjął żartobliwą uwagę Aarona jak prowokację. Od czasu gdy jako pięcioletek, sprowokowany przez kuzyna, połknął karalucha, nie straszne mu było żadne wyzwanie. - Tak się składa, że lubię kino.

Mało powiedziane, on kochał kino! Jego zainteresowanie filmem, tak jak wszystko, co robił, wykraczało daleko poza przeciętność. Był stałym bywalcem niewielkich kin wyświetlających mało znane europejskie filmy. Z równym zapałem chadzał do nowoczesnych kin multipleksowych, gdzie z wielką torbą prażonej kukurydzy oglądał najnowsze filmy akcji.

Swoją imponującą kolekcję dzieł z lat trzydziestych, złotej ery Hollywood, podarował niedawno filmotece Berkeley. Prowadził rozmowy z właścicielami kin, chcąc zorganizować ogólnokrajową sieć dystrybucji. Kiniarze bardzo na niego liczyli.

- Wielu ludzi lubi kino - odparł prawnik - nie znaczy to jednak, że potrafią kierować wytwórnią filmową.

- Wiedziałem o wiele mniej o wyścigach konnych, zanim kupiłem pierwszego konia.

- Różnica polega na tym, że prowadzenie stadniny powierzyłeś specjalistom. Tak samo postąpiłeś z firmą flisacką.

Po dwudziestojednodniowej podróży przez progi skalne kanionu Kolorado Connor wykupił połowę udziałów w przedsiębiorstwie transportowym prowadzonym przez dwóch byłych kalifornijskich prawników, co pozwoliło im rozwinąć interes w sąsiednich stanach.

- Twój problem, Connor - oświadczył Aaron Morrison - polega na tym, że kino jako sztuka odwołuje się do masowej widowni.

- No i?

- No i żeby film odniósł sukces, jego twórcy muszą rozumieć poglądy i wartości klasy średniej. Miałbyś z tym trudności, bo urodziłeś się w czepku, z pokaznym kontem i kartami kredytowymi w ręku.

Podobnych wymówek słuchał Connor przez całe życie, lecz zabołało go, że padły z ust nie tylko adwokata, ale zarazem najlepszego przyjaciela. Natychmiast przypomniały mu się słowa Lily. Nie miała zamiaru zadawać się z bogatym mężczyzną.

- Po pierwsze, film, który chce nakręcić Blythe Fielding, to historia Aleksandry Romanow. A to nie była byle aktoreczka. Patrick Reardon to również postać nietuzinkowa. Wiem, że się pobrali...

- Zanim on ją zamordował - przerwał Aaron.

Jego ironiczny ton rozdrażnił Connora.

- Podczas ich krótkiego małżeństwa - ciągnął niewzruszenie - stanowili najsłynniejszą parę Hollywood. Tak więc jeśli wytwórnia zdecyduje się na kręcenie filmu o nich, nie będzie to raczej opowieść o poglądach i postawach współczesnej klasy średniej. I jeśli pozwolisz, zauważę, że wprowadzie urodziłem się w czepku, ale nie znaczy to, że nie nauczyłem się samodzielnie jeść.

Głos Mackaya brzmiał spokojnie, lecz ciemnobrązowe oczy wyrażały oburzenie.

- W porządku, Con - odezwał się Aaron pojednawczo i zamówił u barmana następną whisky. - Być bogatym to nie przestępstwo, więc nie obrażaj się, do cholery.

Mackayowie byli jednym z czterech najszacowniejszych rodów irlandzkiego pochodzenia w San Francisco. Szczycili się zawsze aktywną działalnością filantropijną, a do fortuny doszli dzięki szczęściu i ciężkiej pracy, nie zaś - wyzyskowi i oszustwu. Początek rodzinnemu majątkowi dały dochody z kopalni srebra, której współwłaścicielem był prapradziad Connora, John William Mackay.

- Chętnie zrzekłbym się wszystkich moich pieniędzy - oświadczył Connor beztrąsko. - Natychmiast. I nigdy bym tego nie żałował.

- Łatwo ci mówić. Nic nie ryzykujesz.

Connor nie mógł pojąć, że człowiek, którego znał od trzydziestu jeden lat i uważał za swego najlepszego przyjaciela, postrzega go tak powierzchownie i nie umie oddzielić pieniędzy od osoby ich właściciela.

- Zaproponuję ci pewien zakład - powiedział kierowany impulsem. - Do zebrania z pracownikami wytwórni, podczas którego przedstawię koncepcję rozwoju firmy, zostało trzydzieści dni. Założę się, że przez ten miesiąc zarobię na swoje utrzymanie jako zwykły pracownik na etacie.

- Żartujesz - roześmiał się Aaron.

- Ani trochę.

Im dłużej Mackay się zastanawiał, tym bardziej podobał mu się nieoczekiwany pomysł.

- O co się zakładamy?

- Jeśli przegram, urządzę przyjęcie w wytwórni. Zaproszę ciebie i dziesięć osób, które sam wybierzesz, a także wszystkich aktorów kiedykolwiek związanych kontraktem z Xanadu.

- Z Blythe Fielding włącznie?

Ton głosu prawnika sugerował, że spodziewa się wygrać

zakład. I że bardzo odpowiada mu wizja spotkania atrakcyjnej aktorki, symbolu seksu.

- Znajdzie Się na pierwszym miejscu listy zaproszonych gości - obiecał Connor. Splótł ręce na piersiach. - I co ty na to?

- A jeśli wygrasz? Czego zażadasz ode mnie?

- Zamierzam wygrać - stwierdził Connor stanowczo. - Wtedy wypiszesz czek na pięć tysięcy dolarów na cel dobroczynny, który ci wskażę.

Aaron Morrison wahał się tylko przez chwilę. Uśmiech zadowolenia rozjaśnił mu twarz.

- Zgoda. Musimy jednak ustalić pewne zasady.

W ciągu dziesięciu minut spisali szczegółowo warunki. Nagle barman nastawił głośniej telewizor. Connor podniósł wzrok.

- Co się dzieje?

- Trzęsienie ziemi w Los Angeles!

- To nic niezwykłego.

Mackay wychował się w San Francisco, więc traktował wstrząsy jako coś normalnego.

- W pierwszych relacjach nie wyglądało do dobrze - mruknął barman. - Mówili, że to nie przelewki.

Beverly Hills

Dygocząca, rozkołysana ziemia litościwie się uspokoiła. Ustał ogłuszający huk pękających skał. Zastąpiła go kakofonia tysięcy alarmów samochodowych i domowych.

Zdezorientowana, oszołomiona Lily leżała w wielkiej kałuży, z niedowierzaniem patrząc na spustoszenia. Wszystkie okna wspaniałej rezydencji Blythe wypadły z ram. Rozsypały

się dwa kominy, trzeci trzymał się na słowo honoru. W ścianach domu widniały szczeliny. Pawilon przy basenie po prostu zsunął się z fundamentu.

Zatroskana losem przyjaciół, Lily spostrzegła z ulgą, że Sloan zdołał zdjąć ciężkie drzwi z Cait, przytomnej na tyle, by zarzucić mu ręce na szyję i ucałować go. Nie opodal Gage pomagał Blythe podnieść się.

Kiedy Lily usiłowała wstać, zobaczyła przed oczami czarne plamy. Poczuła ostry ból w krzyżu. Drżące kolana odmówiły posłuszeństwa. Z powrotem wyładowała w kałuży i zemdląła.

Kiedy odzyskała przytomność, czyjeś silne ręce niosły ją przez rumowisko, które zaledwie przed kilkoma minutami było wytwornym, kwitnącym ogrodem.

- Trzęsienie ziemi zerwało linie telefoniczne - wyjaśniła Blythe, krocząc obok. - Połączenia komórkowe też są zablokowane. Gage wpadł na pomysł, żeby odwieźć ciebie i Cait do szpitala rolls-royce'em.

Mimo ciężaru mężczyzna o spokojnych, srebrzystoniebieskich oczach zręcznie torował sobie drogę przez tłum gości weselnych. Lily przypomniała sobie nagle, w jaki sposób Gage i Blythe patrzyli na siebie tuż przed trzęsieniem.

- Dziękuję.

Uśmiechnął się czarująco.

- To należy do mojej pracy.

- Gage był kiedyś policjantem - wyjaśniła Blythe.

Szofer wynajętej limuzyny rzucił się do otwarcia drzwi. Cait i Sloan również wsiedli do samochodu. Cait przyciskała do rozciętej skroni chusteczkę Sloana. Lily ułożyła się na jednym z pokrytych białą, miękką skórą siedzeń. Blythe przypominała sobie o zasadach savoir-vivre'u.

- Lily Van Cortland, Gage Remington.

- Jesteś detektywem. - Lily wygrzebała z pamięci zasłyszana wcześniej informację.

- Tak, obecnie prywatnym. .

Skinęła głową i pomyślała o pewnym wyjściu z trudnej sytuacji. Jej teściowie wynajęli detektywa, aby znalazł kompromitujące fakty w przeszłości młodej wdowy. A gdyby ona zastosowała wobec nich tę samą broń? Gdyby znalazła przysłowiowy szkielet w szafie w rodzinnej posiadłości Van Cortlandów?

- Jak się czujesz? - spytała zatroskana Blythe.

- Bolał mnie krzyż. Ale to minęło.

- Żadnych skurczów?

- Nie mam.

- Krwawienie?

. - Chyba nie.

- Jestem pewna, że tobie i dziecku nic się nie stało.

- Ależ oczywiście - stwierdziła stanowczo Cait.

Śnieżnobiała ongiś chusteczka powoli paşowiała. Twarz dziewczyny stała się nienaturalnie blada.

- Wiem, że wszystko będzie dobrze - oświadczyła Lily z przekonaniem.

Zbyt wiele już utraciła. Mężczyznę, którego początkowo, jak sądziła, kochała, małżeństwo, dom i większość pieniędzy. Nie zamierzała stracić dziecka.

Powróciła myśl o czekającym ją procesie sądowym z Van Cortlandami. Ignorując protesty Blythe, usiadła i ze zdecydowaniem w oczach spojrzała na Gage'a.

- Chciałabym cię wynająć. O ile nie jesteś zbyt drogi.

Nie wydawał się ani trochę zaskoczony propozycją.

- Z pewnością dojdziemy do porozumienia w kwe-

stiach finansowych - oznajmił z jeszcze serdeczniejszym uśmiechem, a Lily nie miała już wątpliwości, dlaczego tak urzekł pannę młodą, bez entuzjazmu traktującą własne zamążpójście.

- Ana cóż ty, do diabła, potrzebujesz prywatnego detektywa? - zainteresowała się Cait.

- To długa historia.

- Musisz odpocząć - upierała się Blythe. - Porozmawiasz z Gage'ero, gdy cię zbada lekarz.

Twarz Blythe wyrażała zdumienie, a zarazem zaciekawienie. Lily znała ją dobrze i wiedziała, że Blythe chętnie spytałaby o szczegóły, lecz, w przeciwieństwie do Cait, potrafiła powstrzymać emocje.

Lily, zmartwiona swoją wielomiesięczną biernością w walce o opiekę nad nie narodzonym dzieckiem, rozumiała, że jadący do szpitala samochód nie jest odpowiednim miejscem na podjęcie walki o prawo do własnego dziecka.

- Na razie nigdzie się nie wybieram - zapewnił Gage łagodnie. - A poza tym już dojeżdżamy do izby przyjęć. Raczej nie będzie tam warunków do rozmowy z klientką.

Mimo powagi sytuacji Lily zdobyła się na uśmiech.

- Chyba umiesz czytać w cudzych myślach.

- Tylko czasami.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny, kiedy zerknął na Blythe i napotkał jej wzrok. Napięcie między tą parą było tak wielkie, że niemal widoczne.

- Mogę iść sama - zaprotestowała Lily, kiedy Gage podniósł ją jak piórko.

- Oczywiście, że możesz - zgodził się. - Ale nie ma sensu tego udowadniać, prawda?

Nie zamierzała się spierać. W izbie przyjęć panowało za-

mieszanie, lecz odpowiednio przeszkolony personel działał zadziwiająco sprawnie, chociaż ludzie nie otrząsnęli się jeszcze z szoku.

- Pani przyjaciółka nie odniosła obrażeń - zapewniła lekarka, której śpiewny akcent świadczył o indiańskich korzeniach. - Wygląda jednak na to, że sama pani się zraniła - oznajmiła, patrząc na ciemną plamę na lewym rękawie sukni Blythe.

Dopiero teraz Blythe zdała sobie sprawę z piekącego bólu w ręce.

- To z pewnością nic poważnego.

- Lepiej niech lekarz zadecyduje - odezwał się Gage, stojący obok. Jego słowa zabrzmiały jak rozkaz.

- Nic mi nie jest - upierała się przy swoim.

- Proszę mi pozwolić obejrzeć ranę. - Lekarka wyjęła z kieszeni fartucha nożyczki chirurgiczne i rozcięła szew rękawa sukni ślubnej. - W pani ręce tkwi odłamek szkła - obwieściła. - Musimy go usunąć i oczyścić ranę.

- Czy można to zrobić później? - Blythe wolałaby najpierw zapakować do łóżka Lily. - Z pewnością mają tu państwo poważniejsze przypadki.

Lekarka zacisnęła usta i podjęła decyzję.

- Proszę mi obiecać, że nie pozwoli pan jej stąd wyjść przed opatrzeniem rany - zwróciła się do Gage'a.

Detektyw, czując, że aktorka kipi gniewem, uśmiechnął się szeroko.

- Można na mnie polegać, pani doktor.

Po kilku minutach Lily została zabrana do dwuosobowej sali na obserwację. Podłączono ją do aparatury monitorującej serce i oddech płodu. Gage i Blythe usiedli przy jej łóżku. Nagle do pokoju wpadła jak burza niezadowolona Cait.

- Gage, do diabła, wytłumacz łaskawie Sloanowi, jakie są obowiązki policjantki!

- Ta idiotka upiera się, żeby iść do pracy - burknął Sloan zza pleców Cait.

Dziewczyna odwróciła się i oparła dłonie na biodrach. Spod rozdartej krótkiej spódnicy wystawała koronkowa falbanka majteczek.

- Facet, który zarabia na życie pisaniem scenariuszy, mógłby staranniej dobierać słowa. Czy tak należy się odnosić do kobiety, którą, jak twierdzisz, kochasz? Jeżeli ośmielisz się tak nazwać mnie po ślubie...

- Ślubie? - wtrąciła Blythe, mierząc zaciekawionym wzrokiem skłóconą parę. - Naprawdę?

- Jeśli uda mi się utrzymać Cait przy życiu na tyle długo, by doprowadzić ją do ołtarza. - Zachwyt Blythe na wieść o ślubie nie był w stanie umniejszyć gniewu Sloana. - Omal nie zginęła, kiedy zgodziła się być przynętą dla wielokrotnego gwałciciela. Dowiodła, że jest szalona.

Sloan zwrócił się do Gage'a:

- Byłeś kiedyś jej kolegą z patrolu. Powiedz, że wychodzenie na ulicę w strefie katastrofy z raną w głowie jest nie tylko głupie, lecz niebezpieczne.

Srebrzystoniebieskie oczy Gage'a zauważyły niecodzienną błądź twarzą Cait i rządęk czarnych szwów na skroni.

- Założyli ci szwy.

Skrzyżowała przed sobą ramiona.

- Niedużo.

- Dziewięć - sprostował gwałtownie Sloan. - Dlaczego nie powiesz, że lekarz podejrzewał wstrząs mózgu?

- Ostrzegał na wszelki wypadek, żeby nikt nie zarzucał mu potem niedopatrzenia i nie ciągał po sądach. Ja jednak nie

zamierzam wylegiwać się w łóżku szpitalnym, kiedy miasto potrzebuje każdego policjanta.

- Na nic nie przyda się policjantka, której grozi zasłabnięcie i wjechanie radiowozem w tłum cywilów - stwierdził Gage tym samym spokojnym tonem, którym rozładowywał podbramkowe sytuacje na ulicach centrum Los Angeles, kiedy pracował wspólnie z Cait. - Żaden dowódca nie pozwoliłby ci wyjść na służbę na ulicy w dziesięć minut po założeniu szwów na głowie, Carrigan. Dobrze o tym wiesz.

Rozwścieczona Cait dyszała tak, że jej włosy unosiły się nad czołem.

- A więc będę pracować jako dyspozytor.

- A guzik! - Sloan dał upust emocjom. - Idziesz do domu. Do łóżka.

- I oczywiście o to chodzi. - Cait zwróciła się do Lily.
- Ten człowiek nie potrafi trzymać rąk z dala ode mnie.

Gniew Cait wyparował równie szybko jak się objawił. Podczas studiów Lily była świadkiem niezliczonych scen irytacji z udziałem przyjaciółki.

- Szczęściara z ciebie. - Lily uśmiechnęła się do Sloana.
- Wygląda na to, że znalazła wreszcie odpowiednią partię. Nie pozwól, żeby ci chodziła po głowie.

Sloan zapomniał o wściekłości i uśmiechnął się.

- Będę się bardzo starał. - Spojrzał zatroskany na Cait i Lily. - Jak się czujecie?

- Lekarka zapewniała nas, że wszystko będzie dobrze - oświadczyła szybko Cait, jak gdyby zakłopotana, że wcześniej nie zagadnęła o stan ciąży.

- Czuję się dobrze. Tylko chcę stąd wyjść.

- Jutro - obiecała Blythe. - Lekarka chce cię zatrzymać na noc. Po prostu na wszelki wypadek.

Chociaż Lily zdecydowanie nie uśmiechała się noc spędzona wśród obcych ludzi w szpitalu, dla dobra dziecka zrobiłaby wszystko.

- To chyba sensowne rozwiązanie - zgodziła się z wahaniem.

- No proszę, oto rozsądna kobieta - oznajmił Sloan swojej narzeczonej. - Dlaczego nie jesteś chociaż trochę podobna do przyjaciółki?

- Znowu sugerujesz, że jestem idiotką?

- W żadnym razie. - Sloan objął Cait w pasie i delikatnie pocałował rządek szwów na skroni. - Ale czasami zbyt się angażujesz.

- To moja praca.

- Zgadza się - wtrącił Gage. Przemyslenie tego problemu zajęło mu kiedyś mnóstwo czasu. - I tylko praca, Carrigan. Nie całe twoje życie.

- Może tobie odpowiada takie szufladkowanie, Gage - Cait powtórzyła słowa, które do znudzenia powtarzała mu podczas czteroletniej wspólnej pracy w patrolu - ale ja jestem inna. Nie potrafię zapomnieć o pracy. Mam naturę policjanta i taki zawód wykonuję. Nie mogłabym rozdzielić w moim życiu sfery prywatnej od zawodowej. I nie chcę. Teraz wracam do pracy.

Wyrwała się z objęć Sloana i zamasztyłym krokiem ruszyła do drzwi. Na progu przystanąła, przyłożyła dłoń do czoła i osunęła się na podłogę.

Sloan zaklął i pospieszył z pomocą. Gage pokiwał głową z satysfakcją. Nie okazał w najmniejszym stopniu zaniepokojenia dawną koleżanką.

- Cóż - odezwał się przeciągle - to chyba kończy naszą dyskusję.

W parę minut później protestującą Cait umieszczono na łóżku obok Lily.

Pielęgniarka poinformowała Blythe, że personel w izbie przyjęć może już opatrzyć jej ranę. Narzekając na stratę czasu i niepotrzebne zawracanie głowy służbom medycznym, Blythe posłusznie wyszła. Podejrzewała, że inaczej Gage chwyciłby ją na ręce i wniósł do gabinetu zabiegowego, tak jak wcześniej Lily.

- Nie pójdziesz ze mną - trامية odgadła zamiary prywatnego detektywa. - Nie musisz mi towarzyszyć niczym nadopiekuńczy pies policyjny.

Doszła do wniosku, że kto raz był policjantem, zostaje nim na całe życie. Gage Remington nie potrafił przestać komendować ludźmi. Kiedy skończy się zamieszanie wywołane trzęsieniem ziemi, Blythe przypomni mu, że to ona go wynajęła i ona powinna wydawać polecenia.

Gage wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

Zdawkowy ton nie współgrał z zatroskanym, urażonym wzrokiem.

- A gdzie się podział pan młody? - spytała Lily.

Gage znów wzruszył ramionami. Pozbył się marynarki i krawata. Rozpiął kołnierzyk koszuli. Podwinięte rękawy odsłaniały muskularne, opalone ręce.

- Wspomniał o tym, że musi dotrzeć do szpitala, w którym pracuje, gdzieś na drugim końcu miasta.

- Racja. Przecież chirurg plastyczny umie szyć nie tylko pomarszczone twarze i rozstępy na brzuchu.

Jeśli trzęsienie ziemi miało poważne następstwa, a sądząc z wydarzeń w ogrodzie, sytuacja wyglądała niewesoło, niewątpliwie mnóstwo ludzi potrzebowało usług Alana Sturgessa.

Widząc, jak opiekuńczy jest Gage wobec Blythe, Lily poczuła pokusę zbadania, co łączy tych dwoje. Ale nastąpił kolejny wstrząs. Zamigotały światła nad głową. Lily musiała odłożyć pytania na później.

ROZDZIAŁ

4

Chociaż Connor nie po raz pierwszy spotkał się z trzęsieniem ziemi, zniszczenia w Los Angeles przeszły jego oczekiwania. Z powietrza miasto wyglądało jak gigantyczna plansza do gry w monopol, na której jakiś olbrzym beztrąsko poprzewracał domy i hotele. Po wyjściu z firmowego odrzutowca Connor doszedł jednak do wniosku, że sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej.

Wynajęty samochód sunął centymetr za centymetrem w korku, który sparaliżował ruch miejski. Ulice pokrywał gruz. Zawory gazu płonęły. Zewsząd biegli oszołomieni, dezorientowani ludzie.

Natychmiast skierował się do domu Blythe Fielding. Martwił się o Lily. Kiedy jednak zobaczył ogrom spustoszenia i usłyszał, że Lily i policjantka Cait Carrigan zostały odwiezione do szpitala, zrobiło mu się zimno ze strachu.

Telefony w szpitalach nie działały. Connor dzwonił więc na wszystkie posterunki, szukając informacji o funkcjonariusze nazwiskiem Carrigan. Linie okazały się zajęte - czego zresztą się spodziewał.

Wreszcie, kiedy już myślał, że oszaleje z niepokoju, szczę-

ście mu dopisało. Dodzwonił się do Wydziału Policji Hollywood, gdzie umęczony rzecznik prasowy poinformował go, że oficer Carrigan została odwieziona do Kliniki Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Gdy po wielu próbach zdołał uzyskać połączenie ze szpitalem, bez najmniejszych skrupołów oświadczył telefonistce, że jest policjantem i dzwoni w sprawie służbowej. Usłyszał serię piknięć w słuchawce. Ogarnęło go przerażenie, że rozmowę przerwano, lecz po chwili ktoś odebrał telefon w sali, w której leżała Carrigan.

- Słucham - odezwał się nieznajomy kobiecy głos.
- Szukam Caitlin Carrigan.
- Kto mówi?

Ostry ton zdradził Connorowi, że rozmawia z policjantką. Zorientował się w porę, że jego nazwisko nic nie powie Lily Van Cortland. Stwierdził w duchu, że z czasem będzie musiał ujawnić swoją tożsamość, lecz na razie wybrał najprostsze rozwiązanie.

- Mac Sullivan.
- Rycerz na białym koniu?
- Co proszę?
- Jesteś tym facetem, który wyciągnął wczoraj Lily z morza, zgadza się?
- To ja.

Nie zdziwił się, że Lily wspomniała o nim przyjaciółce. Przecież musiała wytłumaczyć swój powrót do domu Blythe Fielding w mokrym ubraniu i z wodorostami we włosach.

- Dzwonisz z San Francisco? - spytała Cait.
- Nie. Stąd, z Los Angeles.

Kobieta milczała przez moment.

- Lily mówiła chyba, że wybierasz się do domu.

- Owszem. Ale wróciłem.

I znów znaczące milczenie.

- Czy Lily ma coś wspólnego z tą nagłą zmianą planów?

- Po części - przyznał Connor. - Mogę z nią rozmawiać?

- Chwileczkę. - Cait zamieniła z kimś parę słów. - Przykro mi, ale nie ma jej tu teraz. Zawieźli ją na dół, na... prześwietlenie.

Mackay nie wiedział, czy Caitlin Carrigan jest dobrą policjantką, z pewnością jednak marny był z niej łgarz. Po hamował wściekłość i postanowił dowiedzieć się jak najwięcej.

- Jak się czuje?

- Lekarz twierdzi, że świetnie.

- A dziecko?

- Również.

- To po co prześwietlenie?

- Zwyczajny środek ostrożności. - Kolejna pauza, o bicie serca dłuższa niż poprzednie. - Nie jesteś żonaty ani nic w tym stylu, Mac Sullivan?

Z boku najwyraźniej ktoś protestował. Zapewne Lily usiłowała powstrzymać dociekliwość przyjaciółki.

- Nie jestem żonaty. Ani nic w tym stylu.

- To interesujące.

Connor pragnął, żeby Cait po prostu przekazała słuchawkę Lily.

- Słuchaj, może wpadnę do szpitala?

- Niezbyt dobry pomysł - odrzekła szybko. - Powiem, że dzwoniłeś. Czy jesteś osiągalny pod jakimś numerem telefonu? To na wypadek, gdyby Lily chciała oddzwonić.

Nie zachwyciła go taka ewentualność. Pomyślał, że prędzej w Los Angeles spadnie śnieg, niż Lily do niego zatelefo-

nuje. Bez entuzjazmu podał numer telefonu komórkowego w wynajętym samochodzie.

- Przekażę jej - zapewniła Cait - ale niczego nie obiecuję - dodała, jak gdyby czytając w jego myślach.

I odłożyła słuchawkę.

Connor zaklął i zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Wtem zadzwonił telefon.

- Lily?

- Mówi Cait. Słuchaj, muszę się streszczać, bo dzwonię z automatu w holu. Pokazałam odznakę policyjną i wpuścili mnie bez kolejki. Masz pod ręką coś do pisania?

- Jasne.

- Zapisz. - Podała adres w okolicach Wilshire. - Dom Blythe został zniszczony, więc Lily przeprowadzi się do mnie. Mógłbyś wpaść jutro?

- O której?

- Po południu. Około drugiej, trzeciej, zgoda?

- Będę.

- Dobra.

Connor czuł, że Cait lada moment się wyłączy.

- Jak się czuje Lily? - spytał szybko. - Tylko szczerze.

- Wiele ostatnio przeżyła. Ale sądzę, że mógłbyś być dla niej tym, o czym mówił lekarz.

Roześmiała się spontanicznie, serdecznie, kobieco. Connor doszedł jednak do wniosku, że cichy śmiech Lily wywarł na nim większe wrażenie.

- Przyjadę jutro - obiecał.

Cait odwiesiła słuchawkę.

Załatwiwszy jedną sprawę, Connor zajął się drugim z powodów przyjazdu do Los Angeles - wytwórnią filmową Xanadu Studios, która mieściła się w San Fernando Valley, mię-

dzy studiami Warner Bros a rozległą posiadłością Universalu. Kiedyś było tu ranczo. Przed z górą sześćdziesięciu laty Walter Stern wykupił ten teren z myślą o kręceniu westernów.

Kiedy kursowanie między doliną a centrum miasta stało się kłopotliwe, jego syn Walter Stern II sprzedał hale zdjęciowe w Hollywood i przeniósł całą wytwórnię do San Fernando Valley.

Zaledwie dwa dni wcześniej Connor dojechał z centrum do Xanadu w trzydzieści minut, dziś jednak z powodu wielokilometrowych korków pokonanie tej trasy w jedną stronę zajęło mu dwie godziny. I zanim dotarł do celu, przeklinał pomysł z zakupem własnej wytwórni filmowej.

Na widok ozdobnych żelaznych wrót, których, jak z ulgą zauważył, trzęsienie ziemi nie naruszyło, poczuł jednak przypływ typowo młodzieńczej ekscytacji. Legendarna fabryka snów należała teraz do niego.

Zgodnie z życzeniem Connora, Walter Stern III, wnuk założyciela wytwórni, czekał na niego w gabinecie. Mimo że to on sam wystąpił z ofertą sprzedaży, nie wydawał się zadowolony z przybycia nowego właściciela.

- Nie musiał się pan tak szybko fatygować - oświadczył z fałszywym uśmiechem i lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu. - Całkowicie kontroluję sytuację.

Zazwyczaj przejmując jakąś firmę, Connor zatrzymywał dotychczasowy personel - przynajmniej na etapie przejściowym. Tym razem jednak okazało się, że Stern popełnił poważne błędy w zarządzaniu wytwórnią.

Mackay uściśnął rękę Sterna z równie nieszczerym uśmiechem.

- Okazało się, że i tak muszę wrócić do miasta.

Stern zmrużył stalowoniebieskie oczy.

- Sądziłem, że ustaliliśmy podanie informacji o sprzedaży firmy do publicznej wiadomości za miesiąc.

- Istotnie.

Do diabła. Connor westchnął w duchu. Szło jak z kamienia. Z początku starał się powściągnąć niechęć do dumnego magnata filmowego, który w zasadzie nic mu nie zrobił. Podświadomie nie cierpiał go jednak i to, jak wyczuwał, z wzajemnością.

- Główny powód mojego przylotu do Los Angeles nie ma nic wspólnego z Xanadu. Wobec wydarzeń ostatnich godzin postanowiłem wstąpić i ocenić szkody.

- Zważywszy na siłę trzęsienia nie są wcale wielkie - zapewnił Stern. - Chodzi przede wszystkim o wyciek wody z pękniętych rur. Straciliśmy też dekoracje do nowego westeronu, ale łatwo je odtworzyć.

- To dobre wieści. - Connor z pewnością nie chciał rozpoczynać nowego przedsięwzięcia od niepowodzenia. - Miałem nadzieję, że znajdzie pan chwilkę na oprowadzenie mnie po terenie.

To było polecenie służbowe. Wypowiedziane spokojnie, lecz tonem nie znoszącym sprzeciwu. Były szef Xanadu zmusił się do życzliwego uśmiechu.

- Właśnie to miałem zaproponować.

Ruszyli korytarzem obwieszonym fotosami gwiazd. W gablotach stały niezliczone statuetki Oscarów zdobytych przez wytwórnę. W głowie Connora zaświtała myśl, że on i Stern nigdy nie będą mogli pracować pod jednym dachem. A ponieważ sam nie zamierzał rezygnować, pozostawało mu zwolnić poprzedniego właściciela. Żywił nadzieję, że rozstanie przebiegnie bez zgrzytów. W przeciwnym razie... Cóż, Connor nie należał do tych, którzy ustępują pola.

Już w drodze do swojego apartamentu w wieżowcu Century Plaza, Mackay zorientował się, że trasa objazdu biegnie w okolicach domu Cait Carrigan.

Zatrzymał się przed różowym budynkiem o śródziemnomorskiej architekturze. Natychmiast jego wzrok przykuł napis: „Mieszkania do wynajęcia”.

Wyłączył silnik i długo przyglądał się budynkowi. Kiedyś była to zapewne posiadłość jednej rodziny. Wzdłuż ścian biegła turkusowa sztukateria. Okna na piętrach i balkony miały kunsztowne żelazne okucia. Nawet wieżyczka utrzymana w innym, hiszpańskim, stylu, zdawała się pasować do całości.

W apartamencie hotelowym czekał na niego barek, lodówka, trzy telefony, marmurowa łazienka z wanną i prysznicem, wielkie ręczniki kąpielowe, szlafrok i rozległy balkon. Były też rośliny ozdobne, drzewko w salonie i marmurowy miniba-sen, w którym odbył niegdyś spotkanie z seksowną panią wiceprezes Bank of America.

Szczyt luksusu. Niezrównana obsługa. Zdawał sobie sprawę, że na takie warunki nie stać zwykłego obywatela. Ale przecież założył się z Aaronem. Przez trzęsienie ziemi zupełnie o tym zapomniał.

Zerknął na różowy dom i wiedziony impulsem, jak to już nieraz bywało, wysiadł z samochodu. Odczytał napis na płycie nad wejściem: BACHELOR ARMS. Poniżej ktoś naskrobał na murze: „Uwierz legendzie”.

Znalazł mieszkanie administratora i zadzwonił. Raz. Drugi. Trzeci. Bez skutku. Zawiedziony, zamierzał odejść, kiedy z sąsiednich drzwi wyszła młoda kobieta.

- Cześć! Szukasz Kena?-spytała z przyjaznym uśmiechem.
- Szukam, jeśli mówisz o administratorze.

- Musiał wyjechać z miasta na parę tygodni. Rychło w czas, co? Jak tam trzęsienie ziemi? Na szczęście nie ma poważniejszych szkód. W każdym razie Ken wspomniał coś o nagłych problemach rodzinnych. - Przyglądała dłonią bujne włosy o naturalnych jaśniejszych pasemkach. - Osobiście sędzę, że dostał wezwanie do centrali.

- Centrali?

W brązowych oczach dziewczyny tańczyły figlarne ogniki.

- Ken jest dość miły, ale trochę dziwny. - Rozejrzała się, jak gdyby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. - Chyba istnieją podstawy do podejrzeń, że to szpieg. Ale Bobbie-Sue, moja najlepsza przyjaciółka, twierdzi, że przesadzam i że to wszystko przez przygotowania do próbnych zdjęć. Bo ja się staram o rolę drugoplanową w nowej wersji filmu „Byłem nastolatkiem-wilkołakiem” - wyznała w zaufaniu. - Kręca to w wytwórni Xanadu. Mój agent powiedział, że mam rolę jak w banku. W przyszłym tygodniu przesłucha mnie sam Walter Stern. Uwierzyłyś?

- Nie wiedziałem, że szefowie wytwórni osobiście przesłuchują kandydatów - odparł z udaną obojętnością.

- Prawdę mówiąc, ja też nie wiedziałam. - Obdarzyła rozmówcę promiennym uśmiechem. - Ale Roger, mój agent Roger Kendall, który pracował z Williamem Morrisem, zanim otworzył własną agencję, zapewnia, że to nic nadzwyczajnego. Zwłaszcza w Xanadu. - Wydęła różowe usta, niewątpliwie pobudzające fantazję mężczyzn. - Bobbie-Sue uważa, że pan Stern chce mi po prostu ściągnąć majtki. I Eddie tak myśli. Eddie posłał swój scenariusz do Xanadu. Nazwał Sterna lubieżnym szcurem. Nie potraktowano go tam dobrze, więc może po prostu nabrał uprzedzeń. - Oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona na obfitym biuście. - A ty co sądzisz?

O ile go nie myliła intuicja, dziewczyna była zbyt naiwna, aby utrzymać się na powierzchni mętnych wód Hollywood. Connor pomyślał też, że powinien bacznie obserwować Sterna, zanim ostatecznie przejmie firmę.

- Ostrożność nigdy nie zaszkodzi - poradził.

Westchnęła i znów przyczesła włosy palcami o różowych paznokciach.

- Pewnie masz rację. Cait też mnie ostrzegła, ona jest policjantką, a oboje jej rodzice pracują w branży filmowej, więc wiedzą, jak wygląda to miasto pod błyszczącą powłoką. Nadażasz za mną?

Kiwnął głową i otworzył usta, by potwierdzić, lecz jego rozmówczyni ciągnęła:

- Pan Stern wydawał się jednak taki miły, kiedy w zeszłym tygodniu poznałam go na przyjęciu.

- Na pewno szczerze zainteresował się twoim talentem.

- Connor odpowiedział słowami, które, jak podejrzewał, chciała usłyszeć początkująca aktorka.

Brenda Muir odpłaciła mu oszałamiającym uśmiechem, który mógł rzucić na kolana przeciętnego mężczyznę. Ponieważ Mackay nigdy nie uważał się za przeciętnego mężczyznę, nie zamierzał też angażować się w znajomość z energiczną osobką. Doświadczenie nauczyło go, że aktorki są nieobliczalne i zatrzważają egocentryczne, natomiast Connor wolał utrzymywać nie zobowiązujące kontakty z płcią przeciwną. Dziwił się sam sobie, że nagle zainteresował się kobietą, która mogła skomplikować jego życie.

- Powiedziałam Bobbie-Sue, że pana Sterna interesują jedynie moje zdolności aktorskie - wyjawiała Brenda. - Przecież w końcu jestem absolwentką Wydziału Teatralnego Uniwersytetu Yale. Grałam nawet tytułową rolę w „Norze” Ibsena.

- Założę się, że zapędziłaś stare aktorskie wygi w koziego róg
- odparł Connor żartobliwie.

Wybuchnęła śmiechem.

- O Boże, wspaniale działasz na dziewczyny niezbyt przekonane o własnej wartości. - Brązowe oczy aktorki mierzyły go z aprobatą. - A przy okazji, jestem Brenda. Mam wielką nadzieję, że planujesz się tu wprowadzić.

- Myślę o tym. - Wsunął ręce do kieszeni i zakołysał się na piętach. - Skoro tajny agent wyjechał, kto dogląda budynku?

- Jill.

- Wspaniale. Gdzie ją znajdę?

- Nie znajdziesz. - Jej usta wykrzywił grymas zniecierpliwienia. - Zapomniałam, że pojechała do San Diego na wystawę wzornictwa. Jest dekoratorką wewnątrz. Musisz zobaczyć, co wymyśliła do mojego mieszkania. Dała klucze Bobbie-Sue, która właśnie pracuje, tuż za rogiem, w barze „U Flynnna”. Schodzą się tu okoliczni mieszkańcy. Barmanem jest Eddie, a Bobbie-Sue pracuje na pół etatu i rozgląda się za innym zajęciem.

- Też aktorka?

Brenda odsłoniła zęby w promiennym, prowokującym uśmiechu.

- A jakże inaczej? W tym mieście?

Właściwie miała rację. Connor zastanawiał się, jak zareagowałyby Brenda, Bobbie-Sue i barman scenarzysta Eddie na wieść o tym, że nowy właściciel Xanadu zamierza zamieszkać w najbliższej okolicy.

Ten pomysł podobał mu się coraz bardziej. I Brendę, i Eddiego coś łączyło z Xanadu. Czy istniał lepszy sposób na zebranie informacji o funkcjonowaniu firmy niż wejść w ich środowisko i wysłuchać relacji z pierwszej ręki?

Connor czuł, że znów dopisało mu szczęście - słynne szczęście Mackayow. Jeśli wczoraj nie zatrzymałby się przy plaży i nie spotkał Lily Van Cortland, nigdy nie zadzwoniłby do Cait Carrigan, czyli nigdy nie dowiedziałyby się o istnieniu Bachelor Arms i malowniczej mozaice lokatorów.

Wkroczył do baru „U Flynna” z przekonaniem, że zrządzenie losu to cudowna rzecz.

- Los potrafi być cholernie złośliwy - oznajmił Gage, powoli kręcąc głową.

Stojąca przy nim Blythe, ubrana w szpitalny zielony drellich, który zastąpił podartą, zabłoconą i zakrwawioną suknię ślubną, patrzyła na puste miejsce przy moło. Jeszcze dzień wcześniej cumował tu jednomasztowy jacht, służący Gage'owi za dom i biuro. O dziwo, sąsiednie jachty pozostały nie naruszone.

- Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.

Chociaż Gage upierał się, że odwiezie ją prosto do domu, Blythe wymusiła na kierowcy limuzyny, aby najpierw pojechali do Marina del Rey. Prawdę mówiąc, nie spieszyła się zobaczyć, co zostało po jej domu.

- Zatonął. - Gage zaklął i przeciągnął dłonią po twarzy. Wzniósł wzrok ku niebu. - Boże, wiem, że nie byłem święty, ale skoro pragnałeś, bym poświęcił ci więcej uwagi, mogłeś przecież zniszczyć tylko maszt albo coś takiego.

Blythe pomyślała, że nawet w tak rozpaczliwej sytuacji Gage nie traci humoru. Instykt ostrzegał ją, że kontakt z tym mężczyzną sprowadzi kłopoty, mimo to położyła dłoń na jego ramieniu.

- Na pewno był ubezpieczony? - Poczuła napięcie mięśnia pod palcami.

- Spodziewam się, że ubezpieczenie łodzi obejmuje również skutki trzęsienia ziemi. Jednak nawet wtedy czek z towarzystwa ubezpieczeniowego nie pokryje kosztów wydobycia zatopionej kartoteki z dna przystani.

Słowa Gage'a spadły na Blythe jak grom z jasnego nieba.

- Były tam dane na temat sprawy Aleksandry?

- Owszem. - Roześmiał się, bo opłakiwanie straty nie było w stylu detektywa Remingtona. - Nie martw się. Trochę to potrwa, ale można odtworzyć dane.

W zdumiewająco ciemnych oczach aktorki pojawiła się ulga. Gage wiedział, że igra z ogniem, lecz zapragnął pocałować ją, przywrzeć ustami do jej warg i mocno przytulić ponętne ciało.

Nieświadoma marzeń mężczyzny, Blythe zastanawiała się nad sytuacją. Oboje byli bez dachu nad głową. Przed odjazdem do szpitala zorientowała się, że jej pięknemu domowi grozi rozbiórka. Jeśli do tego nie dojdzie, upłynie sporo czasu, zanim będzie się znów nadawał do zamieszkania.

- Co zamierzasz robić tymczasem? - spytała.

Gage bezwiednie owinał wokół palca kosmyk włosów kobiety. Ostra szpitalna woń środków dezynfekcyjnych nie zabiła zmysłowego zapachu tropikalnych kwiatów, charakterystycznego dla perfum Blythe.

- W jakim sensie?

Czy zdawał sobie sprawę ze swego wpływu na nią? Samo spojrzenie i niewinny dotyk sprawiały, że usta jej pierzchły, serce waliło jak młotem. Za późno oderwała wzrok od jego płonących oczu.

- Gdzie będziesz mieszkał? - Blythe starała się nadać głosowi obojętny ton. Już napytała sobie biedy. Pozwalała wyobraźni snuć śmiałe wizje całujących ją ust Gage'a.

Remigton zapomniał, że Blythe należy do innego mężczyzny. Liczyło się tylko pragnienie dotyku. Nie potrafił oprzeć się pokusie, by zatopić dłonie w jej włosach.

- Zrobię prawdopodobnie to co ty. Przeprowadzę się do hotelu. Może wynajmę mieszkanie.

Zadrżał drewniany pomost pod ich stopami. Kolejny wstrząs. Kiedy Blythe instynktownie uczepiła się ramion Gage'a, detektyw, również instynktownie, w uspokajającym geście położył dłoń na jej biodrze.

- To tylko mały, końcowy wstrząs - zapewnił głosem ochrypłym nie ze strachu, lecz z pożądania. - Nie trzeba się bać.

- Ja się nie boję. - Cichy, niepewny głos zabrzmiał dziwnie nawet w uszach samej Blythe. Wmawiała sobie, że nie boi się przynajmniej trzęsień ziemi. - Naprawdę.

Zacisnął palce.

- Cała drżysz.

- Wiem.

- Zawsze drżysz, kiedy dotyka cię mężczyzna?

Przełknęła ślinę i zmusiła się, by nie odwrócić wzroku.

- Nie. - Nie było sensu kłamać. - To chyba pierwszy raz.

Kołysanie pomostu ustało, nie ustało jednak przyspieszone bicie serca aktorki, wpatrzonej w Gage'a. Oboje pamiętali niemy dialog, jaki toczyły ich spojrzenia w ogrodzie, kiedy panna młoda kroczyła do ślubu. Mówiły ich uczucia, nie rozum i świadomość. „Nie możesz tego zrobić” - twierdził wzburzony wzrok detektywa. „Muszę” - odpowiedziały jej oczy. „Niczego nie musisz. Chodź ze mną. Zaraz”. „Nie mogę”. „Możesz. Pomogę ci”.

Nie padło ani jedno słowo. Nie musiało. I chociaż od dnia, w którym Blythe wynajęła Gage'a do zbierania informacji

o Aleksandrze Romanow i Patricku Reardonie nie wymienili ani jednej uwagi na tematy osobiste, Blythe czuła irracjonalną pokusę, by posłuchać śmiałego żądania Remingtona. I wtedy zatrzęsa się ziemia. Oboje upadli. Urwał się dialog dwóch par oczu. Ale nie na zawsze.

- Masz brudną twarz - odezwał się Gage i szorstką, pokrytą odciskami dłonią starł grudkę błota z policzka kobiety.

- To od ziemi z grządk, w której wylądowałam.

- Pewnie tak.

Palce Gage'a powoli wędrowały wzdłuż kości policzkowej i podbródka Blythe, wywołując słodki, przenikliwy ból.

- Wciąż czuję pod sobą twoje ciało, takie delikatne i ciepłe - powiedział, docierając kciukiem do pulsującego zagłębienia w smukłej szyi. - To bardzo przyjemne uczucie, Blythe.

Niebezpiecznie przyjemne, podszepnęła mu resztką rozsądku.

- Nie powinieneś tak ze mną rozmawiać.

Zwiniętą w pięść dłonią szturchnęła tors mężczyzny, ubrany w ongiś nieskazitelnie białą koszulę. Walczyła z nim czy ze sobą?

- Czy wiesz - mruknął, ignorując słaby protest - że od chwili gdy pojawiłaś się na moim jachcie, chciałem cię pocałować?

Właściwie Remington powinien był teraz rozpaczać nad utratą łodzi, którą kupił kiedyś okazyjnie na aukcji i pod jej zastaw zaciągnął kilka pożyczek. Ewentualne odszkodowanie nie pokryłoby w całości kwoty zadłużenia.

Jakże mógł się jednak użalać nad sobą, skoro los, zabrawszy mu dom, pchnął w jego ramiona Blythe Fielding?

- Nie wiedziałam, co czujesz - skłamała, doskonale pamiętając ten moment.

- Oczywiście, że wiedziałaś. - Wypomniał jej kłamstwo tym samym tonem, którym w szpitalu złajał Cait Carrigan. No, może trochę cieplejszym, bardziej intymnym. - Ile to już czasu pracuję dla ciebie? Miesiąc?

- Dwadzieścia osiem dni. - Blythe wzywała w myślach niebiosą na pomoc.

- Długo. Zawsze byłem znany z cierpliwości. - Nie zaskoczył tym aktorki, która podziwiała metodyczność, z jaką przedzierał się przez stopy zakurzonych fiszek i mikrofilmów z kartoteki. - Uważam jednak, że dwadzieścia osiem dni rozmyślania o pocałunku to o dwadzieścia siedem dni za długo.

Jakże miała się oprzeć? Gage przyciągnął ją, aż ich ciała przylgnęły do siebie.

- Pora przestać walczyć z głosem natury. - Powoli opuścił ciemnowłosą głowę. - I tobie też to radzę.

ROZDZIAŁ

5

Blythe usiłowała uzmysłować sobie wszystkie powody, dla których powinna się wycofać natychmiast, póki jeszcze był czas. Po pierwsze i najważniejsze miała wyjść za mąż za innego mężczyznę. Gdyby nie trzęsienie ziemi, znajdowałaby się teraz w podróży poślubnej na Hawaje jako pani Alanowa Sturgessowa. Blythe stała jak skamieniała, wpatrując się w zbliżające się usta Gage'a. Musnął jej wargi raz, drugi, trzeci, dając szansę wyboru. Powinna go powstrzymać. I zamierzała tak zrobić. Już, już, za chwilę...

Remington tak właśnie wyobrażał sobie dotyk i smak warg pięknej Blythe. Były miękkie, ciepłe. I słodkie aż do bólu. Nie miał prawa kraść tych pocałunków. I nie musiał. Miękkie wargi Blythe rozchyliły się, wydając cichy jęk rozkoszy. Zapraszały do zakazanego pocałunku, który, jak oboje świetnie wiedzieli, był nieunikniony.

Nie zamknęli powiek. Jasnononiebieskie oczy mężczyzny patrzyły przenikliwie, odsłaniając ciemną, niebezpieczną stronę jego osobowości. W czarnych, szeroko otwartych oczach kobiety czaiła się wszechmocna namiętność. Blythe oddychała coraz szybciej. Oplotła ramionami szyję

Gage'a. Zwlekanie mężczyzny doprowadzało ją do szaleństwa.

- Do diabła! - odezwała się, drżąca i napięta. - Jeśli masz mnie pocałować, zrób to od razu. - Przywarła mocniej do Gage'a. - Przestań mnie tak torturować!

Gage'a nie trzeba było prosić. Wtargnął do wnętrza gorących, spragnionych ust. Wiedziona dzikim, prymitywnym instynktem aktorka bez reszty zatraciła się w pocałunku. Gdyby Gage zaciągnął ją na deski pomostu i wziął tu i teraz, niemal publicznie, nie uczyniłaby niczego, aby go powstrzymać.

Serce Remingtona waliło jak młotem. W lędźwiach wzbierał palący ból. Zastanawiał się, dlaczego Blythe Fielding budzi w nim tak szaloną, niepohamowaną namiętność. Chciał zerwać z niej ubranie, dotknąć i posmakować każdego zakamarka rozpalonego ciała. Pragnął zagłębić się w niej i porwać ich oboje tam, gdzie rozum śpi, a rządzi instynkt. Wiedział, że przekracza niebezpieczną granicę, tak silnie pożądając kobiety. Przecież nie bał się ryzyka i lubił wyzwania. Jeśli ogarnęło go szaleństwo, i tak pewnego dnia musiałyby mu się poddać.

Zajęci sobą, nawet nie zauważyli kolejnego lekkiego wstrząsu. Dłonie Gage'a niezgrabnie sunęły wzdłuż ramion Blythe ku jej biodrom. Pieścił cudowne krągłości, zaciskał na nich palce. O takiej kobiecie marzył i choć przyszło mu to z trudem, wreszcie oderwał usta od jej warg.

Zaprotestowała mruknięciem. Tym razem poczuli drżenie pomostu pod stopami. Gdyby Gage nie stał w szerokim rozkroku i nie trzymał Blythe w ramionach, oboje wpadliby do wody.

Nieżyły pomysł. Nie tracąc humoru, Gage stwierdził w duchu, że kąpiel ostudziłaby zmysły. Z ociąganiem, ostrożnie cofnął się o krok. Blythe, oszołomiona siłą drzemiącej w niej

namiętności, o którą do tej pory by się nie podejrzewała, wpatrywała się w Gage'a szeroko otwartymi oczami. Co takiego w sobie miał ten mężczyzna, że w czasie gdy narzeczony składał połamane ciała pacjentów, ona oddawała się szalonym pocałunkom, i to z własnej woli?

Gage spostrzegł w jej wzroku poczucie winy i zrozumiał, że on jest jego przyczyną.

- Do niczego cię nie zmuszałem.

Głupio to zabrzmiało. Zaklął w myślach. Blythe, bliska łez, wykorzystwała wszystkie umiejętności aktorskie, by nadać twarzy wyraz spokoju.

- Wcale tego nie powiedziałam - zauważyła, odrzucając w tył głowę.

- Nie zamierzam się usprawiedliwiać.

Blythe z radością powitała wzbierającą w niej irytację. Oto Gage lekceważył to, czego przed chwilą razem doświadczyli.

- A ja nie zamierzam o to prosić. - Dumnie uniosła podbródek. - Nadzwyczaj emocjonujący dzień. Nic dziwnego, że ludzie poddani takim stresom zachowują się irracjonalnie.

Niepokoił ją sposób, w jaki Gage stał tuż obok i patrzył na nią z góry. Ciekawe, czy w czasach pracy w policji pokonywał przestępców siłą milczenia.

- Chodzi mi o to - Blythe, która nigdy w życiu nie mówiła za dużo i za szybko, nagle zaczęła paplać - że kiedy pracowałeś w policji, niewątpliwie obserwowałeś podobne zachowania. Na przykład podczas zamieszek ulicznych albo klęsk żywiołowych.

Przyczesła dłonią potargane włosy. Gage wyczuł, że jest zdenerwowana.

- Na pewno podczas trzęsienia ziemi w 1994 roku widziałeś kilka...

- Blythe - chwycił ją za rękę, którą znów odruchowo przyglądała ciemne loki - rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Aha.

Patrząc na rumieniące się cudownie zarysowane szczupłe policzki, Gage poczuł potrzebę pocieszenia Blythe.

- Nic nie stoi w miejscu.

Wiedziała, że nie chodzi mu o trzęsienie ziemi.

- Niezupełnie - zaprotestowała bez przekonania..- Tak jak mówiłam...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, które już w zamierzeniu było kłamstwem, z czego oboje doskonale zdawali sobie sprawę, pochylił się gwałtownie i złożył na jej ustach krótki, gorący pocałunek. Zakołysała się z wrażenia.

- Nic nie stoi w miejscu - powtórzył. - Będziemy musieli poradzić sobie z tymi zmianami.

- Nie potrafię - pisnęła płaczkliwie Blythe, powszechnie znana ze swego opanowania. - Nie teraz. Mój dom obrócił się w stertę cegieł, zbitych szyb i pogiętych rur. Powinnam załatwić sprawę odszkodowania. Martwię się też o losy mojego filmu. No i muszę zorganizować na nowo wesele...

Uciszył Blythe, kładąc opalony palec na jej ustach. Nie chciał słuchać o małżeństwie ani myśleć o jej wyjeździe na Hawaje, drinkach udekorowanych papierowymi parasolkami i miłosnych zbliżeniach na piaska nad tropikalną laguną.

Do diabła, co ona widziała w tym sztywnym snobie? Gage nie mógł się opędzić od natrętnego pytania, chociaż nie powinien się tym interesować.

- Nie martw się. Nie zakłócę twoich życiowych planów. Będę na Florydzie.

- Na Florydzie?

- Wspomniałem ci, że wpadłem na pewien trop dotyczący

Aleksandry. - Czyżby w ciemnych, wyrazistych oczach kobiety dostrzegł przestrah? Żal? - Pamiętasz?

- Ach tak, oczywiście.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Jakże wspaniale czuła się w jego objęciach... Pragnął zabrać ją do najbliższego hotelu i skończyć to, co zaczął na pomoście. Skoro doszedł do takiego stanu, postanowił uciec na bezpieczną odległość od pokusy. I to natychmiast.

- Lepiej pojedźmy do twojego domu - oświadczył stanowczym, zasadniczym tonem, uwielbianym przez policjantów całego świata. - Zobaczymy, czy uda się uratować coś z rzeczy, zanim inspektorzy z firmy ubezpieczeniowej zaplombują budynek.

- A ty?

Blythe zostały przynajmniej ubrania. Miała także nadzieję, że w sejfie ukrytym za obrazem znanego impresjonisty przetrwały nieliczne dokumenty dotyczące Aleksandry i Patricka. Gage natomiast stracił cały dobytek.

- To tylko rzeczy-wzruszył obojętnie ramionami.

Nie umiała sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek, któremu pozostało tylko to, co ma na grzbiecie.

- Pozwól przynajmniej, że ci wypłacę zaliczkę. Na najpotrzebniejsze zakupy - wyjaśniła, widząc nachmurzoną minę Gage'a. - Potrzebujesz przecież na podróż ubrań, przyborów toaletowych, pieniędzy na bieżące wydatki...

Patrzył na nią długą chwilę. Blythe miała wrażenie, że Gage porównuje style życia, do jakich oboje przywykli. Istotnie, porównywał.

Przygotowała się na cierpki komentarz lub, co gorsza, na oskarżenie o rozrzutność typową dla bogaczy. Gage raz jeszcze ją zaskoczył. Odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Nie sędzę, bym powiedziała coś śmiesznego - stwierdziła zaskoczona, nie wiedzieć dlaczego czując się głupio.

Gage był w rozterce. Które z wcieleń Blythe Fielding pociągało go bardziej? Czy ponętna syrena, odpowiadająca namiętnością na jego namiętność, czy też chłodna jak lód bogini, której zmysł do interesów przeczył ciału stworzonemu do grzechu?

- Nie powiedziałaś. - Świadomy popełnianego błędu, pocałował Blythe delikatnie, czule, aż całe jej ciało przeszły dreszcz.
- Właściwie nie. Po prostu jesteś śliczna z tą poważną buzią.

Nikt nie nazwał jej śliczną od czasu, gdy pewnego lata ciało trzynastoletniej dziewczynki przybrało kobiece kształty. I chociaż usiłowała udąć obrażoną męskim szowinizmem, wbrew samej sobie uśmiechnęła się.

- Mam się obrazić?
- Słuchaj, jako prywatny detektyw i były policjant wiem, że klienta nie należy obrażać. - Musnął palcem jej policzek.
- Zapamiętaj, że nie trzymam pieniędzy, nawet najmniejszej sumy, w bucie pod koją, Blythe. Mam pięćdziesiąt dolarów w portfelu, a reszta leży w filii banku Marina del Rey.

- Cieszę się - odparła szczerze.
- Wiem. - Otwartość aktorki dodała mu śmiałości.
Nie potrafił się powstrzymać, by jej nie dotknąć, ot choćby kładąc palce na dłoni Blythe. Spontaniczny, niewinny gest sympatii.

- To nie w porządku - odezwała się półgłosem, spoglądając na połączone ręce. Wiedziała, że znów jednocześnie pomysleli o tym samym.

- Może i nie. - Twarz mężczyzny stężała. Zniknął uśmiech. Oczy patrzyły surowo jak dwa jasnyniebieskie kamienie. - Gdy wrócę z Florydy, skończymy to, co zaczęliśmy.

Blythe nie odpowiedziała. Wyrwała dłoń z silnej, opalonej męskiej dłoni i powróciła do czekającej limuzyny.

Kiedy samochód sunął wolno w poszukiwaniu objazdów, przestała wyglądać przez okno. Powtarzała w duchu, że przecież jest zaręczona. Zapewniała samą siebie, że dziwne, w gruncie rzeczy nieuczciwe zauroczenie Remingtonem wkrótce przeminie. To ona każe mu przeminać.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że to robię.

W ciągu dwudziestu czterech godzin nie tylko doświadczyła pierwszego w życiu trzęsienia ziemi, lecz pozwoliła się namówić Blythe i Cait i zwróciła w kasie bilet powrotny na samolot. Te niecodzienne posunięcia traktowała bez entuzjazmu i bez przekonania.

- Wymień chociaż jeden sensowny powód powrotu na wschodnie wybrzeże - zaatakowała Cait, kiedy wraz z Lily wysiadła z wiśniowego mustanga przed Bachelor Arms. Blythe przyjechała ze szpitala swoim samochodem trochę wcześniej i czekała na nie na chodniku.

Chociaż Lily starała się nikomu nie zwierzać z własnych problemów, ubiegłej nocy uległa nieustępliwej w przesłuchaniach Cait i opowiedziała o nieszczęściu, jakie ją spotkało.

- Cortlandowie nie spodobali mi się od pierwszego wejścia - stwierdziła Cait.

- Robią tylko to, co im się wydaje słuszne - zauważyła Lily, próbując uzasadnić zachowanie teściów.

- Przesadzasz w swojej dobroduszości, Lily - wtrąciła Blythe. - Po pierwsze, jeśli Van Cortlandowie tak cholernie dobrze wychowywaliby dzieci, ich synalek nie wyrósłby na łobuza, a ty nie wpadłabyś w tarapaty.

Przyjaciółki patrzyły na aktorkę zaskoczone nietypowym

dla niej wybuchem gniewu. Zwykle okazywała bliźnim więcej tolerancji.

- Nie powiem, że się z tobą nie zgadzam - oświadczyła Cait - ale chyba wstałaś dzisiaj z łóżka lewą nogą, Blythe.

- Przede wszystkim, żeby wstać z łóżka, musiałabym się najpierw położyć. - Blythe potrząsnęła z gniewem głową. - Prawie całą noc byłam na nogach. Spisywałam straty dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

Prawda wyglądała nieco inaczej. Po powrocie, tak jak się obawiała, zastała dom opieczętowany. Gage znał policjantów zabezpieczających teren i załatwił, że wpuszczono ją do środka, aby zabrała niezbędne rzeczy.

Potem wynajęła osobny bungalow w sławnym Chateau Marmont, który od 1929 roku zapewniał prywatność swoim szacownym gościom. Fakt, iż Aleksandra Romanow zatrzymała się tu po przyjeździe do Hollywood, dodawał romantycznej aury temu wyborowi.

Na razie Blythe nie umiałyby wyznać, że noc w bungalowie upłynęła głównie na rozmyślaniach o Gage'u Remingtonie. Blythe rozpamiętywała tę szczególną chwilę, kiedy kroczyła między szpalerami gości weselnych ogarnięta dziwnym uczuciem, że połączyła się duchowo z detektywem i że może z nim rozmawiać oczyma. Przez długie, mroczne nocne godziny nie dawało jej spokoju wspomnienie cudownego zakazanego pocałunku. I jak gdyby tej udręki nie było jeszcze dosyć, męczyły ją nocne koszmary o życiu i śmierci Aleksandry Romanow. Otrząsnęła się ze złych, przynębiających myśli.

- Przeprowadzka tutaj, z dala od tych wstrętnych Van Cortlandów, tu, gdzie masz przyjaciół, którzy cię wspierają, to właściwa decyzja, Lily. - Tymi słowami zareagowała na opo-

wieść Cait o pogmatwanej sytuacji przyjaciółki. - Wolałabym tylko, żebyś mogła zatrzymać się u mnie.

- Na pewno spodoba mi się w Bachelor Arms - stwierdziła Lily z przekonaniem. Wszystko było lepsze niż powrót do Connecticut, gdzie nigdy nie czuła się jak w domu, choć bardzo się starała nie okazać tego mężowi.

- Czuję się trochę winna wobec Gage'a - przyznała, kiedy ruszyły chodnikiem do bramy. - Gdybym nie zaatakowała prosto z mostu, prosząc, żeby wziął moją sprawę, być może nie zatrudniłby mnie.

Gage zaproponował jej pracę sekretarki - odbieranie telefonów i przepisywanie raportów na maszynie. Lily miała mu udostępnić swój numer, dopóki nie wróci z Florydy i nie znajdzie jakiegoś mieszkania.

- Nie bądź głupia. Gage potrzebuje asystentki - wtrąciła Cait.

- Ręczę za to - potwierdziła Blythe. - Nigdy nie mogę liczyć na jego automatyczną sekretarkę czy pager.

Zapewniwszy młodą wdowę, że natychmiast po powrocie zajmie się dochodzeniem w sprawie Van Cortlandow, Gage opuścił Los Angeles. Blythe przykazała sobie, że nie będzie za nim tęsknić, a jednocześnie zastanawiała się, skąd nagle nauczyła się tak kłamać.

- Jill mówiła, że wypatrzyła dla ciebie mieszkanie na drugim piętrze - obwieściła Cait, kiedy wchodziły do różowego budynku. - Będiesz zachwycona. A w ślicznym ogródku na tyłach, na słońcu, położysz w wózek dziecko. Już to sobie wyobrażam!

Piękna wizja była tak pociągająca, że Lily poczuła nagły przypływ optymizmu. Świat zdecydowanie nabierał weselszych kolorów.

Zatrzymały się przy drzwiach Jill. Seksowna jasnowłosa projektantka wnętrz, podobna do Lindy Evans z „Dynastii”, serdecznie powitała przyszłą lokatorkę.

- Wiem, jak trudno zacząć wszystko od nowa - oświadczyła, podnosząc klucz z wytwornego biurka w salonie. - Nie wiem, czy Cait ci coś wspominała. Niedawno wprowadziłam się tu po rozwodzie. - Uśmiechała się promiennie, przyjaźnie. - Zobaczysz, że to wspaniałe miejsce na szukanie nowego pomysłu na siebie.

Słowa Jill potrafiły czułą strunę, Lily przyznała:

- To właśnie zamierzam robić.

Kilka dni wcześniej, podczas spaceru na plaży, Lily uzmysłowiła sobie, że jej życie od wielu miesięcy przypomina dryfowanie - bez celu, bez sensu. Zaczęło się to jeszcze przed wypadkiem męża. Pora odzyskać panowanie nad własnym losem, ułożyć wszystko od nowa. Dla siebie, dla dziecka.

- Trzęsienie ziemi poczyniło pewne szkody - zastrzegła Jill. - Na nieszczęście Ken, który dogląda budynku, wyjechał z miasta.

- O jakie szkody chodzi? - spytała Cait, zatroskana o swoje mieszkanie.

- Nie martw się, u ciebie wszystko w porządku - zapewniła ją szybko Jill. - Właściwie wszyscy mieliśmy sporo szczęścia. Większość pomieszczeń wyszła bez szwanku. W twoim mieszkaniu - zwróciła się do Lily - pękła szyba i trzeba ją wymienić. Spadły też ze ścian te półki, które nie były przymocowane na stałe. Zatrudniłam dorywczo pracownika, który zajmie się naprawami do czasu powrotu Kena.

- Szybko się uwinęłaś. - Nawet znając niesłychaną energię i zdolności organizacyjne Jill, Cait była pełna podziwu dla jej operatywności.

- Prawdę mówiąc, wczoraj nie było mnie w mieście - wyjawiała Jill. - Wróciłam dopiero dzisiaj rano.

- A więc kto...

- Brenda go znalazła. Następny nowy lokator.

- Brenda? - Cait zmarszczyła brwi.

Wesoła, piękna, pełna entuzjazmu Brenda. I bardzo naiwna.

- Wiem, o czym myślisz - roześmiała się Jill. - Przyjrzałam mu się dokładnie i na razie mogę stwierdzić, że facet potrafi machać młotkiem. - Wręczyła klucze Lily. - Kiedy Cait zadzwoniła, zapowiadając, że zatrzymasz się tutaj, kazałam mu naprawić szkody w twoim mieszkaniu.

Łukowato zwieńczone drzwi były uchylone. Lily, Blythe i Cait usłyszały głęboki baryton śpiewający przebój Roya Orbisona „Pretty Woman”.

- Ma przyjemny głos - orzekła Blythe.

- A jaki radosny - dodała Cait. - Mam nadzieję, że młotkiem posługuje się równie dobrze jak głosem.

Po wejściu do środka Lily ujrzała mężczyznę w spłowiwałych dżinsach z obciążeniami nierówno nogawkami i w tenisówkach.

- Wiedziałam - odezwała się Cait ponuro. - Brenda wynajęła tancerza z rewii „Tylko dla pań”.

Zjadliwy ton jej głosu przyciągnął uwagę mężczyzny. Odwrócił się. Z wielkim młotkiem w dłoni i skórzanym pasem z narzędziami na biodrach wyglądał trochę śmiesznie.

- No, no - stwierdził przeciągle, natychmiast utkwivszy wzrok w przerażoną twarz Lily. - Nasza ciężarna syrena. Jaki ten świat mały.

Lily nie wierzyła własnym oczom.

- Mac?

Zdumiona Cait spoglądała to na przystojnego Connora, to na zaskoczoną Lily.

- Mac? - O dobry Boże, nic dziwnego, że Lily tak pragnęła zostać w Kalifornii! - To ty jesteś rycerzem na białym koniu?

Miękkie, nie uszminekowane, zapraszające do pocałunku usta Lily przybrały kształt litery O. Connora, doskonale świadomego, że kobieta, którą wyciągnął z fal, przysporzy mu kłopotów, urzekł rumieniec na jej policzkach.

- To ja. We własnej osobie.

Nic dodać, nic ująć, stwierdziła Lily w myślach. Opalony tors Mackaya miał barwę kredensu z honduraskiego mahoni, który przed wielu laty praprababka Padgett uparła się przetransportować ze stanu Vermont do Iowa. Piękny, solidny mebel, dziedziczony z pokolenia na pokolenie, stał teraz w magazynie w Hastings, ponieważ Cortland odmówił w swoim czasie wstawienia go do swego domu.

Na muskularnym torsie błyszczała warstewka potu. Lily spojrzała na włosy pokrywające skórę na piersiach i niczym strzała ginące za paskiem dżinsów. Poczowała przypływ niebezpiecznych, niepokojących emocji.

- Mówiłeś chyba, że przyjechałeś do miasta w interesach - powiedziała, kiedy wreszcie zdołała wydusić z siebie głos.

- Zgadza się. - Connor wcale nie kłamał.

Gorzkie doświadczenie nauczyło Lily nie ufać ujmującemu uśmiechowi i ładnym oczom.

- A teraz jesteś majsterklepką? - Sceptycznemu tonowi towarzyszyło uniesienie brwi.

Raz już skłamałszy na temat nazwiska, Connor wywinął się jak piskorz.

- Masz coś przeciwko uczciwej pracy?

- Ależ nie, oczywiście. - Coś tu się nie zgadzało. Ale co?
 - Po prostu bogaty człowiek nie zarabiałby na życie wieszając półki.

- To ty powiedziałaś, że jestem bogaty - zauważył, nie dbale wzruszając ramionami.

Wzrok Lily powędrował natychmiast ku szerokim barkom.

Ta część jej osoby, która chciała wierzyć Mackayowi, uważała, że był w zbyt dobrej kondycji i zbyt opalony jak na człowieka spędzającego całe dnie w gabinecie w eleganckim biurówcu. Druga, cyniczna Lily - tę część osobowości odkryła w sobie po paru miesiącach nieudanego małżeństwa - uznała, że Connor zachowuje się zbyt swobodnie jak na zwykłego zjadacza chleba.

- A ty nie sprostowałeś - przypomniała.

- Nie dałaś mi szansy. Zamknęłaś drzwi, zanim zdążyłem cokolwiek wyjaśnić.

Nigdy nie spotkała robotnika, który by się tak wystawiał. Zerknęła na Cait i Blythe.

- Musimy porozmawiać.

Jeśli Mac Sullivan miał pracować w Bachelor Arms, Lily w żadnym wypadku nie powinna tam zostać.

Był zbyt atrakcyjny.

Zbyt kuszący.

Zbyt męski.

- Pora na lunch - oświadczyła Cait. - Mogłybyśmy pójść tu obok, do baru „U Flynnna”.

- Z góry popieram propozycję - rzuciła Lily i nie oglądając się na Connora, wyszła z mieszkania.

- O co w tym wszystkim, do diabła, chodzi? - spytała Jill.

Cait zorientowała się, co gnębi owdowiałą przyjaciółkę. Postanowiła jednak się z tym nie zdradzać.

- Hormony - oznajmiła ogólnie. - Wiecie, jak humorzaste bywają ciężarne.

Jill, wyraźnie nie przekonana, zerknęła na Connora, który posłał jej niewinne spojrzenie.

- Czy ona wreszcie bierze ten pokój czy nie? Mnóstwo domów zostało uszkodzonych podczas trzęsienia ziemi, a ich lokatorzy będą szukali nowych mieszkań. Nie mogę rezerwować tego pokoju w nieskończoność.

- Weźmie go na pewno - stwierdziła Cait szybko.

Teraz, kiedy zobaczyła Maca Sullivana i odkryła, że będzie mieszkał w Bachelor Arms, postawiła sobie za cel sprowadzenie Lily do różowego domu.

Jako policjantka była dumna ze swej intuicji. Jej życie często zależało od pójścia za głosem instynktu. I chociaż podzielała podejrzenia Lily, że przystojny mężczyzna nie zajmuje się na co dzień remontami domów, wyczuwała w nim po prostu dobrego człowieka. Przyzwoitego człowieka.

Cait i Blythe z całego serca pragnęły, aby coś lub ktoś oderwał Lily od jej problemów. I oto, zrządzeniem opatrności, ktoś taki się znalazł.

- Uważaj to mieszkanie za wynajęte - poleciła Blythe, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Cait. Obie myślały o tym samym. Złotym piórem wiecznym wypisała czek i wręczyła go Jill. - Przypuszczam, że ta suma wystarczy na pokrycie kaucji?

- Tak, i na czynsz za pierwszy miesiąc. - Jill uśmiechnęła się, zadowolona z pomyślnego załatwienia sprawy. - Urządzamy wieczorem przyjęcie dla szczęśliwie ocalonych lokatorów. Mam nadzieję, że przyjdziecie razem z Lily.

Connor, także zadowolony z obrotu rzeczy, zajął się znów wieszaniem półtek.

- Będiesz na przyjęciu? - zagadnęła go Cait.
- .- Skoro należę do grona lokatorów, chyba się pojawię
- odparł ze starannie udaną obojętnością.

Nie zamierzał przegapić okazji, jeśli miał spotkać Lily.

- Przyjdziemy - zapewniła zachwycona Cait. - Z całą pewnością.

ROZDZIAŁ

6

Bar „U Flynna” służył okolicznym mieszkańcom jako miejsce, w którym można posiedzieć, pogadać i posłuchać, co danego dnia wydarzyło się u sąsiadów. W nazwie lokalu uczczono pamięć aktora filmów przygody Errola Flynna oraz wesołych kawalerów, którzy niegdyś, jak głosiła wieść, mieszkali w willi Bachelor Arms i których czarno-białe fotografie zdobiły ściany. Zdjęcia doskonale pasowały do wystroju wnętrza, utrzymanego w stylu art deco - biel i czerń, ciemne drewno, mosiężne barierki - tak modnym w latach świetności Hollywood.

Trzy przyjaciółki zajęły kącik pod ścianą. Zamówiły napoje i wielki półmisek meksykańskich pierogów. Od dziesięciu minut Lily i Cait nie przestawały się kłócić.

- Przykro mi - powtórzyła Lily po raz kolejny - ale nie mogę zostać w tym domu.

Blythe sączyła mrożoną herbatę i w milczeniu obserwowała sprzeczkę przyjaciółek. Ileż razy oglądała podobne sceny w studenckich czasach!

- Nie możesz? - prowokowała Cait. - Czy nie zostaniesz?
 - Kiedy Lily nie odpowiedziała, Cait westchnęła ostentacyjnie. - Nie potrafię wprost uwierzyć, że zamierzasz zrezygnować z rewelacyjnego mieszkania za psie pieniądze tylko dlatego, że jakiś facet parę dni temu zaprosił cię na kolację.

Lily zdawała sobie sprawę, że ten argument naprawdę brzmi śmiesznie. A przecież jej opór miał poważne, choć nie do końca wytłumaczalne powody. Lekko uniosła podbródek.

- Sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż myślisz.

- A wcale nie musi - zasugerowała delikatnie Blythe, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

- Co przez to rozumiesz? - spytała Lily zaczepnie.

Blythe i Cait wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Lily przyjechała do Los Angeles przygaszona i zamknięta w sobie. Dobrze, że odzyskała przynajmniej trochę z dawnej energii.

Blythe doszła do wniosku, że jeśli Mac Sullivan ma cokolwiek wspólnego z tchnieniem nowego ducha w nieszczęśliwą przyjaciółkę, jest mu wdzięczna za to, że się pojawił.

- Jill powiedziała przecież, że on tylko zastępuje pana Ambersona - przypomniała. - Kiedy Amberson wróci, twój rycerz straci pracę.

- To nie jest żaden mój rycerz. - Wzburzenie wywołane nieoczekiwanym spotkaniem było tak wielkie, że poruszyło nawet dziecko w łonie Lily.

- Punkt dla ciebie - zgodziła się Blythe gładko. - Faktem jest, że on prawdopodobnie lada dzień stąd wyjedzie.

- Pozostaje mi mieć taką nadzieję - mruknęła Lily.

- Blythe ma rację • - stwierdziła Cait. - Zanim się obejrzysz, facet zniknie.

Cait zauważyła, z jakim błyskiem w oku Mac Sullivan patrzył na Lily, i nie wierzyła w ani jedno własne słowo.

- O wilku mowa - zauważyła Blythe, zerkając przez ramię Cait w stronę drzwi.

Cait odwróciła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Lily, dla odmiany, okazała nagłe zainteresowanie blatem stolika.

- Przykro mi, że panie niepokoję - oznajmił zastępca Ke-na Ambersona, przystając na chwilę - ale chyba powinienem powiadomić, że praca nad półkami została zakończona.

Connor zdjął pas z narzędziami i na nagi tors włożył błękitną koszulkę polo. Cait żałowała, że Lily nie podnosi wzroku i przepiękny uśmiech marnuje się dla dwóch „zajętych” już kobiet.

- Możesz się wprowadzić w każdej chwili, Lily - zwrócił się bezpośrednio do młodej wdowy.

Powoli uniosła głowę.

- Nie zdecydowałam jeszcze, czy wprowadzę się do Bachelor Arms - oświadczyła chłodno, a Connor pomyślał, że takim właśnie tonem cesarzowa zwalnia ze służby stangreta, który zabłądził.

- Bardzo miło z twojej strony, że tak szybko uporałeś się z pracą - zauważyła Cait.

- To mój obowiązek.

Zdawkowe wzruszenie ramion sprawiło, że wzrok Lily powędrował bezwiednie ku szerokim, silnym męskim barkom.

- Proszę dosiąść się do nas, panie Sullivan - zaproponowała z niewinną miną Cait. - Skoro będziemy sąsiadami, powinniśmy się lepiej poznać.

- Ależ Cait... - zachnęła się Lily.

- Dzięki. - Connor bez wahania zajął wolne krzesło. - Mówcie mi Mac i pozwólcie, że to ja was zaproszę na lunch.

Zanim Gait zdążyła zaprotestować, a Lily uciec, przy stoliku pojawił się barman Eddie i napełnił na nowo szklanki mrożoną herbata.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, pani Fielding - zwrócił się do Blythe - ale ciekawi mnie, co pani wie o sprzedaży Xanadu Studios.

Cait przedstawiła kiedyś Eddiego słynnej aktorce. Blythe uznała, że swobodny, nieco włóczęgowski styl do niego pasuje. Nie zdziwiła się, że barman chciałby zrobić karierę w przemyśle filmowym, była jednak zaskoczona, że ma do czynienia nie z aktorem, lecz z początkującym scenarzystą.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Jakiej sprzedaży?

Connor zaklął w myślach. Zastanawiał się, skąd przeciekła informacja, która przed końcem miesiąca nie powinna być znana opinii publicznej.

- Nic pani nie wie? - Eddie wytrzeszczył oczy. - Sądziłem, że skoro należy pani do największych gwiazd tej wytwórni, dotarły do pani pocztą pantoflową jakieś wieści.

- Szczerze mówiąc, jestem ostatnio dosyć zajęta.

Na myśl o konsekwencjach aktorce zakręciło się w głowie. Nie przejmowała się zbytnio losem filmów, w których zgodziła się wystąpić. Wręcz przeciwnie, z radością powitałaby decyzje nowego właściciela studia, które przerwałyby wieczne obsadzanie jej w rolach *femme fatale*.

Chodziło o scenariusz osnuty wokół losów Aleksandry! Kontrakt podpisał Walter Stern III. Czy umowa straci ważność, jeśli Stern przestanie zarządzać wytwórnią?

- Jesteś pewien? - spytała barmana.

Przecież Hollywood żeruje na plotkach, w większości wyssanych z palca.

- Przeczytałem w najnowszym numerze „Variety” - zapewnił Eddie. - W obszernym artykule, na pierwszej stronie, piszą, że Stern sprzedał wytwórnię firmie CS. Mackay Enterprises. Przyniosę gazetę.

Postawił na stoliku dzbanek z mrożoną herbatą i zniknął za barem.

W przeciwieństwie do wielu dyrektorów poważnych przedsiębiorstw, Connor bardzo chronił swoje życie prywatne przed dociekliwością prasy. Dbał o to specjalny zespół pracowników. Teraz jednak groziło mu zdemaskowanie. Gdyby Lily zobaczyła jego fotografię, a „Variety” wydrukowało ją bez wątpienia...

- Connor Mackay kupił wytwórnię Blythe? - zainteresowała się Lily.

Natychmiast zapomniała o rozterkach związanych z Makiem Sullivanem. Przecież Blythe mogła się znaleźć w nie lada kłopotach.

- A kto to jest? - spytała Cait.

Connor zauważył, że Lily zacisnęła usta w wąską kreskę. Znaczyło to, że cokolwiek wspomniał jej mąż na temat kontaktów z Connorem, nakłamał.

- Connor Mackay kryje się za CS. Mackay Enterprises - wyjaśniła Lily zimnym tonem, co przekonało Mackaya, że gdyby nie ukrył swej tożsamości, nie odezwałaby się do niego ani słowem. - To człowiek chciwy, zachłanny, pozbawiony skrupułów i nieuczciwy.

Connor z trudem powstrzymał wściekłość.

- Dość ostra ocena - mruknęła Blythe, tracąc wszelką nadzieję.

Lily zawsze była ślepa na wady innych. I dlatego dała się nabrać Cortlandowi juniorowi.

- Nie dość ostra - odparła. - Po części przez niego jestem bankrutem.

Connor omal nie jęknął. Lily myliła się oczywiście. Miary goryczy dopełniał jednak fakt, że w tym względzie wierzyła swemu mężowi oszustowi.

- Sądziłam, że to z powodu męża - wtrąciła Cait.

Mackay potwierdził w duchu: „Amen”.

- Connor Mackay oszukał Cortlanda na pewnym przedsięwzięciu. Ogołocił nasze wspólne konto.

Wierutna bzdura! Connor musiał brnąć dalej w tę maskaradę. Zacisnęła zęby aż do bólu.

- Nie obraż się, Lily, ale twój mąż nie był wzorem cnót. Może nie mówił ci prawdy o interesach - powiedziała Blythe.

Modliła się, by tak było. Gdyby Walter sprzedał wytwórnię jakiemuś nieuczciwemu rekinowi finansjery... Na samą myśl o tym Blythe zrobiło się gorąco.

Wrócił Eddie z gazetą. Wielki nagłówek przekonał Blythe, że nie chodzi o typową hollywoodzką plotkę. Zaczęła czytać na głos:

- „Wyrzekając się ciepłej posiadki w międzynarodowym imperium finansowym swojej rodziny, multimilioner samotnik Connor Mackay przed ośmiu laty ukończył studia na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Stanford. Zaczynał z zaledwie milionem dolarów przy duszy. Odziedziczył go po bogatej babce Victorii Vallejo Sullivan Brady. Kupił małą farmę i uprawiał specjalny gatunek ziół na herbatę ziołową i przyprawy. Wkrótce te wyroby stały się szeroko znane w świecie, a akcje firmy trafiły na giełdę nowojorską”.

- Kupuję te zioła - przyznała Cait. - W śródziemno-

morskim oregano zawiera się tajemnica mojego sosu do spaghetti.

- A ja kupuję herbatę - oświadczyła Blythe.

Lily skrzyżowała ręce na piersiach.

- Prędzej umrę z głodu, niż sięgnę po te produkty. Wolę pić szlam z rzeki Hudson.

Connor z całych sił starał się pamiętać, że lubi trudne, ryzykowne sytuacje. A Blythe czytała dalej:

- „Mackay rozszerzył swój majątek o posiadłość ziemską, stadninę koni, firmy komputerowe oraz sklepy ze sprzętem turystycznym. Nawet ekonomiści nie potrafią znaleźć nici łączącej jego rozmaite przedsiębiorstwa”.

Mackay uśmiechnął się w duchu. Cóż, stado facetów w prążkowanych garniturach z biurowców Wall Street nie chciało po prostu uwierzyć, że jedyny sekret sukcesu Cormora, o ile w ogóle istniał jakiś sekret, polegał na inwestowaniu w przedsięwzięcia, które interesowały go osobiście - jak na przykład ostatnio Xanadu Studios.

- Jest jakieś zdjęcie?- spytała Cait.

- Oczywiście.

Connor z ulgą stwierdził, że czasopismo zamieściło starą fotografię, zrobioną tuż po ukończeniu studiów. Podczas trzy-nastodniowego spływu kanionem Kolorado wyhodował sobie brodę, przydającą mu wieku i doświadczenia. Niestety, upały nie zachęcały do noszenia zarostu i kiedy pewna atrakcyjna przedstawicielka handlowa firmy Golman Sachs narzekała, że broda drapie, zgolił ją bez żalu.

- Ma ładne oczy - orzekła Cait.

- Zbyt blisko osadzone - zdecydowała Lily. - I widać w nich skłonność do kradzieży.

Chociaż Blythe intensywnie przypatrywała się zdjęciu, nie

dostrzegła niczego niepokojącego. Wręcz przeciwnie. Ujrzała zielone światło dla swego projektu. Odłożyła gazetę.

- Nie wygląda tu na człowieka nieuczciwego - oświadczyła.

W jej głosie i wzroku nadzieja splatała się z troską. Connor pragnął natychmiast zapewnić sławną aktorkę, że za jedyny cel postawił sobie wzmocnienie pozycji Xanadu jako wytwórni. I nie miało to nic wspólnego z jego karierą, jakimkolwiek wiodła ona szlakiem.

- Ciekawe, co z moim scenariuszem - odezwał się Eddie z jeszcze pośępniejszą miną.

- Twój scenariusz leży teraz w Xanadu? - spytała Cait. - Sądziłam, że w Touchstone. A przedtem chyba w Paramount

- Trzy razy zmieniałem koncepcję, a sześć razy tytuł, ale wreszcie tekst przeszedł. Pomyślałem więc, dlaczego nie spróbować w Xanadu? Stern obiecał spotkanie w przyszłym tygodniu. - Przeciagnał dłonią po krótkich, falujących brązowych włosach. - Chyba powinienem zadzwonić i dowiedzieć się, czy ich to nadal interesuje.

Westchnął i zerknął na Connora, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

- Podać coś panu? - zagadnął, lecz nie udało mu się wykręsać z siebie zawodowego zaangażowania. - Piwo z puszki?

- Poprzestaną chyba na mrożonej herbacie. Właściwie jestem w pracy. - Connor posłał Lily promienny uśmiech. - Jeśli potrzebuje pani pomocnika do przeprowadzki, pani Van Cortland, oferuję silne bary.

- Nie mam tyle rzeczy, żeby korzystać z tragarza.

Z jej głosu przebijała lodowata obojętność. Connor miał nadzieję, że tylko udawana. Wziął za dobrą monetę, że Lily nie wzbraniała się już przed przeprowadzką do Bachelor

Arms. Podziękował za herbatę i zamówił firmową kanapkę. Z niecierpliwością oczekiwał wieczornego balu lokatorów.

Upewniwszy się, że spiżarnia Lily została zapełniona żywnością, Blythe wróciła do Chateau Marmont. Czekał tam na nią Alan.

- Biedaczek - mruknęła, nadstawiając policzek do pocałunku. - Jesteś chyba wykończony.

- Parę razy udało mi się zmrzyć na chwilę oko w pokoju lekarzy. Przypomniały się dawne dobre czasy pracy na internie. Cóż, byłem wtedy dużo młodszy.

- Na pewno teraz nie jesteś stary, kochanie - odrzekła Blythe zgodnie z prawdą.

Młodsza o piętnaście lat od czterdziestoletniego narzeczonego Blythe, która pracowała od dziecka, zachowywała się znacznie dojrzalej niż większość jej rówieśników.

- Mówisz jak wierna, lojalna żona - stwierdził półgłosem. Przesunął dłońmi po plecach Blythe i przycisnął ją do siebie.

- Tak mi przykro z powodu twojego domu, kochanie.

- To przecież tylko trochę cegieł i drewna.

Blythe zrozumiała nagle, że w gruncie rzeczy poniosła błąhą, czysto materialną stratę.

- Zawsze możemy zmienić plany i przenieść się do mnie.

Nie zamierzała znów podejmować dyskusji na ten temat.

- Pomyślę o tym - odpowiedziała wykrętnie.

- To cała ty.

Przywarł ustami do jej warg. Blythe czekała na przypływ pożądania. Szczerze się zmartwiła, kiedy nie nastąpił.

- Czy zdajesz sobie sprawę - szepnął jej Alan do ucha - że gdyby nie to cholerne trzęsienie ziemi, przeżywalibyśmy teraz nasz miesiąc miodowy na Hawajach?

- Wiem.

Westchnęła i objęła Alana. Gdyby poleciała na Hawaje, nie całowałyby się z Gage'em.

- Zorganizowanie nowej ceremonii ślubnej zajmie trochę czasu, ale mam dla ciebie niespodziankę - wyznał Alan.

- Uwielbiam niespodzianki.

W każdym razie lubiła prawie wszystkie. Ta związana ze sprzedażą Xanadu należała do nieprzyjemnych. Kiedy próbowała skontaktować się z Walterem Sternem, sekretarka poinformowała, że wyjechał na urlop do Mediolanu. Nie brzmiało to zachęcająco.

Palce niedoszłych państwa młodych splotły się. Alan wprowadził Blythe do sypialni. Szerokie łóżce zaścielono. Pałiły się pachnące woskowe świece. Na komodzie stał przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych, którego nie było w apartamencie, kiedy Blythe się wprowadzała.

Alan wybrał numer utworu. Rozległ się szum morza.

- Och, Alan...

Przerwał jej pocałunkiem - dłuższym i bardziej namiętnym niż poprzedni.

- To tylko początek - zapowiedział głosem ochrypłym z pożądania.

Zawiesił na szyi narzeczonej girlandę pachnących kwiatów. Z dzbana stojącego na nocnym stoliku nalał drinki do szklanek udekorowanych plasterkami pomarańczy i wisienkami.

- To *mai tais* - wyjaśnił, podając szklanek Blythe. - Tahitański cocktail z rumu, soku cytrynowego i ananasowego.

Blythe ogarnęły wyrzuty sumienia. Zgoda, Alan nie zawsze rozumiał jej potrzebę realizowania się w kolejnym filmie i nie cenił zbytnio Hollywood. Może nie rozpałał jej zmy-

słów do czerwoności. Bez najmniejszej jednak wątpliwości ją kochał.

Drink, tak jak wszystko, co robił Alan, okazał się doskonały.

- Jak ci się udało to wszystko zorganizować? - spytała z podziwem. - Przecież od tyłu godzin nie wychodziłeś z oddziału chirurgicznego.

- Zdumiewające, ile można zdziałać paroma telefonami - uśmiechnął się zadowolony. - Mam coś jeszcze.

Podał jej białe płaskie pudełko.

- Ależ Alanie, nie powinienes... - zaprotestowała, rozwiązując wstążeczkę.

Na widok zawartości pudełka głos jej się załamał. Zamiast spodziewanej biżuterii leżały tam dwie znajome koperty z nadrukiem biura podróży.

- Zmieniłem rezerwację biletów. Wyjeżdżamy o północy.

- Ależ Alanie...

Położył palec na jej ustach.

- Zalecenie lekarza. Potrzebujesz wypoczynku, Blythe.

- Pogładził znieruchomiłe ramiona narzeczonej. - Ostrzegałem cię, że wpadniesz w chorobę, jeśli dalej będziesz prowadzić tak intensywny tryb życia. - Szczupłą dłonią chirurga pogładził włosy Blythe. - Skoro nie potrafisz zadbać o siebie, ja muszę się tobą zaopiekować.

- A Lily?

- Jest pod dobrą opieką Cait.

Blythe wiedziała, że to prawda. Przed powrotem Waltera z Mediolanu i tak nic nie wyjaśni się w sprawie Xanadu Studios.

Pomyślała o Gage'u, który na Florydzie szukał śladów Aleksandry i obiecał, czy też właściwie zagroził, że po powro-

cie dopisze dalszy ciąg do ich nieoczekiwanego, gorącego pocałunku na przystani.

Blythe kilkakrotnie zadurzyła się na planie filmowym w swoich partnerach. Widziała jednak zbyt wiele małżeństw hollywoodzkich, które nie potrafiły oddzielić rzeczywistości od ekranowego życia, aby zrywać związek z Alanem tylko dlatego, że przy pocałunkach Gage'a Remingtona ugięły się pod nią kolana.

Decyzję o poślubieniu Alana podjęła przed kilkoma miesiącami. Wiedziała, że to słuszna i rozsądna decyzja, więc pozwoliła narzeczonemu powieść się do królewskiego łóża, a w duchu poprzysięgła, że zanim Gage wróci z Florydy, nauczy się w pełni panować nad rozbuchanymi emocjami.

- Naprawdę nie jestem w balowym nastroju - stwierdziła Lily wieczorem.

- To w zasadzie nie żaden bal - zauważyła Cait. - Raczej zwykłe spotkanie znajomych. A jaki znasz lepszy sposób na poznanie sąsiadów?

- A jednak...

- Nie musisz zostać długo. No chodź, Lily - nalegała Cait. - Jeśli przestaniesz się opierać, sama stwierdzisz potem, że się świetnie bawiłaś.

- Nie mam się w co ubrać. - Lily uciekła się do odwiecznej kobiecej wymówki.

- Nie martw się. Tak się składa, że mam coś dla ciebie.

Cait pobiegła do swojego mieszkania, zanim Lily zdążyła zauważyć, że przecież jest w ciąży i sukienki smukłej przyjaciółki nie mogą na nią pasować.

Przyniosła suknię z cieniutkiej bawełny koloru kości słoniowej, wykończoną herbacianą koronką. Obszerna, zwiewna

kreacja, nie szyta z myślą o kobiecie w ciąży, mogła jednak z powodzeniem pomieścić brzuszek Lily. Haleczka barwy pszenicy dodawała prześwitującej niczym gaza sukni „przyzwoitości”.

- Prześliczna!
- Prawda? - Cait patrzyła na suknię, nie kryjąc zachwytu.
- Kupiłam ją w zeszłym tygodniu ot tak, z szalonej, romantycznej zachcianki.

Nie dodała, że dokonała zakupu z myślą o Sloanie.

- Jeszcze jej ani razu nie włożyłaś - zaprotestowała Lily, spostrzegłszy nie odprutą od rękawa metkę.

- To nawet lepiej. - Cait dosłownie wepchnęła suknię w ręce przyjaciółki. - Uznaj to za prezent na nowe mieszkanie.

Lily wzbraniała się przed hojnym podarunkiem, lecz kiedy dotknęła wzorzystej koronki, poczuła, że nie oprze się pokusie.

- Sądziłam, że w prezencie na nowe mieszkanie daje się opiekacze do grzanek. Cudowna koronka... Albo miksery.

Cait wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy w Los Angeles. W tym mieście nie przestrzegamy mieszczańskich reguł.

- Zaraz przymierzę - zdecydowała Lily.

- Wiedziałam! - ucieszyła się Cait, kiedy Lily zawołała ją do sypialni. - Leży jak ułóż.

Lily wygładziła przód sukni i bez słów zgodziła się z przyjaciółką. Studiowała swoje odbicie w wielkim lustrze na drzwiach garderoby.

- Przepiękna suknia - zgodziła się - ale ja wyglądam jak śmierć na chorągwi.

- Jesteś blada - orzekła Cait z typową dla siebie szczer-

ścią. - Zanim złapie cię nasze kalifornijskie słońce, potrzebujesz pomocy.

Poszperała w workowej torbie, którą przyniosła razem z sukienką. Wyjęła czarno-złotą puderniczkę i naniosła na policzki Lily trochę jasnego różu.

- Proszę - powiedziała, cofając się o krok, aby lepiej ocenić swoje dzieło. - O wiele lepiej.

Lily zerknęła w lustro i przyznała jej rację.

- Musisz jeszcze mieć jaśniejszą pomadkę do ust - stwierdziła, zaglądając do zaimprovizowanej kosmetyczki. - Koniecznie matową.

Przeszukała zawartość worka i wyciągnęła pozłacaną tubkę.

- Nigdy się tym nie uszminkuje! - sprzeciwiła się Lily na widok jaskrawoczerwonej pomadki.

- Rzeczywiście, przesadziłam - zgodziła się Cait po krótkim wahaniu, dotykając swoich szkarłatnych ust. Znów poszperała w torbie. - Wspaniale! Róż.

Kolor, przypominający gumę do żucia, na wargach prezentował się zadziwiająco atrakcyjnie.

- O wiele lepiej - podsumowała Cait.

Lily musiała przyznać jej rację. Zaskoczona stwierdziła, że wygląda prawie ładnie.

Była najpiękniejszą kobietą na przyjęciu. Connor, który uważał się za eksperta w tych sprawach, na widok wkraczającej Lily poczuł skurcz w żołądku.

W Bachelor Arms nie brakowało atrakcyjnych kobiet. W innych okolicznościach, mimo dzielącej ich różnicy dziesięciu lat, Mackay uznałby za ponętą Jill Foyle - z klasą i charakterem. Brenda Muir i jej przyjaciółka Bobbie-Sue O'Hara byłyby ozdobą każdego tasiemcowego serialu telewizyjnego.

zyjnego. Niebanalna uroda Cait Carrigan niejednego mężczyznę rzuciłaby na kolana. Mimo uroku osobistego lokatorki Bachelor Arms nie mogły się jednak równać w oczach Connora z kruchą blondynką - Lily Van Cortland.

Obserwował ją, gawędzącą z jakimś strojnisiem w spodniach od Armaniego i koszulce polo od Ralphi Laurena. Elegancik gapił się na Lily jak dziecko na ciastko za szybą cukierni. Widocznie Connor nie był jedynym mężczyzną gustującym w tym typie kobiecej urody. Postanowił ubiec ewentualną akcję miejscowego donżuana i podszedł do baru, który Jill z pomocą Eddiego ustawiła po przeciwległej stronie wewnętrznego dziedzińca Bachelor Arms. Z piwem w jednej ręce i szklanką wody mineralnej w drugiej, ruszył w stronę Lily.

Lily wyczuła zbliżającego się mężczyznę, zanim go zobaczyła, jak gdyby miała w sobie radar. Oparła się pokusie, by wygładzić nie istniejące zagniecenia na zwiewnej sukni lub przyczesać dłonią włosy. Uśmiechnięta, wytrzymała pełen zainteresowania wzrok człowieka, który, co zdumiewało ze względu na jej zaawansowaną ciążę, towarzyszył jej od momentu przybycia na przyjęcie.

- Dobry wieczór, pani Van Cortland - odezwał się grzecznie tonem najzupełniej odpowiadającym sytuacji i kłócącym się z figlarnym blaskiem oczu czarnych jak noc.

Użycie oficjalnej formy wywołało reakcję, na jaką skrycie liczył.

- Proszę mówić mi Lily - sprostowała łaskawie i tylko bardzo wyczułone ucho Connora wychwyciło nutkę surowości.

- Lily.

Powoli obejrzał ją od stóp do głów.

- Wyglądasz dziś szczególnie pięknie.

- Dziękuję. - Zachwyty bijący z oczu mężczyzny mile pochlebiał. Kryjąc niepokój, przyjęła podaną szklanke. - Nie trudno jednak wyglądać lepiej niż ja przy naszym pierwszym spotkaniu.

Wyraźnie zmieszany, towarzyszący Lily donżuan chrząknął, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Przepraszam, zapomniałam panów przedstawić. Mac Sullivan, Theodore Smith. Mac dokonuje drobnych napraw w budynku.

- Jill wspomniała, że zatrudniła pracownika. - Theodore Smith musnął palcem starannie przystrzyżony wąsik. - Zaniżają takie stare, szanowane zawody jak cieśla czy murarz. Nie miałem pojęcia, że poznam kogoś takiego.

Connor na kilometr potrafił wyczuć zniewagę. Uśmiechnął się tylko. Smith naiwnie wierzył, że skoro pierwszy zaczął rozmawiać z Lily, zdobył przewagę.

- A pan czym się właściwie zajmuje, panie Smith?

Strojnisz napuszył się niczym kogut wabiący podwórzowe kury.

- Pracuję w sklepie Aldus.

- Wydaje mi się, że nie słyszałem tej nazwy.

Aż go kusiło, aby kupić nazajutrz ten sklep i wyrzucić nabzdyczonego faceta na bruk.

- To sklep z odzieżą męską - wyjaśniła szybko Lily, zważając na narastające napięcie.

- Jeden z najlepszych w mieście - potwierdził Theodore. - W zeszłym tygodniu sprzedałem garnitur Tomowi Cruise'owi.

- Przydałoby mi się parę nowych koszul. Może wpadnę do pańskiego sklepu.

Smith zmierzył surowym wzrokiem wyblakłą flanelową koszulę i znoszone dżinsy Connora.

- U nas jest dość drogo-oświadczył.
- Nie rezerwujecie towaru z odroczonej płatnością?

Sprzedawca dosłownie zeszytniał ze zgrozy. Lily uznała, że konkurs męskiej atrakcyjności zaszedł za daleko.

- Przepraszam, Theodore...
- Teddy - przypomniał z wyćwiczonym, gładkim uśmiechem.

Twarz Lily także rozjaśnił uśmiech - ciepły, przepraszaający.

- Teddy - zgodziła się czarująco. - Bardzo chciałabym dyskutować z tobą dalej o modzie lat siedemdziesiątych, ale muszę też porozmawiać z Makiem o ciekącym kranie w mojej łazience.

Chwyliła Connora za ramię i zaciągnęła w cichy kąt dziedzińca, pod obsypane zielonymi liśćmi drzewo.

- To się musi skończyć! - oznajmiła kategorycznie.
- Co?

Lily gniewnie zmarszczyła brwi. Connor musnął zmarszczkę palcem.

Zacisnęła dłoń na plastikowej szklance.

- Dobrze wiesz, o czym mówię - wybuchnęła. - Chodzi o sposób, w jaki na mnie patrzysz.

Bezgłośnie wezwała niebiosą na pomoc. Ręka Mackaya przesunęła się na jej włosy. Bawił się nimi niespiesznie jak ziarenkami piasku, nie zwracając uwagi na wściekłość Lily.

- I o to, jak mnie dotykasz-dodała.

Złość w głosie i w oczach dodawała Lily uroku.

- Lubię cię dotykać - odparł po prostu. Szczerze. Nie byłby mężczyzną, gdyby tłumaczył się z własnych słabostek. - I nie chciałbym na tym poprzestać.

Stali bardzo blisko siebie. Tak blisko, że musiała odchylić głowę, aby spojrzeć w ciemne, roześmiane oczy Mackaya. Tak blisko, że czuła bijący od niego żar.

Była jak w hipnozie, gdy patrzyła, jak Connor pochylał się do jej twarzy. Chciał ją pocałować. I chociaż wiedziała, że powinna się cofnąć, tkwiła w miejscu. Czekwała na nieuniknione.

ROZDZIAŁ

7

Usta mężczyzny znalazły się tak blisko, że niemal czuła ich smak. Powoli, jak we śnie, podniosła rękę do piersi Connora, lecz nie odepchnęła go.

- Tu jesteś!

Za plecami Lily rozległ się znajomy głos. Prysł czar chwili. Oszołomiona, rozgorączkowana, zamrugała, odwróciła się i usiłowała skupić uwagę na przyjaciółce.

- O, do licha - mruknęła Cait, ponieważ zrozumiała, co przerwała. - Przepraszam, że nie w porę.

Lily po raz pierwszy w życiu doświadczyła jednocześnie ulgi i rozczarowania.

- Ależ skądże.

Odwróciła się plecami do Connora. Cait spostrzegła na jej twarzy rumieńce, nie mające nic wspólnego z makijażem. Ho, ho, w Bachelor Arms zaczynały się dziać interesujące rzeczy. Cait sama się niedawno zakochała i pragnęła, aby wszyscy bliscy jej ludzie także czuli się szczęśliwi. Zerknęła z żalem na Connora. Wzruszył bezsilnie ramionami. W ten sposób upewniła się, że nowy lokator nie lubi, gdy mu się przeszkadza i że wkrótce znów przystąpi do akcji.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że odebrałam wiadomość z pagera - wyjaśniła. - Muszę iść do pracy.

- Sądziłam, że policyjni detektywi pracują w ustalonych godzinach.

Lily słyszała o niedawnym awansie Cait. Dostała go za ujęcie zbiegłego z więzienia gwałciiciela. Awans oznaczał upragnione przyjęcie do oddziału zajmującego się zwalczaniem przestępstw na tle seksualnym.

- Przeważnie - zgodziła się Cait. - W parku Griffitha grupa studentów zgwałciła szesnastoletnią licealistkę. Jest w szoku. Lekarz orzekł, że powinna ją przesłuchiwać kobieta.

- To straszne!

Lily wiedziała, że takie rzeczy się zdarzają, podobnie jednak jak większość obywateli traktowała przestępstwo jak coś abstrakcyjnego. I chociaż podziwiała Cait za wybór zawodu i konsekwencję, nie potrafiła sobie wyobrazić codziennego kontaktu z brutalnymi, przygnębiającymi czynami.

- Ale prawdziwe. Niestety, wcale nierzadkie.

Cait zmarszczyła jasnobrązowe brwi. Ostatnio sama omal nie została zgwałcona i zabita. Musiała użyć broni. To było dla niej bardzo trudne przeżycie. Otrząsnęła się z zamyślenia.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wychodzę - powtórzyła.

- Odprowadzę Lily - zapewnił Connor.

- To nie będzie konieczne. Do mojego mieszkania jest zaledwie dwadzieścia metrów.

- Ale przecież miałaś mi pokazać cieknący kran - przypomniał.

- Może zaczekać do rana.

Naprawdę ładnie wyglądała z dumnie uniesionym podbródkiem. Była łagodna i delikatna w typowo kobiecy sposób. Nawet zaokrąglony brzuch przydawał jej delikatności.

Pod kobiecą subtelnością kryła się jednakże stanowczość i zdecydowanie - i to jeszcze wzmagало fascynację Connora.

- Nie chcesz zostać na przyjęciu? - spytała, próbując innej taktyki.

- Jestem gotowy do wyjścia. - Diabelskie ogniki roziskrzyły ciemne oczy mężczyzny. Już wcześniej Lily uznała je za niebezpiecznie kuszące. - Prawdę mówiąc, wszyscy lokatorzy Bachelor Arms są tak mili, że wydaje mi się, jak gdybym wylądował w chatce dobrej wróżki. A tak przy okazji, kapanie z kranu zawsze w nocy jest głośniejsze. Musisz wyspać się za dwoje, więc nie mam nic przeciwko pracy po godzinach.

- Mac, naprawdę...

Rozległ się brzęczyk pagera.

- Zostawiam was. Ustalcie wszystko ze sobą - powiedziała Cait, obserwująca ze szczerym zachwytem pojedynek słowny między Connorem a Lily. - Nie bądź taka sztywna - szepnęła na ucho przyjaciółce, ściskając ją na pożegnanie. Connorowi natomiast posłała niepowtarzalny, rozbrajający uśmiech. - Miło trafić na fachowca, który nie patrzy na zegarek i nie wyciąga ręki. Mam nadzieję, że zamierzasz tu zostać na dłużej.

Odpowiedział równie olśniewającym uśmiechem. W sumie cieszył się, że ma taką sąsiadkę, choć brał pod uwagę, że niebawem policjantka zechce go sprawdzić.

- Z początku tego nie planowałem, ale zmieniłem zdanie. Czyszn do wytrzymania, a do tego okolica - tu zerknął na Lily - absolutnie rewelacyjna.

Zadowolona z obrotu spraw, Cait ruszyła do wyjścia.

- Sympatyczna kobieta - orzekł, odprowadzając ją wzrokiem.

Lily poczuła na dnie serca ukłucie zazdrości, najwstrętniejszego z uczuć.

- Niestety, już zajęta.

Ostra nuta w jej głosie kazała mu się zastanowić, czy wzbudził w Lily zazdrość o przyjaciółkę. Błagał niebiosa, aby tak było.

- Słyszałem. Sloan Wyndham to szczęściarz. Kiedy huczne wesele?

- Nie wiem. - Lily wzruszyła ramionami. Małżeństwo nie należało do jej ulubionych tematów. - Raczej nieprędko. Zna ją się od niedawna.

- Rozumiem, że nie jesteś zwolenniczką krótkiego narzeczeństwa?

- Myślę tylko, że dwoje ludzi powinno się dobrze poznać, zanim zawrze związek na całe życie.

- Ile dokładnie potrzeba na to czasu?

- Na co?

- Na wzajemne poznanie się.

Zmrużyła oczy, wyczuwając w pytaniu pułapkę.

- Przypuszczam, że to zależy od konkretnego przypadku.

- Zgadzam się. Na przykład, popatrz na nas.

- Na nas? - Zdumiona uniosła brwi. - Nie ma żadnego „my” .

- Ależ oczywiście, że jest. - Otoczył ją ramieniem i poprowadził w stronę mieszkania. Aby nie zwracać uwagi zebranych, Lily chcąc nie chcąc nie stawiała oporu. - Mówię „my”, odkąd wyciągnąłem cię z morza i zastanawiałem się, czy ocalwszy ci życie, mogę cię zatrzymać tylko dla siebie.

- To śmieszne!

Wyrwała się i spojrzała oburzona.

- Brzmi to dziwacznie, zgoda. - Musnął kciukiem zarumieniony policzek Lily. - Ale tak właśnie się czuję. Prawie od pierwszej chwili wiedziałem, że cię pragnę. Dlatego uważam,

że wszelkie terminarze zawodzą, jeśli w grę wchodzi związek między mężczyzną a kobietą.

Kciuk Connora gładził ją jak piórko, delikatnie, kusząco. Gwałtownie cofnęła głowę.

- . Mówisz jak typowy męski szowinista i nawet jeśli jesteś szczerzy w uczuciach, to się nie liczy!

Znów dała pokaz siły ducha, która tak pociągała Mackaya.

- Dlaczego?

- Łatwo czegoś chcieć. Zbyt łatwo.

Mimo nieodpartego pragnienia, by znów jej dotknąć, Connor wsunął ręce w kieszenie, zakołysał się na piętach i przyjrzał się Lily powoli, z uwagą.

Mężnie wytrzymała jego wzrok z nadzieją, że nie zorientuje się, jak szybko wali jej spłoszone serce.

Connor, tak lubiący wszelkie wyzwania, doszedł do wniosku, że pewne rzeczy i pewne kobiety są warte, by je zdobywać cierpliwie, nawet bardzo długo.

- Punkt dla ciebie - odezwał się wreszcie.

Mogła swobodnie odetchnąć. Ale jeśli sądziła, że Connor wywiesi białą flagę, myliła się.

Chwycił ją za ręce tak samo spontanicznie jak na plaży.

- A teraz, czy pokażesz ten cieknący kran?

W łazience, gdzie wcześniej brała prysznic, jeszcze unosił się jej zapach. Oszołomiony kwiatową wonią Connor zdołał jednak zlokalizować usterkę.

- Trzeba wymienić uszczelkę. Mam zapasową w skrzynce z narzędziami. Zaraz wracam.

Obdarzywszy ją jednym z tych pewnych siebie uśmiechów, które tak ją irytowały, a zarazem pociągały, wyszedł. Jill mówiła wcześniej, że jego mieszkanie znajduje się po przeciwnej stronie dziedzińca.

Podczas krótkiej nieobecności mężczyzny Lily szybko wyszczotkowała włosy, odświeżyła usta pomadką i spryskała wodą kolońską szyję i nadgarstki.

Zapewniała samą siebie, że nie robi tego dla Connora. Przynajmniej nie tylko dla niego.

Co oczywiście nie odpowiadało prawdzie. Wzdychając, przypisała winę za dziwne samopoczucie rozregulowanym hormonom. Każdy przecież wie, że przyszłe matki są rozchwiane emocjonalnie. Zamęt w jej duszy był więc po prostu skutkiem ciąży.

Connor natychmiast zauważył poprawiony makijaż. Uznał to za dobry znak, choć nie skomentował na głos. Zabrał się do pracy i w parę minut wymienił uszczelkę.

- Jestem pod wrażeniem twojej fachowości - stwierdziła Lily patrząc, jak jej wybawca odkręca i zakręca kran.

Nic już nie ciekło, a jednak nie potrafiła opędzić się od myśli, że Mac Sullivan nie jest prawdziwym robotnikiem.

- To nie było trudne.

Cisnął zużyta uszczelkę do wiklinowego kosza na śmieci.

- Nie miałabym pojęcia, jak naprawić kran.

Na farmie ojciec Lily dokonywał wszystkich napraw. Po ślubie, kiedy jakaś rzecz w ich wielkim białym domu wymagała naprawy, mąż kazał jej wzywać fachowca.

- Doprawdy pestka. Następnym razem cię nauczę.

Słowa te przypomniały Lily, że Mac nie zamierza opuszczać Bachelor Arms.

- A gdzie ty się nauczyłaś tego wszystkiego? - spytała, zainteresowana biografią człowieka, który z uporem wnikał w jej życie.

- Ojciec prowadził firmę budowlaną. - Mackay pomiął milczeniem, że firma, założona przez dziadka, miała filie na

całym świecie i znalazła się na liście pięciuset największych przedsiębiorstw. - Pracowałem u niego po szkole i podczas wakacji, kiedy przyjeżdżałem do domu z college'u.

Lily spodobało się, że Connor, tak jak ona, pochodzi z pracującej rodziny.

- Powiedziałeś: prowadził. Przeszedł na emeryturę?
- Zmarł rok temu.

Zagorzały turysta, Darren Mackay zwiedzał Patagonię i tam zmarł nagle na zawał serca. Connorowi bardzo brakowało ojca. Pewną pociechę stanowił fakt, że umarł szybko i do końca robił to, co lubił.

- Przykro mi.

Smutek w ciemnych oczach mężczyzny świadczył o świeżym wciąż bólu. Takim jak jej.

Ale nie układała listy wspólnych im cech.

Właściwie nie układała.

Do diabła. Oczywiście, że układała.

Wina hormonów.

- A twoja matka?-zagadnęła.

Natychmiast uśmiechnął się serdecznie.

- Mieszka w San Francisco. Zajmuje się ogrodem. I uczy się gotować, a na mnie wypróbuj swoje umiejętności. - Uśmiechnął się tak szeroko, że uśmiech Lily wypadł na tym tle nadzwyczaj blado. - Ostatnia pasja mamy to kuchnia hinduska, co oznacza, że ostatnio jem dużo curry. Chyba upiekę się na rożnie, zanim moja mama zostanie babcią. - Zerknął z sympatią na wypukły brzuch kobiety. - Założę się, że twoi rodzice liczą dni do porodu.

Poczuła znajomy ból w sercu. Czas nie uleczył jeszcze ran.

- Zginęli oboje rok temu. W wypadku samochodowym.
- Tak mi przykro. Masz braci, siostry?

- Nie. Ale zawsze traktowałam Blythe i Cait jak siostry.
- Cait jest wspaniała - przyznał. - Blythe też.
- To niezwykle osoby. - Nawet jeśli Cait upierała się odgrywać swatkę. - Kiedy się wtedy spotkaliśmy, reprezentowałeś interesy rodzinnej firmy budowlanej?

Connor nie znosił kłamać. Wolałby zrezygnować z głupiego zakładu, niż oszukiwać Lily i zdobywać kolejne punkty. Problem polegał na tym, że młoda wdowa nie znosiła ludzi bogatych, a Connora Mackaya w szczególności. Nie miał zatem wyboru, musiał brnąć w tę maskaradę. Przynajmniej na razie.

- W zasadzie nie byłem zainteresowany przejęciem firmy.
- Ach tak. - Nieco rozczarowana Lily szybko przypomniała sobie, że sama nie spieszyła się do przejęcia farmy rodziców. - Czym się zatem zajmujesz?

Wzruszył ramionami.

- Tym i owym.

Nie rozmijał się z prawdą.

Lily nie chciała okazać się wścibska, lecz paliła ją ciekawość. Postanowiła spróbować z innej beczki, ale Connor przejął inicjatywę.

- A ty?

- Ja?

- Co porabiasz?

- Odbieram telefony w imieniu Gage'a Remingtona, prywatnego detektywa.

- Brzmi ekscytująco.

- To samo powiedziałam, kiedy zaproponował mi pracę. Przekonywał mnie jednak, że to nudne, rutynowe zajęcie.

Zmarszczyła brwi. W śledzeniu jej teściów nie było ani krzty rutyny.

Obserwował jej twarz. Odzwierciedlała zmienne emocje. Zmartwienie, oczekiwanie, zdecydowanie. Zatrószczył się o zdrowie przyszej matki.

- Czy powinnaś pracować tuż przed porodem?

- A ty znowu swoje. Zachowujesz się, jak gdybym była ze szkła.

- Wręcz przeciwnie. - Lily zauważyła w jego wzroku wesoły błysk. I jeszcze coś niepokojącego. - Doskonale wiem, że składasz się z jedwabistego, pachnącego ciała.

Pochylił się i wsunął dłoń pod delikatny jak gaza rękaw sukni. Powoli pogładził nagi bark. Pieszczota rozgrzała krew w żyłach Lily. Mgła przesłoniła świadomość. Tak potem tłumaczyła sobie, dlaczego nie protestowała, kiedy wzięła ją w objęcia.

- Po pierwsze, jeszcze mi nie zdradziłeś, co tu robisz - przypomniała, bezwiednie oplatając go ramionami.

- W Bachelor Arms?

Fascynowały go pełne kobiece usta.

- Nie. - Widziała, jak patrzył na jej wargi. Kolana ugięły się pod nią. - Chodzi o to, co robisz w Los Angeles.

Wsunął dłoń we włosy Lily. Przeżywał rozterkę: kłamał, a jednocześnie uwodził.

- Mówiłem ci wtedy na plaży, że przyjechałem w sprawie pracy.

Kolejna półprawda.

Omamiona pieszczotą czułych palców, oparła policzek o tors Mackaya.

- I dostałeś posadę?

Mgła stawała się coraz gęstsza. Ciepłsza. Było tak przyjemnie. Tak dobrze. Ucałował jasne włosy.

- Oczywiście.

- Gdzie?

- Co gdzie?
- Gdzie dostałeś posadę?

W takiej chwili mówiła o pracy! Przesunął usta w dół szyi Lily.

- W Xanadu Studios.

Wyrwana z letargu Lily podniosła zdumiony wzrok.

- Żartujesz!
- Nigdy nie żartuję z mojej pracy.

To się z grubsza zgadzało.

Hipnotyzował ją oczami, które nagle pociemniały. A może tylko tak jej się zdawało?

- To dlaczego nie odezwałeś się ani słowem, kiedy w barze „U Flynna” Eddie rozmawiał z Blythe?

Wzruszył ramionami, usiłując zignorować poczucie winy.

- Mówili o wpływie sprzedaży wytwórni na przyjęcie scenariusza barmana. A co to mnie obchodzi?

Kłamstwo w żywe oczy. Po raz pierwszy na taką skalę. Obawiał się, że nie ostatnie. Pętla wokół szyi się zaciskała.

- Po co cię zatrudnili?
- Do tego i owego.

Próbował odwrócić uwagę Lily głaskaniem jej policzka.

- Kiedy zaczynasz?

Chociaż ostrożność nakazywała ważenie każdego słowa, nie potrafił myśleć logicznie, trzymając w ramionach ciepłe, delikatne ciało.

- Co zaczynam?

Czy bezpieczne było uprawianie miłości w takiej sytuacji? Żałował, że w szkole nie oglądał pilnie filmów z dziedziny edukacji seksualnej.

- Pracę. - Lily zastanawiała się, czy działanie Connora było świadome. - Kiedy zaczynasz pracę w Xanadu?

- W przyszłym miesiącu.
- Dopiero w przyszłym miesiącu? Ale dlaczego...
- To proste - odpowiedział na nie zadane jeszcze pytanie.
- Wróciłem do Los Angeles wcześniej, bo chciałem cię znów zobaczyć.

Wiedziała doskonale, że wpadła w poważne tarapaty, skoro tak rozpaczliwie pragnie mu wierzyć.

- Zawsze kierujesz się impulsami?
- Zawsze. - No, wreszcie nie skłamał! - A jeśli już o tym mówimy...

Pochylił się i musnął ustami nie jej wargi, lecz policzek.

- Nie. - Lily zaprotestowała bez przekonania, ale odchyliła głowę, czyniąc dostęp do szyi.

- Co: nie? - Wędrował ustami po jedwabistej, pachnącej skórze. - Nie całować cię tu? - Wyczuł tętniące zagłębienie i westchnął cicho. - A może tu? - Całował podbródek. - A tutaj?

Język znalazł czułe miejsce za uchem Lily. Jęknęła.

- Nie chcę ekspresowej łóżkowej przygody z tobą, Mac.
- Zaufaj mi - mruknął, pieszcząc wargami skroń Lily.
- Nic nie odbędzie się ekspresowo.

Zgodnie z obietnicą pocałunek w usta zaczął się jak muśnięcie piórkiem. Connor marzył o nim od wielu godzin. Dni. Fantazje doprowadzały go niemal do szaleństwa.

Zwykł panować nad wszystkimi aspektami swego życia, umiał więc kontrolować reakcje własnego ciała i umysłu. Ale lubił również tajemnicze, nieoczekiwane rozwiązania. W sumie nie miał powodu się skarżyć. Zwłaszcza gdy trzymał w ramionach Lily i było im tak dobrze...

W ciemnych jak noc oczach widziała namiętność. Spodziewała się ataku spragnionych, brutalnych ust. Tymczasem po-

całunek, na który skrycie czekała od wielu godzin, okazał się lekki jak dmuchawiec i ulotny jak płatek śniegu. Była bezbronna wobec takiej tkliwości. Poddała się słodkiej pokusie. Objęła Connora za szyję i powoli zamknęła oczy. Mięśnie rozluźniły się i nawet wypukły brzuch nie przeszkadzał się przytulić.

Ciało mężczyzny drżało boleśnie. Poczuł przypływ niemal prymitywnej żądz. Chciał natychmiast zaciągnąć kobietę do sypialni i oddać się całonocnemu, szaleńczemu zespoleniu. Działał jednak w niewiarygodnie spowolnionym rytmie.

Lily nigdy nie doświadczyła takiej rozkoszy płynącej z pocałunku. Nie walczyła z nią. Czekała na więcej.

- Otwórz oczy, Lily. Chcę, żebyś na mnie patrzyła, kiedy cię całuję.

Z wysiłkiem uniosła powieki. Granatowe oczy pociemniały od pożądania niczym morze nocą. Zdawała sobie sprawę, że balansuje na granicy bezpieczeństwa. Jeśli ją przekroczy - w jej życiu zajdzie wielka zmiana. Kolejna zmiana w burzliwym roku, jaki miała za sobą. Myśl o tym przerażała i kusiła zarazem.

Connor obserwował burzę emocji, odbijającą się na twarzy Lily. Wiedział, że jeszcze nie jest gotowa. Na pójście do łóżka namówiłby ją teraz bez trudu, ale co potem?

Pragnął czegoś więcej. Pogodził się z faktem, że Lily Van Cortland na dobre zagnieździła się w tajemnym kąciku jego serca, którego istnienia sam dotychczas nie podejrzewał. Z ociąganiem cofnął się o krok.

- Jesteś niesamowicie słodka - szepnął.

Serce Lily nadal biło za szybko i za mocno. Kręciło jej się w głowie. Wiedziała jednak, że nawet w tym stanie powinna zachować spokój. Cóż, ostatecznie to tylko pocałunek.

Ale jaki, Boże, jaki!

- Powiedziałaś ci, że tego nie chcę.

Ciało Connora błagało o spełnienie. Chłodny ton kobiety rozbawił go jednak. Dziewczyna z zabitej deskami wsi miała sto razy więcej klasy niż jej mąż nicpoń i teściowie snobi.

- Właściwie, o ile pamiętam, powiedziałaś, że nie chcesz ekspresowej łóżkowej przygody. - Stojąc tak blisko Lily, nie potrafił się powstrzymać, by jej nie dotknąć. Owinął kosmyk jasnych włosów wokół palca. - Nie martw się - powiedział, kiedy cofnęła się o krok. - Nie będę cię popędzał, Lily.

Z oczu Mackaya wyzierała czułość. Lily obawiała się jej bardziej niż namiętności.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz. Czego ode mnie chcesz.

Jeśli chodziło mu tylko o seks, mógł znaleźć w Los Angeles tabuny kobiet o niebo atrakcyjniejszych, które bez pytania wskoczyłyby do jego łóżka. W samym Bachelor Arms znała trzy takie: Bobbie-Sue, Brendę i Jill. Widziała przecież, jak patrzyły na nowego lokatora.

- Czego chcę? - W myślach wyznał: wszystkiego. Uśmiechnął się szeroko, ciepło, serdecznie. - Chcę cię bardzo, bardzo wolno rozebrać. Chcę być z tobą w łóżku. Przez całą noc.

- Do diabła, Mac...

- Chcę cię dotykać - ciągnął, głuchy na protest. - Smakować cię. Wszędzie. - Na podkreślenie tych słów zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Chcę ci zaglądać prosto w oczy, kiedy uniosę nas oboje do krainy rozkoszy. I chcę patrzeć na ciebie zawsze, kiedy to będę robił.

A ponieważ bardzo tego wszystkiego pragnął, dał Lily czas na oswojenie się z jego planami. Z nim samym.

Wewnętrzny głos nalegał, żeby już teraz wyjawiał całą prawdę o sobie. Uznał jednak, że Lily i tak ostatnio dużo wycierpiała. Odłożył wyznanie na później. Czy także z tchórzostwa?

Zapadła ciężka od emocji cisza. Lily nie mogła wydobyć z siebie głosu. Czuła się jak zadurzona w starszym koledze nastolatka. W milczeniu wpatrywała się w Connora. Nigdy w życiu nie była tak wzruszona. I tak zmieszana. Nie usłyszała nawet telefonu.

- Ktoś dzwoni - odezwał się łagodnie Mackay.

Oderwała od niego wzrok i podniosła słuchawkę.

- Słucham - powiedziała niezdolnie drżącym głosem. - A, cześć, Gage. - Wzięła głęboki oddech. - Nic takiego. Naprawdę. Czuję się świetnie.

Odwróciła się plecami do Connora. A on zabrał skrzynkę z narzędziami i cicho wyszedł z mieszkania.

Poczuła jednocześnie ulgę i żal.

ROZDZIAŁ

8

Blythe pojechała z Alanem na Hawaje. W Miami Gage przemierzał wielkimi krokami pokój hotelowy i powtarzał sobie, że nie powinien czuć się zaskoczony. Przecież gdyby nie trzęsienie ziemi, Blythe byłaby już mężatką.

Powtarzał sobie, że nie powinno go to obchodzić, że nie ma żadnego prawa do pięknej aktorki. A jednak wciąż wystukiwał jej numer, mając nadzieję, że w końcu podejdzie do telefonu. Już zamierzał odłożyć słuchawkę, gdy Blythe odezwała się zdyszczonym głosem:

- Halo?

Zazdrość ukłuła go w serce. Pomyślał: Tracisz ją, stary.

- Przeszkodziłem ci w czymś? - spytał szorstko.

Zawahała się, zdziwiona ostrym tonem.

- Telefon zadzwonił, kiedy schodziłam do holu - wyjaśniła. - Musiałam podbiec.

Natychmiast zrobiło mu się głupio. Poczł też irracjonalną ulgę, dowiedziawszy się, że nie oderwał Blythe od namiętych igraszek z narzeczonym.

- Przepraszam, że zakłócam ci spokój podczas urlopu - skłamał.

- Ależ nic się nie stało. - Jej głos brzmiał ciepło i przyjaźnie. A może tylko tak sobie wyobrażał? - Prawdę mówiąc, trochę się tu nudzę.

- Już? - Gdyby Gage zabrał taką kobietę na tropikalną wyspę, na pewno nie pozwoliłby jej się nudzić.

Roześmiała się promiennie jak hawajskie słońce. Swobodnie jak tropikalna bryza.

- Chyba zapomniałam, jak się wypoczywa. Alan twierdzi, że jestem pracoholiczką.

- A gdzie się podziewa doktor?

- Rano zwiedzał szpital. Po południu grał w golfa z jakimś lekarzami, których tu poznał.

Sturgess to skończony głupiec. Nie zasługiwał na Blythe. Co wcale nie oznaczało, że Gage na nią zasługiwał.

- Wyleguję się przy basenie, trochę pływam, próbuję czytać - ciągnęła, kiedy nie odpowiadał. - Nie przestaję jednak myśleć o Aleksandrze i Patricku, a także zastanawiać się, co porabiasz w Miami.

- Wszystko w porządku, poza tym, że mam już dosyć realiów lat trzydziestych. W jednym z ekskluzywnych domów starców wytropiłem pewnego dżentelmena, który pamięta Aleksandrę z lat poprzedzających jej przyjazd do Hollywood.

- Znał ją wtedy?

- I to bardzo blisko, o ile można mu wierzyć. Sądzę, że staruszek mówi prawdę.

- Mianowicie?

Gage przytoczył opowieść starszego pana, który zarzekał się, że Aleksandra paradowała w skąpym kostiumie w hawańskim kasynie.

- Była luksusową prostytutką?

Gage rozumiał rozczarowanie Blythe, która miała bardzo osobisty stosunek do Aleksandry i uważała ją za postać tragiczną.

- Na to wygląda. Paru kolegów starszego pana potwierdziło, że należała do najbardziej rozchwytywanych dziewcząt w branży. Zadawała się tylko z grubymi rybami.

- Ważne, aby mierzyć wysoko - skomentowała Blythe ironicznie i z dezaprobatą.

- Zapominasz, że dziewczyna, chociaż nie arystokratka, była uciekinierką. Została bez grosza, nie znała języka, a ktoś wie, w jakich warunkach żyła w Rosji? Przetrvanie bez oparcia w mężczyźnie w owych czasach było trudne, o ile w ogóle możliwe. Nic dziwnego, że robiła to, do czego czuła się zmuszona przez los. Nie miała wyboru.

- Chyba tak. - Aktorka westchnęła zrezygnowana. - Mogę ci zadać pytanie?

- Wal śmiało:

- Czy wpadłbyś w depresję na wiadomość, że kobieta, którą kochasz, sprzedawała swe ciało?

- Pewnie tak - przyznał szczerze. - Na początku. Lata spędzone w policji nauczyły mnie jednak, że nic w życiu nie jest czarno-białe, tak jak w kinie. Gdybym naprawdę kochał kobietę, musiałbym jakoś rozwiązać ten problem, bo każde wyjście jest lepsze niż utrata ukochanej osoby.

Zapadła krótka cisza. Blythe zdawała się rozważać jego słowa.

- Doprawdy, godna podziwu postawa. Niestety, to, czego się dowiedziałam o Patricku Reardonie, nie świadczy o jego wielkoduszności i tolerancji.

- Zależy ci na udowodnieniu jego niewinności.

- Był niewinny.

Niezachwiane przekonanie Blythe wywołało uśmiech na twarzy detektywa.

- Mówisz jak dama, którą nauczono ufać instynktowi.

Nie mógł nic poradzić na ogarniające go wzruszenie. Powróciły wspomnienia z przystani. Teraz dzielił ich ocean. On na Florydzie, ona na Hawajach. Mimo tylu kilometrów Gage z łatwością przywoływał w wyobraźni zmysłowy kobiecy zapach i słodycz ust Blythe.

- Gage... - Głos aktorki, tak stanowczy, gdy broniła Rardon, znów nabrał ciepłej barwy.

- Jutro rano sprawdzę jeszcze coś - odezwał się niemal służbowym tonem, żeby się nie rozkleić. - Potem skoczę na Manhattan w sprawie zleconej przez Lily i wracam do Los Angeles. Będę w kontakcie z tobą.

- Dziękuję - rzuciła równie oficjalnie, a on wcale się nie zdziwił. Ostatecznie miał do czynienia ze świetną aktorką.

- A na razie wypoczywaj i baw się dobrze.

Dodał w duchu: Byle nie za bardzo.

- Postaram się. Do usłyszenia, Gage.

- Cześć, Blythe.

Zapadła pełna napięcia cisza. Żadne z nich nie chciało odłożyć słuchawki. Wreszcie uczynili to równocześnie.

W Miami Gage podjął spacer po hotelowym pokoju.

Na słonecznej hawajskiej wyspie Maui Blythe skierowała zamyślony wzrok ku błękitnym wodom Pacyfiku. Czy przynębiły ją informacje o Aleksandrze? A może coś innego? Coś, do czego nie śmiała się przyznać...

W Klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego detektyw Cait Carrigan przesłuchiwała młodocianą ofiarę gwałtu. Taktownie usiłowała nakłonić dziewczynę do podania szczegółów, które mogłyby pomóc w ujęciu sprawców. W swoim czasie Cait

przyczyniła się do złapania groźnego przestępcy, mordercy i gwałciciela, występując w roli przynęty. Wiele ją to kosztowało - musiała w obronie własnej zabić człowieka. Sloan opiekował się nią wtedy troskliwie i serdecznie. Zapewnił, że nic nie osłabi jego uczucia.

Teraz, gdzieś w odległej dzielnicy, Sloan pisał scenariusz. Pracował właśnie nad sceną ucieczki Aleksandry i Patricka do Arizony. Zastanawiał się wciąż, dlaczego ludzie darzący się silnym uczuciem skończyli tak tragicznie. Jego rodzicom nie powiodło się o wiele lepiej. Matka pochodziła z wyższych sfer Filadelfii. Ojciec, kontestator i pacyfista, napadał na banki, aż zginął zastrzelony przez policję. Matka, która nie potrafiła zwalczyć depresji, przebywała teraz w luksusowej klinice w Malibu. Cait jako dziecko i dorastająca dziewczyna była świadkiem częstych i krótkotrwałych związków swych rodziców. Niestety tak częstych, że nawet w swobodnym obyczajowo Hollywood zwracały uwagę.

Sloan przyrzekł sobie, że jemu i Cait poszczęści się w miłości. Wyłączył komputer i postanowił pojechać do Bachelor Arms, by czekać na powrót ukochanej.

W wynajętym mieszkaniu Connor Mackay daremnie próbował skupić się nad raportami finansowymi, które otrzymał od asystenta Waltera Sterna. Do diabła, liczby skakały mu przed oczami. Lily całkiem zaprzątnęła jego umysł. Nie potrafił wytłumaczyć obsesyjnego wręcz zainteresowania młodą wdową. Lubił towarzystwo kobiet, ale żadna go nie zawojowała. Zaklął, odłożył pióro i podszedł do okna. W mieszkaniu Lily nie paliły się światła, co znaczyło, że spała. Potrzebowała snu, zwalczył więc pokusę, by iść tam natychmiast, wziąć ją w ramiona i dokończyć to, co zaczęli.

- Cierpliwości - przykazał sobie półgłosem, wracając do

suchych, nudnych kolumn liczb z solennym zamiarem nie dopuszczenia do głowy ani jednej myśli o Lily. Skończyło się na chęciach, a praca posuwała się nadzwyczaj opornie.

A Lily oczywiście nie mogła usnąć. Przekręcała się z bok na bok w splecionej pościeli i usiłowała przekonać samą siebie, że to tylko zwykła lista spraw do załatwienia nie daj jej spać. Ostatecznie samotna kobieta, która spodziewa się dziecka, ma prawo do troski o przyszłość. Walka z teściami o opiekę nad dzieckiem, przeprowadzka na drugi koniec kraju, trzęsienie ziemi - tyle atrakcji u każdego spowodowało bezsenność.

Niestety, obawiała się, że prawdziwy powód kłopotów z zaśnięciem mieszkał po drugiej stronie dziedzińca. Najprawdopodobniej zapomniał już o ich pocałunku.

Jej zaś pozostało zakłopotanie. I gorące, nie słabnące pragnienie ponownego znalezienia się w jego ramionach.

- Dzień dobry, Mac - powitała Connora Jill.

Doskonale skrojony żółty zakiet uwypuklał ponętne kobiece kształty. Spódniczka, krótsza i bardziej obcisła, niż zwykła się nosić w biurach w San Francisco, odsłaniała oszałamiająco długie, opalone nogi. Włosy były spięte, ale niesforne jasne kosmyki wymykały się, tworząc na głowie Jill artystyczny nieład.

- Jeśli skończyłeś, mam dla ciebie inne zajęcia.

- Zrobione. - Zszedł z drabiny. Wstawił właśnie nową szybę w mieszkaniu 2-C. - Wyglądasz dziś wspaniale. Spotkanie z ważnym klientem?

- Tak. - Zaskoczenie widoczne na twarzy Jill świadczyło o tym, że nie spodziewała się po robotniku takiej uwagi. Szczerze mówiąc, jem śniadanie z Troyem Marshall'em.

Kiedy nie zareagował, pospieszyła z wyjaśnieniem.

- To ten sławny aktor z serialu „Jedno życie, zbyt wiele ukochanych”. Gra tam reportera, którego zmarła żona wraca z zaświatów, aby znaleźć swoją następczynię, ale przez przypadek wprowadza straszny zamęt w życiu erotycznym męża. Widziałeś to?

- Obawiam się, że nie - odparł, a w duchu dodał: I o ile mi się poszczęści, nigdy nie zobaczę.

- Cóż, mimo dziwnego pomysłu, naprawdę zabawny film. Oczywiście dzięki roli Troya. To prawdziwy przystojniak.

W oczach Jill zapłonęły iskierki. Connor zrozumiał, dlaczego pachniała, jak gdyby wylała na siebie wszystkie dostępne perfumy.

- Życzę ci powodzenia.

- Dziękuję. - Odpowiedziała serdecznym uśmiechem. - Ścigam się dlatego, że rozmawiałam rano z Lily.

- Z Lily? - Zamienił się w słuch. Wzrok instynktownie powędrował przez dziedziniec, ku drzwiom mieszkania Lily.

- Czy dobrze się czuje?

Zaciekawiona Jill zmrużyła niebieskie oczy.

- Wszystko w porządku. Pytała o wolny lokal. Jej szef szuka mieszkania. 1-G stoi puste. Trzeba je tylko odmalować. Zdaniem Lily Gage Remington nie wróci przed końcem tygodnia. Pomyślałam, że mógłbyś zacząć pracę, żeby farba zdążyła wywietrzeć.

- Jasne. - Connor uśmiechnął się promiennie. Ciekawe, co by powiedzieli jego znajomi z San Francisco, gdyby go teraz widzieli... - Jaki kolor zalecasz?

- Chyba biały byłby najlepszy, przecież lokatorzy często się zmieniają. Pokażę ci to mieszkanie.

Gdyby Connor poznał Jill tydzień wcześniej, pogoniłby gwiazdora seriali gdzie pieprz rośnie. Kiedy w jego życiu pojawiła się Lily, na inne atrakcyjne kobiety zaczął patrzeć jak na dzieła sztuki, i nic więcej.

Jill otworzyła łukowate drzwi i weszła do środka. Connor zatrzymał się w progu. Ogarnął go niewytłumaczalny niepokój. Otrząsnął się jednak i ruszył za Jill do salonu, znacznie większego niż w mieszkaniu wynajmowanym przez niego czy przez Lily.

Natychmiast jego uwagę przykuło olbrzymie stare lustro, szerokie na co najmniej metr dwadzieścia i wysokie na półtora metra, oprawione w ozdobną ramę.

- Niezłe, co?

Jill, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, stanęła przed zwierciadłem.

- Dziwię się, że tak cenny przedmiot nie wpływa na podniesienie czynszu.

- To samo pomyślałam, kiedy pierwszy raz je zobaczyłam. Ale Ken, nasz etatowy administrator, powiedział, że nie można go zdjąć ze ściany.

- Żartujesz.

Mackay zbliżył się do ciężkiej ramy i przeciągnął po niej palcami. Zdawało mu się, że mosiądz rozgrzał się pod dotykiem.

- Skądże. Gdyby nie było takie stare, sądziłabym, że przytwierdzono je superklejem używanym do wzmacniania powłoki promów kosmicznych.

Connor chwycił boki ramy. Ani drgnęła. Jill miała rację.

- Doprawdy niesamowite - skwitował półgłosem.

- Jeszcze nie znasz legendy.

- Legendy?

Odruchowo obwiodł palcem ornament w kształcie różyczki.

- Ludzie mówią, że czasem w lustrze pokazuje się kobieta.
- Kobieta?

W szklanej tafli odbijała się tylko Jill i Mackay.

- Tak. - Śmiech Jill świadczył o tym, że nie bierze sobie do serca bajek o duchach. - Temu, kto ją ujrzy, ziszczą się najskrytsze marzenia i spełnią najbardziej złowieszcze przecucia. - Jill znów wybuchnęła śmiechem. Już nie tak beztrojskim. Nerwowo zerknęła na zegarek. - Muszę lecieć. Farbę i przybory malarskie znajdziesz w piwnicy.

- Poradzę sobie - zapewnił Connor, nie przestając badać misternej ramy.

Lustro wykonał wyborny rzemieślnik. Najlepsze domy aukcyjne byłyby się o taką zdobycz. Nawet bez towarzyszącej mu legendy było warte fortunę. A z legendą - stawało się bezcenne. Jeśli, oczywiście, ktoś zdołałby je zdjąć ze ściany.

Rozkładając na podłodze foliowe płachty i ustawiając puszki z farbą, zapomniał o tajemniczej historii. Po skończeniu jednej ze ścian zszedł z drabiny i nagle poczuł, że powinien się odwrócić.

Wtedy ją zobaczył. Ubrana w długą, białą, zwiewną szatę, stała niczym łania na skraju lasu i patrzyła nieco skośnymi, czarnymi oczami na Connora.

- Ho, ho - mruknął. - Witaj.

Nie zdziwił go brak odpowiedzi. Zjawa patrzyła przenikliwie, jak gdyby zaglądała do wnętrza jego duszy.

- Przyszłaś spełnić moje najskrytsze marzenie? A może zapowiadasz największą klęskę?

Znów brak odpowiedzi. Jeszcze jedna fantazja mężczyzny, który zanim poznał Lily wciąż mieszał jawę ze snem.

- Wiesz, pod 3-G mieszka pewna dama, na której mi zależy. Zrozumiałaś moją sugestię?

Posłał zjawie swój najpiękniejszy, rozbrajający uśmiech. Odpowiedziała porozumiewawczym uśmiechem i zniknęła. Rozwiąła się jak dym.

- Ciekawe, czy potraktowała moją prośbę przychylnie - zastanawiał się na głos. Czy to wszystko tylko mu się zdawało? - Jesteś trochę nietypowy, Mackay, ale na pewno nie szalony - dodał, po czym zajął się pracą.

Późnym popołudniem Lily wróciła do siebie w podłym nastroju. Była zgrzana, znużona i bolały ją stopy. Przeklinała komunikację miejską. Uważała się za osobę inteligentną jednak skapitulowała wobec zawiłości tras autobusowych. Stwierdziła, że nawet dla kogoś mieszkającego w Los Angeles przez dwadzieścia lat stanowiły one zagadkę nie do rozwiązania. Niespodziewana obecność Connora w jej mieszkaniu jeszcze bardziej ją zirytowała. Wołała nie mieć z nim nic wspólnego.

- Co ty tu robisz?

- Ja również życzę miłego dnia - zażartował.

Kłęczał na podłodze tuż przy drzwiach. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Była ubrana w luźną białą-czerwona bluzę i czerwoną spódnicę. Związała włosy na karku, zapewne dla wygody podczas upału. Kilka kosmyków wymknęło się i przyłgnęło do spoczonej szyi.

- Chyba miałaś kiepski dzień.

- Dokonałeś epokowego odkrycia. - Cisnęła złożoną poranną gazetę na stolik i opadła na kanapę. - Daję słowo, że trasy autobusów układał w tym mieście jakiś sadysta.

Westchnęła, zsunęła buty i zaczęła masować obolałe stopy.

Connor, poza paroma przejażdżkami kolejką linową, nie miał żadnych doświadczeń w korzystaniu ze środków publicz-

nego transportu. Wiedział tylko, że władze Los Angeles były dumne z publicznej komunikacji.

- Powinnaś się czegoś napić.

Zniknął w kuchni. Zirytowana jego swobodnym zachowaniem Lily nie potrafiła wykrzesać z siebie tyle energii, żeby chociaż wstać z kanapy.

Udobruchał ją oszronioną szklanką lemoniady.

- Wygląda wspaniale. - Wypiła łyk. - Prawdziwa lemoniada!

Od dzieciństwa jej nie piła. Ojciec żartował, że lato zaczyna się wtedy, kiedy Kate Padgett stawia na ganku dzbanek słynnej lemoniady domowej roboty.

- Oczywiście.

Uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że dał jej powód do radości.

- Zdumiewające.

Oparła nogi o stół i wypiła następny łyk cierpko-słodkiego napoju, niosącego rozkosz podniebieniu.

- Mam mnóstwo talentów - oświadczył.

Nie wątpiła. Nie zamierzała jednak pozwolić, aby ją oczarował.

- Tak więc co robisz w moim mieszkaniu?

- Zakładałem blokadę drzwi. Teraz będzie bezpieczniej.

Dokładnie o tym samym pomyślała, zamykając drzwi na noc.

- Dziękuję.

- Wykonuję tylko swoją pracę.

- To ty tak twierdzisz. - Przyjrzała mu się badawczo znad brzegu szklanki. - Nie potrafię się jakoś do tego przekonać.

Piękna i inteligentna. Mackay spodziewał się tego. Nigdy

nie ciągnęło go do atrakcyjnych idiotek. Uwaga Lily dawała mu sposobność do wyznania prawdy. Nie skorzystał z okazji. Przysiadł tylko na skraju dębowego stolika i położył sobie stopy Lily na kolanach. Znieruchomiała.

- Co ty robisz?

- Prezentuję kolejny z moich talentów - stwierdził gładko. - Wyglądasz jak kobieta spragniona masażu stóp.

Cóż, w całej tej sytuacji było niewątpliwie coś zbyt intymnego, lecz ucisk mocnych palców mężczyzny działał niezwykle kojąco.

- Tylko nie mów, że na tym polega twoja praca. - Lily odchyliła głowę na oparcie kanapy.

- Jestem w Bachelor Arms hydraulikiem, malarzem, murarzem, stolarzem i ślusarzem. - Przeniósł ucisk na palce stóp. Powieki Lily stawały się coraz cięższe. - Oto moje obowiązki do powrotu Ambersona. Należy do nich również świadczenie usług na osobiste zamówienie lokatorów.

Ostrożność i przyływ zdrowego rozsądku kazały młodej wdowie nie ciągnąć tego niebezpiecznego wątku.

- Trzeba z tym skończyć - oświadczyła bez większego przekonania. - Powiedziałam ci przecież, że nie umawiam się z mężczyznami.

- A czy o to prosiłem?

Zajął się drugą stopą.

- Nie. - Nie unosiła powiek. - Jeżeli mam być ścisła, chciałeś po prostu iść ze mną do łóżka.

- I nadal chcę. - Kiedy usiłowała wyrwać stopę, chwycił ją mocniej. - Nie zamierzam kłamać i mówić, że zmieniłem zdanie. Rozumiem jednak, że teraz bardziej potrzebujesz przyjaciela niż kochanka. - Przesunął zwinne, czułe palce na kostkę. - Zgłaszam się zatem na ochotnika.

Chciała mu wierzyć. Naprawdę chciała. Chociaż jej doświadczenia seksualne ograniczały się do rozczarowujących kontaktów z mężem, zdawała sobie sprawę, że męski Mac Sullivan nie zadowoliliby się przyjaźnią.

- W twoich ustach wszystko brzmi prosto - odezwała się półgłosem.

Spojrzał z uwagą na jej nachmurzoną twarz.

- A ty wszystko komplikujesz.

- Dopiero ostatnio się taka zrobiłam. Odkryłam, że wolę samodzielnie podejmować decyzje.

- To najlepsze rozwiązanie. - Zerknął na leżącą na stoliku gazetę. Na stronie z ogłoszeniami pełno było czerwonych obwódek, przekreślonych następnie na czarno. - Ale każdy od czasu do czasu potrzebuje czyjejś pomocy. Czy wspomniałem ci, że umiem kupić fantastyczny samochód za grosze?

Do diabła. Trafił w słaby punkt Lily. Przez cały dzień jeździła po mieście w poszukiwaniu przyzwoitego auta na jej kieszeń. Nie mogła liczyć na wysoki kredyt z banku. Postanowiła zdać się na Sullivana. Przynajmniej w tej sprawie. Znow zamknęła oczy.

- Nie wierzę, że ci się uda.

- Nie możesz dalej jeździć autobusami. - Sprawdził, co oferują ogłoszenia. Nie pozwoliłby Lily ryzykować życia w takich gratach. - Rano kupimy coś przyzwoitego.

Zdumiał go brak protestu. Lily siedziała z zamkniętymi oczami i lekko rozchyłonymi ustami. Usnęła.

Ułożył ją na kanapie. Wypuszczoną z rąk szklankę zaniósł do kuchni, do zmywarki. Z sypialni wziął poduszkę i delikatnie podłożył pod jasnowłosą głowę. Poczuł przypływ bolesnego pożądania. Musnął palcami policzek Lily.

- Śpij dobrze, kochanie - powiedział cicho. - Zobaczmy się rano.

Zamknął drzwi i wrócił do mieszkania 1-G. Woń schnącej farby zagłuszyła w jego nozdrzach delikatny aromat ciała Lily.

Stanął przed lustrem. Choć widział tylko własne odbicie, skorzystał z okazji, by przypomnieć mieszkance zwierciadła o swoim życzeniu.

- Jeśli naprawdę istniejesz, powiem ci, czego pragnę. - Wziął głęboki oddech i niespokojnie przycesał dłońmi włosy. - Pragnę Lily.

Od momentu przybycia do Los Angeles nieustannie kłamał. Nigdy jednak w swoim trzydziestoletnim życiu nie złożył równie szczerego, żarliwego oświadczenia.

ROZDZIAŁ

9

Kiedy nazajutrz rano Connor zjawił się w mieszkaniu Lily, ona już na niego czekała. Jasne, błyszczące oczy świadczyły o tym, że dobrze spała. Włosy, przytrzymywane białą plecioną opaską, lśniły jak jedwab.

- Ładnie wyglądasz.

Była ubrana w luźną tunikę w pastelowe prążki i pasującą do niej cienką spódnicę. Na stopach o jasnoróżowych paznokciach miała białe sandałki. Kolor kojarzył się Connorowi z wnętrzem muszli.

- Dziękuję.

- Przypominasz pyszny sorbet. - Uśmiechnął się przyjaźnie.

Wolałaby, żeby tak na nią nie patrzył, żeby nie usypiał jej czujności. Sprawiał, że myślała o rzeczach, o których nie chciała myśleć; że pragnęła rzeczy, których nie powinna pragnąć.

- Lepiej już idźmy. - Wzięła torebkę i kilka stron z ogłoszeniami wyrwanych z najnowszej gazety. - Zaznaczyłam najlepsze oferty. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaczniemy od dziesięcioletniej hondy, a potem...

- Nie. .

Wyjął gazetę z rąk Lily i cisnął na stół.

- Nie? - Jej oczy pociemniały od gniewu. - Co to znaczy?
- To znaczy - odparł uprzejmie - nie ma mowy.

Uniosła brwi.

- Słucham?!
- Nie pozwolę ci narażać życia na zardzewiającej deskorolce.
- Ty mi nie pozwolisz?!

Lily rozzłościła się nie na żarty, ale Connor wcale się tym nie przejął. Skrzyżował ręce na piersiach.

- To właśnie powiedziałem.

Lily miała szczerą ochotę rzucić się z pięściami na uśmiechającego się pobłaźliwie mężczyznę. Zacisnęła tylko palce na torebce, aż pobieleły jej kostki.

- No dobrze. - Dumnie odchyliła głowę. - Zadzwońisz do salonu rolls-royce'a i zapowiesz naszą wizytę?

- To chyba przekracza twoje możliwości finansowe. Nawet tak wytrawny negocjator jak ja nie kupiłby rolls-royce'a za bezcen. Ale jeśli połączymy siłę naszych umysłów, osiągniemy kompromis.

Ta bez troska i spokój sprawiły, że cały gniew uleciał z Lily niczym powietrze z przekłutego balonika.

- Nie stać mnie na nowy samochód.
- Zobaczymy.
- Nie znasz stanu mojego konta.
- A ty nie doceniasz mojego talentu do targowania się.

Poza tym - objął ją i poprowadził do drzwi - oprocentowanie kredytów na nowe samochody jest niższe. Możesz przeznaczyć większą sumę na samochód zamiast na obsługę kredytu.

Podniosła zdumiony wzrok.

- To prawda?
- Absolutnie.

Kiedy wyszli z domu na jaskrawe kalifornijskie słońce, Connor był bardziej niż zadowolony z siebie.

Po dwudziestu minutach Lily wbiła wzrok w zgrabne błękitne auto w salonie samochodowym.

- Prześliczny, prawda?

Connor oddałby duszę za jedno tak pożądlive spojrzenie.

- Ładny - zgodził się - ale mały. Co powiesz na ten?

Pociągnął ją za łokieć do błyszczącego, czarnego new yorkera. Nalepka za szybę głośiła, że pojazd wyposażono we wszystkie udogodnienia znane współczesnym kierowcom.

- Miły - przyznała - ale czułabym się w nim jak kapitan pancernika. Nie mówiąc o tym, że musiałabym chyba obrabować bank, żeby go kupić. - Jak przyciągana magnesem, powróciła do błękitnego autka.

- Widzę, że pańska żona już się zdecydowała - stwierdził sprzedawca, zachwycony, że przez godzinę od otwarcia sklepu wykonał całodzienny plan.

Connor otworzył usta, aby sprostować uwagę ekspedienta, lecz zrezygnował. Odciągnął sprzedawcę na bok.

- Nazywam się Connor Mackay. Rano rozmawiałem z właścicielem salonu. Chodzi ó zmniejszenie właściwej ceny samochodu. Aha, i występuję tu jako Sullivan.

- Oczywiście. Jak pan sobie życzy. - Sprzedawca kiwnął głową.

Mackay miał wyrzuty sumienia. Oszukiwał Lily, a w dodatku jego styl życia rażąco odbiegał od tego, na co stać zwykłego, szarego obywatela. Wątpliwości zniknęły jednak, kiedy spostrzegł jej minę. Cieszyła się jak mała dziewczynka, która pod choinką znalazła domek dla lalek.

Lily dobrze pamiętała dzień, w którym równie silnie pragnęła coś posiadać. Dzień jedenastych urodzin. Wymarzyła

sobie czerwony, niklowany motorower. Burza zniszczyła część plonów Padgettów, a w raz z nimi - nadzieję na błyszczące cacko. Dostała używany, wyremontowany przez ojca solidny motorower.

- Mac - szepnęła, kiedy wchodzili do wyłożonego boazerią biura. - To jednak za drogo dla mnie.

Chwyliła go za ramię. Położył rękę na jej dłoni.

- Nie martw się. Mam dobre przeczucie.

Musiała odpowiedzieć na kilkadziesiąt pytań. Data urodzenia, adres, stan cywilny, numer polisy ubezpieczeniowej i tak dalej. Urzędnik cierpliwie wstukiwiał dane do komputera. Connor pomagał niekiedy w udzielaniu odpowiedzi. Domagał się zniżki dla absolwentów wyższych uczelni i członków organizacji studenckich, która rzekomo przysługiwała przy kupnie auta. Pracownik salonu cierpliwie uczestniczył w tej maskaradzie, a Lily trzęsała się ze strachu, że jednak nie dojdzie do upragnionej transakcji. Wreszcie dostała złote kluczyki.

- Byłeś wspaniały! - stwierdziła rozpromieniona.

Wspięła się na palce, objęła go za szyję i pocałowała. Ponieważ byli w miejscu publicznym, uważał, aby pocałunek nie przekroczył granic przyzwoitości. Starał się traktować gest Lily jako wyraz uznania i przyjaźni. Ale kiedy oderwała "gorące wargi od jego ust, czuł, że było to coś więcej.

- Czym zasłużyłem na tak wiele?

- Chciałam ci podziękować.

- Lepsze to niż kartka z pozdrowieniami.

Pochylił się i pocałował ją szybko, delikatnie chwytając zębami jej wargę. Westchnęła cichutko. Cóż więcej mógł na razie osiągnąć?

Samochód już podjeżdżał.

- Mam parę spraw do załatwienia - oznajmił, przemilcza-

jąc, że dotyczą one, zupełnie przypadkiem, Xanadu Studios.
- Baw się dobrze i szerokiej drogi.

Kiedy odchodził, ogarnęła ją nieodparta pokusa, by go zawołać. W tej samej chwili usłyszała głos sprzedawcy. Na widok samochodu ucieszyła się jak dziecko. Spojrzała na świat z optymizmem, co jej się od dawna nie zdarzyło.

Uznała zakup za dobry omen. Znak, że w jej życiu nastąpiła zmiana.

To się wreszcie musiało skończyć!

Minał tydzień od przeprowadzki do Bachelor Arms. Lily stała na progu, patrząc w ślad za Mackayem wracającym przez podwórze do siebie. Przysięgała, że już nigdy więcej nie pozwoli mu na wizytę w swoim mieszkaniu.

Nie mogła powiedzieć, że był natrętny. Wieczorem dnia, w którym kupili samochód, czekała w skrytości ducha na niego, spodziewała się, że wpadnie. Daremnie. Nie mogła zasnąć do trzeciej nad ranem, zła, że zagościł na stałe w jej myślach, jak gdyby nie miała wystarczająco dużo problemów.

Chociaż prawnicy Van Cortlandów nie odzywali się, odkąd przyjechała do Los Angeles, nie wierzyła, by teściowie odstąpili od zamiaru zabrania jej dziecka.

Podczas długiej, bezsennej nocy myślała o wyzwaniach, z którymi przyszło jej się zmierzyć. Walka o dziecko, przeprowadzka, nowa praca, nie mówiąc o takiej drobnostce jak zbliżający się termin porodu. Nie mogła zajmować się błahostkami, które odciągały uwagę od istotnych dla niej i dziecka spraw.

Mimo powziętych postanowień odczuła radość na widok Maca, który rano pojawił się ze świeżymi bułeczkami, serem i wielkimi dojrzałymi truskawkami.

- Nie powinnam się objadać - wzbraniała się, kiedy postawił opakowanie twarożku obok książki, którą wypożyczyła z biblioteki. - Powinnam pilnować wagi.

- To serek odtłuszczony - zapewnił.

- W takim razie smakuje jak klej do tapet.

- Uwierz mi, będziesz zachwycona. Produkuje go firma stworzona przez grupę hipisów z lat sześćdziesiątych, którzy żyją na farmie pod Santa Cruz, a ich krowy jedzą tylko trawę, siano i mlecze z nie nawożonej ziemi.

Przyjrzała mu się badawczo.

- Wymyśliłeś to.

- Słowo harcerza, to absolutna prawda. - Powstrzymał się od wyjaśnienia, że oto Lily rozmawia z głównym udziałowcem firmy, rozsmarował śmietankową masę na słodkiej bułce i podał Lily. - Spróbuj.

- Wyśmienite.

- I bez tłuszczu-przypomniał. - Tak jak truskawki.

Wybrał szczególnie dorodną sztukę. Lily podniosła ręce.

- Poddaję się.

Wobec kapitulacji Lily, Connor nie marnował czasu. I tak, zanim się spostrzegła, zaczął odwiedzać ją codziennie, a czasem wpadał dwa razy w ciągu dnia. I nigdy z pustymi rękami.

Naprawdę musiała coś z tym zrobić. I to szybko. Z takim właśnie postanowieniem położyła się spać.

Cierpliwość nigdy nie należała do mocnych stron Mackaya. Znał jednak Cortlanda juniora i rozumiał, przez co przeszła, postanowił więc nie ponaglać Lily i czekać na upragnioną chwilę tak długo, jak każe los.

Pewnego dnia przyniósł chińskie potrawy. Po wspólnym lunchu Lily pochwaliła się, że nauczyła się obsługiwać kom-

puter z bazą danych, przysłany przez Gage'a z drugiego końca kraju. Zachowywała się przy tym jak pilna uczennica.

Kiedy cztery godziny później stanęła na progu mieszkania Connora w zwiewnej kwiecistej sukience, miał nadzieję, że okres oczekiwania nareszcie dobiega końca.

- Strasznie mi głupio, że ci zawracam głowę.

- Ależ nigdy mi nie przeszkadzasz, Lily. - Przysypany lawiną kłamstw Connor dziękował niebiosom za okazję do powiedzenia prawdy. Chwycił kosmyk jasnych, lśniących włosów.
- Wręcz przeciwnie, rozświetlasz moje monotonne dni.

Następna prawda. Chwycił wiatr w żagle!

Mac, przyjaźnie uśmiechnięty, ubrany w znajomy biały podkoszulek, znoszone obcięte džinsy i zdeptane do nieprzytomności tenisówki, wyglądał zwyczajnie i sympatycznie. Nie powstrzymało to jednak Lily przed przezornym cofnięciem się o krok.

- Niezręcznie mi prosić cię o przysługę - nerwowo wykręcała palce - ale jestem w potrzebie.

- Proś, o co chcesz - odrzekł natychmiast.

Uśmiech Sullivana sprawiał, że trzepotało jej serce, Wiedziała, że mówił szczerze. Niebezpiecznie seksowny i męski, ale zarazem najbardziej wielkoduszny i najuczciwszy człowiek, jakiego spotkała.

- Tam gdzie mieszkałam przedtem, chodziłam do szkoły rodzenia. Tu też bym chciała. Cait obiecała, że pomoże mi przy ćwiczeniach, ale wezwali ją na służbę. Wiem, że to z mojej strony egoizm, ale.

Connor poczuł przypływ satysfakcji. Bez wątplenia robili postępy. Wątpił, czy jeszcze dwa dni wcześniej Lily zwróciła-by się do niego o pomoc. Zwłaszcza w tak intymnej sprawie jak lekcje rodzenia.

- Zaraz się przebiorę.

Starła się być silna. I niezależna. Dla siebie i dla dziecka. Podczas jazdy do szpitala, przy którym zorganizowano szkołę rodzenia, przyznała jednak w duchu, że miło czasem skorzystać z pomocy.

- Bardzo mi przykro - stwierdziła po dwóch godzinach grobowym tonem, ale ze śmiejącymi się oczami. Zerknęła na Connora, który wcisnął się w siedzenie z poszarzałą twarzą i przymknął oczy.

- To nie twoja wina - zdołał wydusić.

- Naprawdę nie miałam pojęcia, że dziś pokażą na wideo przebieg porodu.

Drastyczne barwne obrazy przemknęły mu w pamięci. Żołądek skręcił się natychmiast. Przeciągnął dłonią po twarzy.

- To nie to. W tej chińskiej sałatce były na pewno nieświeże krewetki.

- Przecież ja też jadłam i czuję się świetnie.

Słyszając nutkę przekory w jej głosie, uniosł powieki i spojrział z uwagą.

- Sądzisz, że to zabawne, prawda?

- Zabawne? - Usiłowała powstrzymać śmiech. - Oczywiście, że nie. Któż kobietę rozbawiłby widok męczyzny mdlejącego publicznie?

- Nie zemdlałem ani nie zasłabłem, ani nie straciłem przytomności. Tylko trochę zakręciło mi się w głowie.

- Przyjmuję twoje sprostowanie.

Spostrzegłszy wesołe iskierki w oczach i rozciągnięte w uśmiechu usta Lily, Mackay doszedł do wniosku, że zjadłby własne sznurowadła, gdyby to ją rozśmieszyło.

- Zaręczam, krewetki.

- Oczywiście.

Lily nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. W ciasnym wnętrzu nowego auta zabrzmiał on jak srebrne dzwoneczki.

- Przepraszam. - Zaciśnęła wargi, ale niewiele to pomogło. Chichotała w dalszym ciągu. - Naprawdę przepraszam.

Connor potraktował całe zdarzenie z humorem.

- Powinnaś to robić częściej.

- Co mianowicie?

- Śmiać się. - Koniuszkiem palca musnął jej usta. - Prześlicznie się śmiejesz, Lily. A wtedy tworzy ci się dołeczek. Tutaj.

Pokazał miejsce na prawym policzku.

Zaschło jej w ustach. Mocniej chwyciła kierownicę. Zapaliło się zielone światło. Ruszyła i natychmiast zahamowała gwałtownie, unikając zderzenia z porsche, kierowanym przez szaleńca. Samochody jadące za nią przystawały z piskiem opon. Rozległy się klaksony.

Zamieszanie na skrzyżowaniu było darem niebios. Lily skupiła się na prowadzeniu auta. Nie odpowiedziała Connorowi.

Gage przyjechał do Los Angeles nazajutrz.

- Mam dobre i złe wieści - oznajmił swojej nowej sekretarce. - Najpierw złe. Przyjaciel z Nowego Jorku, z którym się konsultowałem w twojej sprawie, nie znalazł żadnych dowodów kompromitujących Van Cortlandów. Przykro mi. Będę jeszcze węszył, ale...

- W porządku. - Opuściła bezsilnie ramiona.

- Nie chcesz usłyszeć dobrej wiadomości?

- Ach tak. - Zupełnie zapomniała. - Oczywiście.

- Oni też nie zdołali znaleźć nic przeciwko tobie.

Spojrzała zdumiona.

- Jak się tego dowiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

- Pogadałem z facetem, którego wynajęli. Z początku nie palił się do rozmowy. Ale po męskiej wymianie zdań zmadrzał. Nie miał szans.

Gage odruchowo potarł kostki lewej dłoni. Lily zauważyła otarte palce. Przeraziła się. Jeszcze niedawno była sama jak palec. Teraz już drągi mężczyzna stawał w jej obronie.

- Dlaczego tak się zaangażowałeś? Przecież nawet mnie nie znasz.

- Jak to? - Ojcowskim gestem pogłaskał ją po włosach.
- Rozmawialiśmy przez telefon przynajmniej trzy razy dziennie; Jesteś przecież przyjaciółką Blythe. - Na wspomnienie Blythe oczy detektywa zapłonęły, co nie uszło uwagi Lily. - A poza tym, mam nosa do ludzi. Wiele razy moje życie zależało od intuicji, która teraz mówi mi, że jesteś wyjątkową osobą, Lily.

- Tak jak i ty.

Objęła go po przyjacielsku. Zrozumiała, że Cait się nie myli. Z Remingtonem Blythe byłaby szczęśliwsza niż z aktualnym narzeczonym. Gdyby udało się namówić Blythe do zmiany planów... Na to jednak było chyba za późno.

Gage odmówił przyjęcia honorarium, wymawiając się brakiem rezultatów śledztwa. Lily w zasadzie spodziewała się tego. Chcąc odwdziżyć się w jakiś sposób, spędziła resztę dnia na pomaganiu Gage'owi w przeprowadzce do nowego mieszkania.

Woń świeżej farby wywietrzała, a dywan został wyczyszczony. O ile Lily się orientowała, detektyw zajął największy lokal w budynku, a w dodatku miał imponujące lustro w salonie.

Na Gage'u nie zrobiło ono wrażenia. Był wyraźnie nie-

zadowolony, a raczej rozdrażniony. Kiedy Lily wychodziła, krążył po pokoju niczym tygrys w klatce.

Przy drzwiach swojego mieszkania natknęła się na Mackaya.

- Cześć.

Niski głos przyprawił ją o kołatanie serca.

- Cześć.

Poczuła, że się czerwieni. Wbrew samej Lily, jej wzrok wyrażał radość.

- Wpadłem już wcześniej, ale cię nie zastałem.

- Gage wrócił. Pomagałam mu się urządzać.

- Jill mi powiedziała.

Zirytowała się. Wyglądało na to, że Jill chciała wiedzieć wszystko o wszystkich w Bachelor Arms. I stale udzielała dobrych rad. Lily zauważyła też, że seksowna dekoratorka spędza za dużo czasu na pogawędkach z Makiem.

- Jill zawsze znajdzie ci coś do roboty.

Odezwała się ostrzej niż zwykle. Patrzyła zadziornie. Czyżby zazdrość? To się spodobało Connorowi. Lepsza zazdrość niż obojętność.

- To stary budynek. Wszystko się sypie.

- Chyba tak. - Nie mając ochoty na roztrząsanie kontaktów Maca z Jill, Lily odwróciła się i otworzyła drzwi. - Na szczęście u mnie wszystko w porządku.

- Miło to słyszeć. - Wszedł za nią. - Potrzebujesz czegoś? - Z zadowoleniem spostrzegł, że zbił ją z tropu. - Pomyślałem, że może będziesz chciała wykonać parę ćwiczeń oddechowych. Przecież jutro wieczorem jedziemy do szkoły rodzenia - przypomniał mimochodem. - A jeszcze nie ćwiczyliśmy.

Wizja Maca masującego jej plecy to więcej niż Lily potrafiła znieść.

- Sama to zrobię.
- Tworzymy zespół.
- Cait mi pomaga - przypomniała. - Ty tylko ją zastępowałeś.

- Cait znowu ma służbę - zaprotestował. - Rozmawiałem z nią przed chwilą. Zresztą w podręczniku zalecają ćwiczenie z tą samą osobą, w miarę możliwości.

Mówił rozsądnie, ale...

- Obiecuję, żadnych śmiechów. - Mężczyzna uniósł dłoń w geście przyrzeczenia.

- Ćwiczenie czyni mistrza, jak mawia przysłowie - stwierdziła, nie do końca przekonana.

- Święte słowa.

Zadowolony, lecz nie upojony sukcesem, zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ

10

Lily słusznie przewidywała, że brak wiadomości od teściów był tylko ciszą przed burzą. Reprezentujący ich prawnik, kierując się rzekomą troską przyszłych dziadków o zdrowie wnuka, wzywał w nadesłanym piśmie, aby niezwłocznie przedstawiła aktualne badania lekarskie. Lily w złości rzuciła list na podłogę i położyła się w ubraniu na łóżku. Płacz ukołysał ją do snu.

Kiedy nie otwierała drzwi, zaniepokojony Connor skorzystał z zapasowego klucza, którym dysponował jako pomocnik administratora. Od razu zauważył leżący na środku pokoju list. Przeczytał go i wpadł we wściekłość. Poznał Cortlanda juniora z jak najgorszej strony. Teraz zrozumiał, że bezwzględność i nieliczenie się z nikim wyniósł on z domu. Jego rodzice chcieli zawłaszczyc dziecko synowej, której nigdy nie zaakceptowali, a w trudnej chwili nie pospieszyli z pomocą. Przeciwnie.

Lily spała. Twarz jej pobladła. Łzy zostawiły smugi na policzkach. Connor przysiadł na materacu. Nie obudziła się. Minęło pięć, dziesięć minut. Pogłaskał ją po włosach. Wdychał ich znajomą woń. Nie oparł się też pokusie, by pocałować nie umalowane, lekko rozchylone usta.

Poruszyła się. Zamrugwała niespokojnie.

- Mac?

Tęsknił do dnia, kiedy wypowie jego prawdziwe imię. Wewnętrzny głos przynaglał go do wyjawienia prawdy, i to bez zwłoki. Nie był to jednak stosowny moment. Lily miała już dość przykrych przeżyć tego dnia.

- To ja - odpowiedział.

- Cieszę się, że tu jesteś. - Uśmiechnęła się łagodnie i przyłożyła dłoń mężczyzny do policzka. - Nie odchodź.

- Za żadne skarby - odpowiedział, walcząc ze wzruszeniem.

Pocałował ją czule, delikatnie. Ufnie poddała się pieścizocie. Koniuszkiem palca musnął sińce pod oczami Lily.

- Od dawna to się ciągnie?

Westchnęła i postanowiła opowiedzieć mu wszystko.

- W dniu, w którym dowiedziałam się, że jestem w ciąży, mąż oznajmił, że odchodzi do innej kobiety. Wkrótce razem z nią zginął w wypadku samochodowym. Podczas pogrzebu zemdlałam i teściowie dowiedzieli się, że spodziewam się dziecka. Po tygodniu w moim domu, zresztą zajęтым przez komornika, pojawił się ich adwokat z czekiem na sto tysięcy dolarów.

Connor ledwie zapanował nad gniewem.

- Próbowali kupić twoje dziecko?

Na wspomnienie przykrych doświadczeń zamknęła oczy.

- Z początku myślałam, że to jakaś pomyłka. Nie przemyślane postępowanie rodziców zrozpaczonych stratą jedyne go syna.

Zacisnął zęby.

- Nie musisz ich bronić, Lily. Trzeba potępić to, co zrobili. Westchnęła.

- Powinieneś postawić się na ich miejscu. Nie mieści im

się w głowie, że nie mogą czegoś kupić. - W instynktownym odruchu obrony przycisnęła dłonie do brzucha. - Podarłam czek, kazałam adwokatowi wyjść i miałam nadzieję, że na tym koniec. - Łza spłynęła jej po policzku. - Oczywiście tak się nie stało. Oni chcą mojego dziecka, Mac.

Z wysiłkiem pozbierał myśli i opanował się.

- I walczysz z nimi zupełnie sama?

Lily zdawało się, że słyszy w jego tonie nutę surowości. Dumnie uniosła głowę.

- Z początku nie miałam nikogo. Od przyjazdu do Los Angeles Blythe i Cait bardzo mnie wspierają. A Gage... - Głos jej się załamał, lecz zamiast spodziewanego szlochu Mackay usłyszał chichot. - Gage wałnął w nos detektywa Van Cortlandów.

Connor postanowił osobiście podziękować byłemu policjantowi.

- Dobry początek. Chociaż z większą przyjemnością spuściłbym łanie samym Van Cortlandom.

Jego oczy nie kłamały. Lily poczuła nagle przypływ uczucia, jedyne i niepowtarzalne.

- Kocham cię, Macu Sullivanie.

Dopiero później, gdy opadły emocje, zrozumiał, że popełnił fatalny błąd. Powinien był od razu odrzucić maskę, którą przywdział, a Lily pewnie by mu wybaczyła.

Położył rękę na jej przyciśniętej do brzucha dłoni. I wtedy dziecko poruszyło się.

- Nieprawdopodobne!

Lily uśmiechnęła się przez łzy. Łzy radości.

- Prawda? Kiedy pierwszy raz kopnęło, zrozumiałam, że cuda się zdarzają. Nadal tak myślę.

- Nawet wiem dlaczego. - Dziecko wywinęło salto

w brzuchu matki. - Rewelacyjny skok. Sześć punktów i złoty medal!

Roześmiała się. Opadło napięcie. Minał smutek. Mimo wszystkich problemów Lily czuła się lekko i swobodnie.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - zaczął z powagą Connor.

- Nie teraz. - Ujęła jego przystojną twarz w dłonie i pocałowała. - Nie chcę już nic mówić. Chcę po prostu się do ciebie przytulić.

- Moja maleńka. - Przygarnął ją mocno, wdychał zapach włosów i jedwabistej skóry za uchem. - Pozwól mi pokazać, jak bardzo cię pragnę.

- Nigdy czegoś takiego nie zaznałam - stwierdziła półgłosem, kiedy muskał pocałunkami jej twarz i szyję.

- Czyli jest nas dwoje. Żadnej kobiety nie pragnąłem tak jak ciebie, Lily.

Bez pośpiechu gładził zgrabne ciało przez cienką bawełnianą sukienkę. Całował Lily z tklivością, o jaką się nie podejrzewał. Muskał dłońmi piersi. Zaskakiwał siebie własną cierpliwością i powściągliwością.

- I żadnej kobiety nie kochałem tak jak ciebie.

Przytulił ją mocniej, spragniony następnych pocałunków. I wtedy spostrzegł, że ona płacze.

Zamarł.

- Lily? - Srebrne strużki spływały w ciszy po jej policzkach. - Kochanie? - Ścierając łzy, czuł się niezdarnie, nieswojo. - Co się stało?

- Powiedz to jeszcze raz - poprosiła z bezgraniczną ufnością i oddaniem w oczach.

Patrzyła tak na kłamcę, który ukrywając swoją tożsamość, zbliżył się do niej.

- Co powiedzieć?

- Że mnie kochasz.
- Kocham cię. - Ogarnięty lękiem, że utraci Lily, przytulił ją mocno. - Kocham. - Obsypał gorącymi, szaleńczymi pocałunkami twarz i szyję Lily. - Chcę, żebyś mi coś obiecała.
- Czego tylko pragniesz.
- Obiecuj, że cokolwiek się stanie, nigdy nie zapomnisz, że cię kocham - zażądał, nie spuszczając z niej rozognionego wzroku.
- Oczywiście, nie zapomnę - odrzekła, zaskoczona żarliwym tonem głosu Connora.

Nie opodał, w mieszkaniu 1-G, Gage krążył niespokojnie, zdenerwowany informacjami, które właśnie otrzymał, dotyczącymi Nataszy Kuryan, charakteryzatorki Aleksandry w wytwórni Xanadu.

Blythe bardzo chciała porozmawiać z kimś, kto osobiście znał przed laty sławną aktorkę. Z niecierpliwością czekała na powrót starszej pani z wycieczki do Grecji. Tymczasem mijały zapowiedziane dwa tygodnie i Gage wcale nie miał dobrych wieści.

Uznał, że prędzej czy później Blythe i tak dowie się prawdy. Udawał oczywiście przed sobą, że to jedyny powód do skontaktowania się z piękną klientką.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer telefonu na Hawajach.

Blythe pracowała nad opalenizną przy basenie, natomiast Alan gonił ptaki na szmaragdowozielonym polu golfowym.

- Nie do wiary! - Szybko obliczyła w myślach wiek starszej pani. - Przecież ona musi mieć po osiemdziesiątce!
- Powiedziałbym, że to trafiony strzał.
- Wiesz, nie znoszę, kiedy ktoś zachowuje spokój, a mnie ponosi - wyznała z wyrzutem.

- Przepraszam.

Mimo dzielącej ich odległości usłyszała nutkę wesołości w głosie Remingtona.

- To nic śmiesznego!

- Tak, proszę pani.

- Do diabła, Gage. - Blythe uśmiechnęła się wbrew samej sobie. - Źle się stało, że Kuryan w ogóle wypłynęła w rejs. Teraz mówisz mi w dodatku, że wdała się w jakiś szalony romans...

- Nie wiem, czy szalony. Po prostu nagle opuściła statek i wprowadziła się do domu Kyriako Papakosty na wyspie Naksos. To popularny, bardzo szanowany grecki powieściopisarz. Informator doniósł mi, że tańczyli przytuleni w wiejskiej tawernie.

- Ładnie - rzekła ironicznie.

Jak się zdawało, leciwa Natasza Kuryan prowadziła bujniejsze życie towarzyskie niż Blythe na Hawajach, bo Alan większość czasu spędzał tak jak w Los Angeles: z kolegami lekarzami.

- Nie martw się, jeśli nie wróci w ciągu paru tygodni, wytropimy ją.

- My?

- To ty chciałaś z nią rozmawiać. Skoro zamierzasz wybrać się do Grecji sama...

- Nie - ucięła. - Nie wiedziałabym nawet, jak dotrzeć na Naksos.

Po drugiej stronie basenu całowała się para nowożeńców.

Widok przytulonych zakochanych przypomniał Blythe z całą wyrazistością pocałunek Gage'a. Pamiętała uczucie zagrożenia, jakiego doznała, gdy szorstkie wargi Remingtona dotknęły jej ust, i natychmiast zaczęła przekonywać samą sie-

bie, że zwariowana wyprawa na słoneczną śródziemnomorską wyspę w towarzystwie mężczyzny, który grał główną rolę w jej snach, byłaby przedsięwzięciem wysoce ryzykownym.

- Blythe? - Niski, ochryply głos wślizgiwał się pod skórę, budził niebezpieczne emocje. - Jesteś tam?

- Tak - odparła cichym, załamującym się głosem. Nerwowo przyczesła dłonią włosy. - Tak, jestem. I myślę, że to dobry pomysł pojechać do Grecji.

Dobry Boże, zamierzała to zrobić! Zapadła cisza. Oboje rozumieli, co oznacza ta decyzja.

- Aha, jeszcze coś. To dotyczy Lily.

- Lily? - Blythe usiadła wyprostowana. - Czy coś się stało?

- Wydaje się, że wreszcie w życiu twojej przyjaciółki powiały pomyślne wiatry. Ona i Mac Sullivan mają się chyba ku sobie.

- Naprawdę?

A więc Cait nie myliła się co do nowego lokatora.

- Spędzają razem mnóstwo czasu. Cait mówiła, że chodzą razem do szkoły rodzenia.

- Bogu dzięki. - Blythe zmarszczyła brwi. Pragnęła szczęścia Lily, lecz z pewnością nie życzyła jej zabrnienia w następny nieudany związek. - Szybko się uwinęli. Może zbyt szybko...

- Tak się wydaje - przyznał Gage - ale czasem między kobietą a mężczyzną błyskawicznie powstaje więź.

Zniżył głos. Rozmawiał teraz nie jak detektyw z klientką, lecz prywatnie, i to wcale już nie o Lily i Sullivanie.

- No dobrze. - Blythe z wysiłkiem nadała głosowi swobodny, wesoły ton. - Lily z pewnością jest w dobrych rękach.

- Jeśli ją skrzywdzi, przestawię facetowi nos - przyrzekł Gage. - Wiesz, może powinienem go sprawdzić? Na wszelki wypadek.

Propozycja wydała się kusząca, bo mogła oszczędzić przyjaciółce kolejnego zawodu. Gdyby jednak Lily odkryła, że Mac jest śledzony, mogłaby mieć pretensje do Blythe.

- Lepiej nie. Będę jednak wdzięczna, jeśli rzucisz okiem na dziewczynę. Przecież mieszkasz obok.

- Przypilnuję jej jak starszy brat.

- Dziękuję.

To załatwiało sprawę. Blythe miała nadzieję, że Remington nie będzie musiał interweniować.

I znów zapadła pełna napięcia cisza. Oboje zwlekali z położeniem słuchawki, chociaż nic nie pozostało do omówienia.

- Baw się dobrze - powiedział w końcu Gage.

Nowożeńcy po drugiej stronie basenu szli objęci w stronę bungalowu. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, jak spędzą resztę popołudnia. Blythe patrzyła na nich z zazdrością.

- Dzięki. Zobaczę się z tobą po powrocie.

- Czekam.

Cisza. Gage wyłączył się pierwszy.

Wzdychając, Blythe nacisnęła guzik telefonu bezprzewodowego. Wyciągnęła się na leżaku i usiłowała skupić uwagę na powieści, w którą wbijała wzrok od dwóch dni, podczas gdy zbuntowana wyobraźnia podsuwała wyraziste obrazy. Ona i Gage kochają się szaleńczo, do utraty tchu, a z jakiegoś niezrozumiałego powodu otaczają ich strzeliste, ośnieżone szczyty, zamiast krajobrazu tropikalnej hawajskiej wyspy...

W Los Angeles Cait snuła się po obszernym gabinecie Sloana. Pokój z oknem na ocean zajmował większą część domu scenarzysty. Sącząc wino, patrzyła na zroszone księży-

cowym blaskiem czarne wody Pacyfiku. Dziwiła się, jak można pracować, mając przed sobą tak wspaniały widok.

Świadczyło to jednoznacznie o zdolności Sloana do koncentracji. I pomyśleć, że z początku Cait wzięła go za jeszcze jednego hollywoodzkiego playboya.

Przyszła tu po służbie. Sloan powitał ją krótkim, „mężowskim” pocałunkiem i znów skupił wzrok na ekranie komputera.

- Pracujesz chyba nad świetną sceną - zagadnęła.

- Zapowiada się nieźle - potwierdził, nie podnosząc oczu. Palce nie przestawały stukać w klawiaturę. - Gage wyostał z archiwów Xanadu nowe dane o miesiącu miodowym Aleksandry i Patricka.

' - To było już po ucieczce kochanków do Arizony - dodała.

Dzięki Blythe i Sloanowi Cait znała dzieje romansu sprzed lat lepiej niż ktokolwiek w Hollywood. Oczywiście poza Nataszą Kuryan. Cait nie mogła nie uśmiechnąć się na wspomnienie bujnego życia towarzyskiego starszej pani.

- Tak. Zdecydowałem, że popracuję nad tą sceną, póki mam ją świeżo w pamięci.

Ciemne włosy opadły mu na czoło i Cait nie potrafiła się oprzeć, by ich nie odgarnąć.

- Dobry pomysł.

Znużona czekaniem, postanowiła przetestować siłę koncentracji narzeczonego. Zgrzyt rozsuwanego zamka granatowej spódnicy powinien zwrócić jego uwagę...

Nic.

Nie zrażona rzuciła spódnicę na dywan i zaczęła rozpinąć perłowe guziki jedwabnej bluzki koloru kości słoniowej.

- Więc gdzie spędzili miodowy miesiąc?

- W Kolorado.

- Aha. - Powoli rozpinęła jeden po drugim błyszczące guziki. Sloan zaklął i rozpaczliwie wymazywał kursorem ostatnią linijkę dialogu. - Zawsze mi się podobało w Kolorado. - Potrząsnęła ramionami, a bluzka opadła na podłogę obok spódnicy. - Jest tam czasem bardzo zimno. - Przesiadła na rogu biurka. - Ale dla zakochanych chłód nie stanowi oczywiście przeszkody. - Skrzyżowała długie nogi. - Patrickowi na pewno udało się rozgrzać Aleksandrę.

- Wyobrażam sobie.

Kuszący szelest jedwabiu w połączeniu ze zmysłowym głosem Cait z opóźnieniem, ale jednak, trafił do świadomości Sloana. Oderwał wzrok od monitora. Brązowe oczy pociemniały na widok zgrabnych nóg w kremowych pończochach.

- Czy już ci mówiłem, że uwielbiam twoją bieliznę?

Sloan, zachwycony wyzywającą pozą Cait, natychmiast zapomniał o scenariuszu.

- Chyba coś wspominałeś. - Długie palce bawiły się koronkową podwiązką. - Teraz, kiedy dostałam awans na detektywa, zrobiło się o wiele przyjemniej. Nie muszę nosić ohydnej bielizny mundurowej.

- Wtedy też mi się podobałaś. - Sloan pochylił głowę i zwilżył językiem kremową koronkę kryjącą piersi. - Muszę jednak przyznać, że jeszcze bardziej podobasz mi się w koronkach i jedwabiach.

Gładził uda Cait, która pomyślała, że związek z mężczyzną znającym tajniki damskiej bielizny ma swoje dobre strony.

- Ale - powoli, potęgując napięcie, ściągał pończochę z nogi narzeczonej - najbardziej lubię cię bez niczego.

Jakże szybko zamienili się rolami. Początkowo to przecież

do niej należała inicjatywa. Ale kiedy oplotła szyję Sloana ramionami, czuła, że sama została uwiedziona.

Gage pił właśnie drugą szklaneczkę whisky, kiedy zauważył coś kątem oka. Odwrócił się. Patrzył prosto na własne odbicie w ozdobnym starym lustrze.

Chyba mu się wydawało. Tak jak zawsze po rozmowie z Blythe, był zdenerwowany i rozdrażniony.

Jego myśli krążyły wokół Patricka i Aleksandry, oddających się miłosnym uniesieniom gorętszym niż gejzery Kolorado, wśród których spędzali miodowy miesiąc.

Poniewczasie przypomniał sobie, że nie powiedział Blythe o swoich ustaleniach. Kochankowie spod złej gwiazdy pojechali w podróż poślubną w góry Kolorado.

ROZDZIAŁ

11

Kraina czarów. Już dwa tygodnie Lily żyła w krainie czarów. Każdego ranka budziła się w cudownych, silnych ramionach, tak jak poprzedniego wieczora zasypiała.

Za dnia, kiedy Mac wychodził z Bachelor Arms do nowej pracy w Xanadu, pochłaniały ją zajęcia zlecone przez Gage'a, bardzo dla niej ciekawe. Nie miała czasu się dręczyć, jaki to następny krok podejmą Van Cortlandowie, aby zabrać jej dziecko.

W czasie studiów bardzo lubiła szperać po bibliotekach i szukać ciekawych informacji w książkach i czasopismach. Wprowadzając do komputera dane dotyczące prowadzonych przez Remingtona spraw, Lily czuła się jak badacz skomplikowanych związków międzyludzkich. Kartoteki detektywa kryły opowieści o miłości i zdradzie, znacznie więcej zabawnych i tragicznych historii niż opasłe wakacyjne czytała.

Gage nauczył ją, że większość osób unikających na przykład płacenia podatków czy alimentów, pozoruje swoje zagięcie i posługuje się fałszywym nazwiskiem, będącym na ogół kombinacją nazwisk przodków.

Poprzedniego wieczoru, podczas którego Mac przyrządzał

kurczaka według przepisu swojej matki, Lily próbowała wykoncytować nazwisko pewnego zaginionego tatusia.

- Dobra robota - pochwalił ją Gage nazajutrz. - Genialnie skojarzyłaś nazwisko panińskie jego babki z nazwiskiem panińskim żony.

Dumna, zadowolona z siebie Lily zarumieniła się.

- Dziękuję. Postępowałam tylko według twoich wskazówek.

- To ja ci powinienem podziękować, Lily. - Spojrzał na nią uważnie, pocierając brodę. - Rozumiem, że po urodzeniu dziecka będziesz bardzo zajęta. A potem? Masz już jakieś plany?

- Raczej nie.

Po śmierci męża zbyt ją pochłoneły sprawy finansowe i spłata długów zmarłego, aby mogła myśleć o przyszłości. Potyczki ze zdrażliwymi Van Cortlandami wysały z niej całą energię.

W ostatnich dniach, ukołysana miłością Connora, po prostu odłożyła wszelkie decyzje dotyczące przyszłości.

- Cait sugerowała, żebym ukończyła studia prawnicze.

- Co o tym sądzisz?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami, porządkując papiery na biurku. - Takie studia są bardzo absorbujące. Nawet gdybym zdołała je opłacić, musiałabym codziennie rozstawać się z dzieckiem na dłużej, niżbym chciała. - Doszła do wniosku, że pora omówić ten temat, spojrzała więc z powagą na Gage'a. - W zasadzie miałam nadzieję, że będę mogła dalej pracować u ciebie.

- W takim razie myślimy podobnie.

Uśmiechnął się serdecznie. Jeszcze raz stwierdziła, że Gage Remington to bardzo miły człowiek. Chociaż nie powinny

jej obchodzić sprawy prywatne Blythe, była ciekawa, jak rozwine się sytuacja po powrocie przyjaciółki z Hawajów.

Uczucie do Sullivana tak bardzo odmieniło życie Lily, że pragnęła, aby obie przyjaciółki były równie szczęśliwe.

Nagle zdała sobie sprawę, że puściła wodze fantazji, podczas gdy Gage dalej coś mówił.

- Przepraszam, nie słuchałam.
- Spytałem, czy zostaniesz moim współnikiem.
- Wspólnikiem? Tak jak w interesach?
- Właśnie tak. - Skrzyżował ręce na piersiach, oparł się o biurko i uśmiechnął. - Ale jeśli masz inne plany...
- Nie! - Potarła skronie, usiłując pojąć cały sens propozycji. - Zaskoczyłeś mnie. To znaczy, sądziłam, że dość dobrze wykonuję swoje obowiązki, ale...

Przerwała skonsternowana i milcząc, patrzyła na Gage'a.

- Myślę, że tworzymy zgrany zespół, Lily. Uwolniłaś mnie od papierkowej roboty. Pracujesz z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Masz świetne podejście do klientów. Przy tobie wszyscy czują się ważni i szanowani. Doskonale sobie radzisz z wyszukiwaniem informacji i w ogóle dobrze nam się układa.

- Lepiej niż dobrze - przyznała.

Gage zastępował jej starszego brata, którego tak zawsze chciała mieć.

- I co ty na to?
- A pieniądze?
- Dostaniesz połowę comiesięcznych zysków, co powinno potroić twoje dochody, ponieważ dzięki twojej operatywności mogę przyjąć więcej spraw.

Lily z góry przeznaczyła zapowiadzaną podwyżkę na poważne zakupy, takie jak ubranka dla dziecka i meble.

Dopiero po chwili pomyślała, że Remington przesadził z hojnością.

- To nieuczciwe, żebym zabierała połowę zysków, skoro nie poniosłam połowy kosztów działalności firmy.

- Nieprawda. Wniosłaś tak kolosalną zmianę...

- To nie to samo - upierała się. - Założyłeś firmę za własne pieniądze, Gage. Cait opowiadała, jak zainwestowałeś wszystkie oszczędności i nawet nie płaciłeś składki ubezpieczeniowej przez pierwszy kwartał.

- Zgadza się. A czy opowiedziała ci, że pożyczyłem sporą sumę od pewnego właściciela restauracji wdzięcznego za to, że udaremniłem napad na jego lokal?

- Nie, ale...

- Chcę ci tylko uprzytomnić - nie dopuścił jej do głosu - że wszyscy od czasu do czasu potrzebujemy troszkę pomocy. Jeśli zaczniesz ci się wieść lepiej, za parę miesięcy wniesiesz pewną kwotę do kapitału firmy. Chociaż to nie będzie konieczne.

Uniosła dumnie głowę.

- Według mnie będzie.

- O Boże. - Przeczesał palcami gęste czarne włosy. - Nic dziwnego, że przyjaźnisz się z Cait. Jesteś równie uparta.

- Wiem - odpowiedziała z uśmiechem.

Po chwili wzrok Lily spoważniał. Musiała podjąć trudną decyzję dotyczącą jej i dziecka. Wyższa pensja znaczyła, że wspólnie z Sullivanem będą mogli pomyśleć o kupnie domu na raty.

Mały biały domek w miłej okolicy. Podwórko ogrodzone płotem, a w nim piaskownica i huśtawka. Uśmiechnęła się do swoich marzeń. Może nawet kupią sobie psa. Zawsze podobały jej się cocker spaniele. Psy tej rasy lubią dzieci.

- Coś ci powiem - zaproponował Gage. - Przemyśl to w czasie weekendu. Porozmawiaj z Makiem. A w poniedziałek omówimy szczegóły.

- Dziękuję - skinęła głową. Zadzwonił telefon. - Biuro detektywa Remingtona - odezwała się energicznie i uprzejmie zarazem. Tak, pani Potter. Przekazuję słuchawkę.

Kiedy Gage rozmawiał z klientką, Lily zauważyła, że jej szef, podobnie jak Mac, ma bardzo przyjemny głos.

- Propozycja przedstawia się interesująco - przyznał Connor, kiedy wieczorem jechali wzdłuż wybrzeża. - Jeśli pytasz o moje zdanie, radzę ci ją przyjąć.

- Czuję się głupio, nie mogąc wnieść żadnego kapitału.

- Plan Gage'a wygląda rozsądnie i uczciwie. Poza tym on ma słuszość, twierdząc, że twój wkład to poszerzenie możliwości firmy.

- Racja. - Chociaż Mac nie podnosił jeszcze kwestii małżeństwa, musiała wy badać jego opinię. - Co sądzisz o pracujących matkach?

Wiedział, dlaczego Lily o to pyta. Nie miał natomiast pojęcia, jak jej wytłumaczyć, że wyszłaby za męża nie za Maca Sullivana, lecz za Connora Mackaya.

- Sądzę - zaczął powoli, ostrożnie - że matki, jak i wszyscy inni, powinny robić to, co je uszczęśliwia. Bo jeśli one są szczęśliwe, to ich dzieci również.

Miała nadzieję na taką dokładnie odpowiedź. I znów powtórzyła sobie w duchu, że los uczynił jej wspaniały prezent, stawiając na jej drodze Sullivaha.

- Dokąd jedziemy?

- Niespodzianka.

Z jego ust nie schodził obowiązkowy uśmiech, lecz Lily

zdawało się, że w oczach mężczyzny dostrzega zatroskanie. Może to tylko przywidzenie? Rozsiadła się wygodnie i odprężyła.

Błękitny łuk niebios rozpięty nad San Diego Bay był najpiękniejszym mostem, jaki w życiu widziała. Zachwyciła się też bajeczną okolicą Coronado Island z jej cichymi uliczkami obsadzonymi szpalerami drzew oraz domami o architekturze stylizowanej na dziewiętnastowieczną Anglię. Gdzieś tam stały również typowe kalifornijskie bungalowy.

- Czarujące - rzekła półgłosem.

Nie do wiary, że nowoczesne miasto San Diego leżało zaledwie marę minut drogi stąd.

Connor wziął ją za rękę.

- Cieszę się, że ci się podoba. Chciałem, żebyśmy spędzili niezwykły weekend.

Ochrypli, przejęty głos mężczyzny zdradzał, że zaplanował coś więcej niż dwa dni szalonej miłości. Może w nadmorskiej oazie spokoju, z dala od innych, zamierzał się oświadczyć? Chociaż zdrowy rozsądek tłumaczył Lily, że na to za wcześnie, kobieca intuicja zapewniała, że nigdy nie spotka człowieka zdolnego do takiej miłości jak Mac Sullivan.

Dlatego właśnie, pakując bagaże do samochodu, a potem jadąc przez most, podjęła decyzję. Jeśli Mac poprosi ją o rękę, zgodzi się.

- Ależ Mac! - Zawołała z szeroko otwartymi oczami, kiedy zatrzymali się przed ekskluzywnym hotelem Del Coronado. - Przecież nie stać cię na taki hotel!

Zaszokowana podziwiała czerwono-biały wiktoriański budynek, pomnik złotej przeszłości Hollywood. Wyglądał jak żywcem wyjęty z kart książki z baśniami: wieżyczki, kopułki, kolorowe ogrody.

- Niech ta śliczna główka nie martwi się o ceny. - Pocałował ją. - Oszczędzałem grosz do grosza.

- Ale...

Przycisnął palce do jej ust.

- Po prostu mi zaufaj, dobrze?

- Ufam ci - zapewniła żarliwie, patrząc szczerym, oddanym wzrokiem.

Connor poczuł się jak łajdak. Tyle tygodni oszustw. Pozostawało nie tracić nadziei, że do poniedziałku rano Lily nie zmieni zdania.

Ten cudowny weekend Lily miała zapamiętać do końca życia. Spacerowali po plaży, trzymając się za ręce. Pławili się w słońcu nad olbrzymim basenem, wędrowali po zakamarkach hotelu, w którym elektryczność założył sam Tomasz Edison. Pływali łódką po zatoce.

Na śniadanie jedli w łóżku ciastka. Zafundowali też sobie istic królewską kolację w „Prince Edward Grill”. Kelner objaśnił, że zdobioną złotem porcelaną zaprojektowano specjalnie na przyjazd księcia Walii, Edwarda, który tu właśnie poznał Wallis Simpson.

- Wyobrażasz sobie - powiedziała Lily, kiedy wrócili do pokoju - zrezygnować z królestwa, z tronu, dla kobiety, którą kochasz?

- Oczywiście - przyznał bez wahania,

Wzruszona, pocałowała go, objęła za szyję i mocno przytuliła.

- Czy mówiłam ostatnio, że cię kochani?

- Coś sobie przypominam.

- To dobrze. Kocham cię. - W okamgnieniu zdjęła mu krawat i rzuciła na podłogę. - Do szaleństwa.

Kremowa lniana marynarka pofrunęła w ślad za krawatem.

Connor zamierzał wyjawić prawdę po kolacji, a przed porannym powrotem do miasta. Kiedy jednak Lily rozpięła mu koszulę i zaczęła całować nagi tors, poczuł, że dobre intencje ulatują w dal.

- Uwielbiam smak twojej skóry. - Ściągnęła koszulę z pleców Connora. - I dotyk. - Rozpięła mankiety.

Zamarł. Lily była wyraźnie zdumiona widokiem złotych spinek. Ale tylko przez moment. Wkrótce śnieżnobiała koszula opadła na marynarkę.

- W zasadzie - ciągnęła Lily - kocham w tobie wszystko.

Popchnęła go delikatnie na materac i zdjęła mu buty. I znów Connor przeżył chwilę grozy. Zwykły śmiertelnik nie nosi przecież włoskich butów ręcznej roboty. Lily, na szczęście, nie zwróciła na nie większej uwagi.

Ściągnęła skarpetki, a potem granatowe spodnie.

- Chciałam cię dziś uwieść - szepnęła.

- I dokonałaś tego.

- Chyba się już nigdy stąd nie ruszę - oświadczyła Lily, leżąc obok Connora.

- Dla mnie brzmi to zachęcająco. Czy jednak nie zagłodzimy się na śmierć?

Przywarła do niego jeszcze mocniej. Czuł, że się uśmiechnęła.

- Dlatego właśnie wymyślono obsługę hotelową.

- Celna uwaga. - Całował ją długo, czule. - Jak ja cię kocham.

Wciąż nie przestawał się temu dziwić. I niepokoić.

- Wiem.

- Nie jest źle zostać uwiedzionym.

Roześmiała się radośnie.

- Pamiętajsz, że w poniedziałek mam wizytę u lekarza.
- O drugiej.

Zamierzał wcześniej wyjść z wytwórni i zawieźć Lily do kliniki na Bulwarze Zachodzącego Słońca.

- Zdajesz sobie sprawę, że lekarz prawdopodobnie każe nam przestać to robić?

- Co robić? To? - Pieścił językiem jej piersi, a Lily topniała z rozkoszy. - To? - Przesunął dłoń pod nabrzmiąły brzuch i głaskał najwrażliwszy punkt ciała kobiety. - A może to?

- Wiesz, o czym mówię.

- Wiem. - Całował ją długo, aż zaparło jej dech. - Mówisz tylko o stosunkach, Lily, a jest tyle innych sposobów uprawiania miłości. - Powędrował ustami po jej ciele. Szyi. Piersiach. Brzuchu. - Pozwól, że ci pokażę.

- Nie chcę wracać do realnego świata - stwierdziła Lily nazajutrz rano, kiedy pili ostatnią kawę w luksusowym „Palm Court”.

- Znam to uczucie. - Nadal nie wyjawiał prawdy. Szacowni przodkowie Mackaya niechybnie wydziedziczyliby go za takie tchórzostwo. - Słuchaj, do Los Angeles nie jedzie się długo. Może wybierzemy się na ostatni spacer po plażę? Muszę powiedzieć ci coś ważnego.

W ciągu dwóch dni Lily nie doczekała się oświadczyn i to ją nieco rozczarowało. Teraz, kiedy Mac splótł palce z jej palcami i zerknął nerwowo, wstąpiła w nią radość. Znając własną odpowiedź, promiennym uśmiechem dodała odwagi mężczyźnie, z którym pragnęła spędzić resztę życia.

- Cudowny pomysł.

Trzymając się za ręce, ruszyli przez hol hotelowy ku schodom wiodącym na plażę. I wtedy to się stało.

- Connor? - zawołał za nimi czyjś głos.

Connor znieruchomiał. Lily nie zareagowała na nie znane jej imię. Zrobiła jeszcze krok i przystanęła.

- Mac? - Spojrzała pytająco.

- Connor, kochanie! - Od stolika na tarasie wstała ponętna brunetka i sunęła w ich stronę niczym parostatek. - Co za niespodzianka! Co porabiasz na Coronado?

Nie było sensu udawać kogoś innego. Oto spotkał kobietę, z którą przed pięciu laty spędził trzy upojne miesiące.

- Wpadłem na parodniowy urlop - odrzekł, świadom zakłopotania swojej towarzyszki.

Rozpaczliwie poszukując sposobu wyplątania się z sieci kłamstw, przedstawił sobie panie.

Kelly Donovan przypatrywała się Lily z nie skrywanym zainteresowaniem.

- Miło mi. Mieszkasz gdzieś w okolicy? - zagadnęła.

Lily doszła do wniosku, że dzieje się coś dziwnego. Znajoma Maca sprawiała sympatyczne wrażenie, ale on sam był nienaturalnie spięty.

- Pochodzę ze stanu Iowa. - Lily domyśliła się, że rozmawia z dawną kochanką Sullivana. - A teraz mieszkam w Los Angeles.

- Interesujące. A skoro mowa o Los Angeles... - Kelly zwróciła się ponownie do Connora, który zrozumiał, że nic nie uchroni go przed katastrofą. - Gratuluję ostatniego nabytku. Kiedy usłyszałam o nowym właścicielu Xanadu, od razu przypomniałam sobie, że uwielbiasz kino.

- Chyba się mylisz - oznajmiła Lily. - Mac pracuje w Xanadu, ale z pewnością nie jest właścicielem wytwórni.

- Mac? - Kelly przenosiła bystry wzrok z ufnej twarzy Lily na kamienne oblicze Mackaya i z powrotem. - O rany.

Zdaje się, że mąż mnie woła - mruknęła zmieszana. - Miło mi było cię poznać, Lily. Powodzenia, Connor.

Odeszła szybko do swojego stolika. Umysł Lily gorączkowo układał na nowo wydarzenia ostatnich tygodni. Przywołała w pamięci słowa Connora, że przyjechał do Los Angeles w interesach. Uchyłał się przed odpowiedzią, jak zarabia na życie. Nader mgliście wypowiadał się o nowej pracy w Xanadu.

I ostatnia noc, kiedy go rozbierała. Złote spinki do mankietów. Takie same kupiła mężowi u Tiffany'ego na pierwszą rocznicę poznania się.

- Mac?... Co ona wygadywała o tobie i Xanadu?...

Twarz Lily pobladła jak tego dnia, kiedy wyciągnął ją z morza. Pełne wargi drżały.

- To prawda. Patrzysz na nowego właściciela Xanadu Studios, Lily.

Nie chciała uwierzyć w jego słowa.

- Ale przecież wytwórnię kupiła firma C.S.Mackay Enterprises.

- Jestem Connor Mackay. S to inicjał Sullivan, nazwisko panińskie matki - wyjaśnił niskim, spokojnym głosem.

- O Boże.

Przyłożyła dygocące palce do ust. Daremnie uczyła się od Gage'a tajników ustalania tożsamości oszustów. Z drugiej strony jednak, jakże mogła przewidzieć, że tak głupio zakocha się w mężczyźnie ukrywającym prawdziwe nazwisko?

- Ufałam ci - odezwała się cichutko.

- Wiem. - Czuł siejak największy łajdak. - Na swoją obronę mogę powiedzieć, że nie postąpiłem tak bez powodu i...

Rozległ się ostry dźwięk. Lily patrzyła na własną dłoń. Uderzyła Maca, nie, Connora, w policzek.

- Okłamałeś mnie.

Jej głos zabrzmiał głucho. W oczach zgasł radosny płomień. Była jak świeca zdmuchnięta przez lodowaty wiatr. Odwróciła się na pięcie, gotowa odejść.

Chwycił ją za ramię.

- Dokąd idziesz?

- Wracam do Los Angeles.

- Nie możesz jechać sama! Nie w twoim stanie!

Wyrwała rękaw.

- Już to przerabialiśmy. Nie jestem inwalidką. Jestem po prostu w ciąży. Jeżeli nie puścisz mnie natychmiast, zacznę krzyczeć. A twoja dawna kochanka opowie bogatym przyjaciołom, że twoja ciężarna kochanka urządziła publiczną awanturę.

Connor doszedł do wniosku, że gniew jest lepszy niż oszołomienie. Pragnął, aby skierowała wściekłość na niego.

- Rozumiem, że nie chcesz jechać ze mną. Jeśli pozwolisz, wynajmę samochód z kierowcą...

- Nie! - Oczy Lily ciskały gromy. - Nie wezmę centa od pana, panie Mackay!

- Potraktuj to jako pożyczkę.

- Nie.

- Posłuchaj, masz prawo się wściekać, Lily...

- Cóż to za wspaniałomyślność!

Zignorował ironiczną uwagę.

- Jeśli nie myślisz o sobie, pomyśl przynajmniej o dziecku. Nie możesz wrócić do Los Angeles na piechotę.

Z niechęcią przyznała mu rację.

- Wezmę taksówkę do dworca autobusowego.

- A może pojedziemy pociągiem? Wykupię ci oddzielny przedział.

- Źadne: „my”. - Zastanowiła się. - Ale podróż pociągiem jest z pewnością wygodniejsza. Portier wezwie taksówkę i pojedę na dworzec.

- Nie mam nic przeciwko...

- A ja mam. - Skrzyżowała ramiona nad wypukłym brzuchem. - Potrafię sama zaopiekować się sobą i moim dzieckiem, panie Mackay. Było bardzo miło, a teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wynieś się łaskawie z mojego życia.

Nie odwracając głowy, wyszła.

Z hotelu.

Ale nie z jego życia.

Connor poprzysiągł to sobie.

ROZDZIAŁ

12

Po dwóch dniach od dramatycznego rozstania z Lily w hotelu Del Coronado Connor znalazł się w Nowym Jorku, na Long Island, w sercu dzielnicy zamieszkaanej przez najbogatszych.

Wjechał na szeroką drogę wijącą się wśród łąk i lasów. Zmierzch pograżył otaczający go krajobraz w bursztynowej poświacie. Na horyzoncie ukazała się okazała kamienna budowla - Fairview, rodowa posiadłość Van Cortlandów.

Zaparkował pod sklepieniem bramy. Zadzwonił do drzwi. Zza czterometrowych, podwójnych, mahoniowych wrót dobiegło dzwonienie kurantów, kopii londyńskiego Big Bena.

Drzwi otworzył lokaj. W westybulu stała wysoka blondynka ubrana z wytworną, stonowaną elegancją we wrzosowoszare spodnie z dzianiny i białą jedwabną bluzkę. Stroju dopełniał sznur pereł i perłowe kolczyki.

Madeline Van Cortland i Jessicę Mackay można by wziąć za siostry. W rzeczywistości były to dwie zupełnie różne osoby. Matka Connora, również urodzona w bogatej rodzinie, nie była snobką. Z zachwytem przyjęła wiadomość, że syn się zakochał i że za jednym zamachem zyska synową i wnuka.

Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy spytać o rodzinne koneksje wybranki syna. Kiedy Connor opowiedział jej o farmie Padgettów, żałowała jedynie, że rodzice Lily zbankrutowali. Zainteresowała się, czy Lily zamierza odkupić farmę i przeznaczyć ją na miejsce wakacyjnych wyjazdów. Matka Connora była serdeczna, kochająca, hojna, czego na pewno nie dało się powiedzieć o Madeline Van Cortland.

- Connor! - powitała go wyuczonym, sztucznym uśmiechem, który wykrzywił jej usta, podczas gdy reszta twarzy zachowała obojętny wyraz. - Twój telefon sprawił nam wielką niespodziankę. - Zaprosiła go do holu o marmurowej posadzce, z którego wiodły imponujące schody. - Urosłeś.

- Powiedziałbym, że to było nie do uniknięcia. Kiedy widziała mnie pani ostatnio, miałem czternaście lat.

- Tak. - Westchnęła. - Mieszkałeś wtedy z moim synem w jednym pokoju w internacie. Pamiętam, że wywierałeś na niego dobry wpływ.

Connor pomyślał, że najwyraźniej niewystarczająco. Wszedł za panią domu do salonu. Wszędzie jedwabne draperye, kryształ, sztukaterie.

- Z przykrością usłyszałem o wypadku.

- Przeżyliśmy tragedię. - Zachodziło słońce: Za przesklonymi drzwiami do ogrodu para łabędzi płynęła majestatycznie po stawie. - Życie jednak toczy się dalej. Czy podać ci coś do picia, drogi Connorze?

Mackay czuł się jak aktor w trzeciorzędnej sztuce w marnym teatrze.

- Naprawdę nie trzeba. Nie planuję dłuższej wizyty u państwa.

- Nie rozumiem. - Przerwała nalewanie whisky z ozdobnej karafki do ręcznie rźniętej kryształowej szklaneczki. - Za-

dałeś sobie tyle trudu, jadąc tu z centrum po to tylko, żeby natychmiast odjechać?

- Chciałem omówić pewną propozycję.

- Och, obawiam się, że przybyłeś nie w porę. - Srebrnymi szczypczykami wyjęła kostkę lodu ze srebrnego wiaderka. - Interesami rodzinnymi zawiaduje James Carter. W tej chwili nie ma go w kraju.

- Z pewnością może mu pani przekazać wiadomość.

Podniosła wzrok, zdumiona nutą groźby w jego głosie.

- Oczywiście.

- Chcę, żebyście odczepili się od Lily.

- Słucham?!

- Słyszała pani, co powiedziałem. Chcę, żebyście odczepili się od Lily i jej dziecka. - Connor podszedł do Madeline Van Cortland i spojrzął jej prosto w oczy. - Chcę, do diabła, żebyście zostawili Lily w spokoju.

Bogactwo i pozycja społeczna dawały kobiecie poczucie wyższości, które okazywało się przydatne w podbramkowych sytuacjach. Uniosła dumnie głowę.

- Jeśli wolno spytać, kim jest dla ciebie Lily?

- Zamierzam ją poślubić.

Oświadczenie to zrobiło wielkie wrażenie na pani Van Cortland. Zdumiona milczała.

- Prawdopodobnie zna pani pewną moją cechę - ciągnął Connor. - Potrafię chronić ludzi, których kocham.

Dał jej czas na przemyślenie tych słów.

- Grozisz mi?

- To nie groźba. To zapowiedź. Jeśli nie zaprzestaniecie działań, obiecuję, że do osiągnięcia przez dziecko pełnoletniości wasz majątek zostanie prawnie zasekwestrowany, a z całej fortuny Van Cortlandów pozostanie tylko legenda.

- Każdy sędzia w kraju orzeknie, że dziecko naszego syna należy do nas.

- Dziecko przede wszystkim należy do rodziców, a pani syn nigdy nie chciał dziecka.

- Skąd wiesz?

- Lily mi powiedziała. Van Cortland junior uciekł z kochanką, z paszportem w kieszeni i pół milionem dolarów. Nie marzył chyba o zabawach z dzieckiem czy piknikach w dniu ojca.

Kobieta zbladła.

- Skąd wiesz o pieniądzach?

- Od Lily.

- I wierzysz jej? Prostej dziewczynie ze wsi?

- Wierzę jej bez cienia wątpliwości. Tak się jednak składa, że mój przyjaciel z giełdy nowojorskiej potwierdził ten niemiły fakt. Wasz syn zdefraudował pieniądze klientów.

- To kłamstwo!

Niestety. Oboje wiedzieli, że to prawda.

- Wybór należy do pani. - Connor był już znużony tą rozmową. - Zostawcie Lily w spokoju i dalej twórcie mit wspaniałego syna. Jeszcze jeden list od adwokata, jeszcze jeden telefon albo choćby kartka z życzeniami, a zamienię wasze życie w piekło.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić! - Zimne do niedawna oczy zapłonęły gniewem. Wąskie wargi zadygotały. - Widać rodzice nie nauczyli cię szacunku dla starszych, Connorze.

- Być może, pani Van Cortland - zgodził się gładko. - Nauczyli mnie jednak czegoś ważniejszego. Korzenie naszej rodziny w tym kraju nie sięgają tak głęboko jak rodu Van Cortlandów, ale Mackayowie umieją dbać o swoje interesy.

Lily jest teraz jedną z nas. Proszę o tym nie zapominać. I niech się pani nie trudzi odprowadzaniem mnie do wyjścia. Sam trafię.

Wychodząc z rezydencji, gwizdał zadowolony z siebie.

Przyjaciółki zrobiły Lily miłą niespodziankę. Urządziły przyjęcie na cześć jej i nie narodzonego dziecka, na które zaprosiły lokatorów Bachelor Arms. Wzruszona Lily aż się rozpłakała.

Kiedy nowi znajomi wyszli już z Bachelor Arms, Lily, Blythe i Cait usiadły wśród kolorowych papierów i pudełek. Przez cały wieczór Lily zamierzała podzielić się z przyjaciółkami nowiną o wejściu w spółkę z Gage'em.

Zanim zdążyła otworzyć usta, Cait, z charakterystyczną dla niej bezpośredniością, zwróciła się do Lily z pytaniem:

- Nie sądzisz, że potraktowałaś go bezlitośnie?
- Kogo? Maca czy Connora Mackaya, tego kłamcę i oszusta?

- Daj spokój, Lily. Podczas rocznej nauki na wydziale prawa nauczyłaś się przecież, że dopóki nie udowodni się winy, uznaje się podejrzanego za niewinnego.

Lily nie zaskoczył sposób, w jaki Blythe i Cait przystąpiły do obrony Connora.

- Skłamał - upierała się.
- Tak - spokojnie zgodziła się Blythe - ale nie z egoistycznych pobudek.

- Otóż to! - Cait kiwnęła głową tak energicznie, aż zafalowały jej płomienne włosy. - Na początku nie chciałem cię po prostu martwić, że poniósł straty przez interesy z Cortlandem juniorem. A potem bieg wypadków wymknął mu się spod kontroli. Bez ciebie jest naprawdę nieszczęśliwy.

- Wygląda na to, że rozmawialiście z nim całkiem niedawno.

Lily nie miała zamiaru wypytywać o Connora. Kiedy nie otworzyła mu drzwi, wyprowadził się z Bachelor Arms. Codziennie przysyłał jej jakieś prezenty, a ona odmawiała ich przyjęcia. Poza tym nie miała od niego żadnych wiadomości.

- Jak mogę nie trafić na niego w wytwórni? - broniła się Blythe.

- A Sloan i ja jedliśmy z nim wczoraj kolację - przyznała Cait.

- Wybraliście się na kolację w jego towarzystwie? Ty i Sloan? - Tym razem Lily nie kryła zaskoczenia. - Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką!

- Jestem. - Cait zrobiła surową minę. - Jeśli nie rozmawiasz z jakimś facetem, to nie znaczy, że ja nie mogę się do niego odezwać. A poza tym tak się składa, że lubię Connora. I to bardzo.

Rozległo się pukanie do drzwi. Lily nie okazała zdziwienia.

- Znów pan - mruknęła do stojącego na progu posłańca, nawet nie spojrzawszy na pakunek. - To też może pan zabrać z powrotem.

- Nie!

Na widok pudełka szwajcarskich czekoladek Cait zerwała się na nogi. Obdarzyła posłańca promiennym uśmiechem i podpisała kwit.

- Teraz Connor będzie myślał, że się ugięłam - narzekała Lily.

- Wszystko wyjaśnię rano - oznajmiła Cait, otwierając bombonierkę. Ugryzła truskawkową trufkę i wzniosła zachwycony wzrok do góry. - Connor to smakosz.

Podawała pudełko Blythe, która wybrała białą czekoladkę

w kształcie rozgwiadzy. Lily, po krótkim wahaniu, również sięgnęła po łakocie.

- Gdybym nie była do szaleństwa zakochana w Sloanie, wyszłabym za Connora tylko z powodu czekoladek. - Cait oblizywała palce. - A już zupełnie serio, uważam, że to idealny mężczyzna dla ciebie.

- Byłam już żoną bogacza-przypomniała młoda wdowa. -I dobrze wiesz, jak to się skończyło.

- A ile dokładnie pieniędzy musiałby stracić Connor, zanim dałabyś mu drugą szansę? - spytała Blythe z właściwym sobie zdroworoządkowym podejściem do sprawy.

- Takie gdybanie nie ma sensu. - Lily uniknęła pułapki. - Obie doskonale wiemy, że nie zrzekłby się majątku.

- Może i nie. - Blythe z zatroskaniem popatrzyła na ciężarną przyjaciółkę. Makijaż nie zdołał zamaskować cieni pod oczami Lily. - Ale to wciąż ten sam człowiek, którego pokochałaś. Ten sam, który się w tobie zakochał.

- Nie kochał mnie. Urządził sobie głupią zabawę moim kosztem. - Lily sama nie wierzyła w te słowa. - Nie chcę już mówić o Connorze Mackayu - dodała. - Nie dzisiaj. Muszę się z wami podzielić nowiną.

Odłożyły spory. Przyjaciółki przyjęły wiadomość o spółce z Gage'em z radością, tak jak się Lily spodziewała. Wznosiły toasty. Żartowały. Udał się ten wieczór.

Jednak później, kiedy Blythe i Cait się pożegnały, Lily weszła do pokoju przygotowywanego dla dziecka, usiadła na używanym bujanym fotelu i zapłakała.

- Ten na pewno się panu spodoba - z promiennym uśmiechem obiecała kobieta, z którą Connor spędzał codziennie parę godzin.

- Mam nadzieję. - Przywykły do podejmowania szybkich decyzji, czuł się już znudzony długimi jazdami wokół Los Angeles w poszukiwaniu idealnego domu.

Nie chciał denerwować Lily tuż przed porodem. Postanowił dać jej czas na ochłonięcie. Zamieszkał na razie w hotelu Century Plaza, tak jak początkowo planował.

Oczekiwanie nie było łatwe. Gdyby nie uspokajające, dodające otuchy rady Blythe i Cait, już dawno rozbiłyby namiot pod drzwiami Lily.

Dom stał nad urwiskiem, przy plaży. Od pierwszej chwili Connor wiedział, że to ten.

- Naprawdę wygodny - zapewniła przedstawicielka agencji handlu nieruchomościami, wyłączając silnik mercedesa. - Z każdego pokoju roztacza się piękny widok.

Nawet z podjazdu można było dostrzec błękitne wody oceanu.

- To pokój wypoczynkowy. - Kobieta otworzyła podwójne drzwi sali z kominkiem, barkiem, bilardem i sprzętem audio-wideo.

Connor natychmiast zachwyił się olbrzymim zestawem kolejek z odtworzoną w najdrobniejszych szczegółach makietą szwajcarskiej wioski.

- Czy to stanowi wyposażenie domu?

- Właściciel proponuje dom z umeblowaniem. Wszystko do negocjacji.

Mackay wyobraził sobie jasnowłosą dziewczynkę, miniaturową kopię Lily, siedzącą w kolejarskiej czapce na stołeczku i kierującą ruchem pociągów.

- Kolejka tu zostaje.

- Świetnie. - Agentka kiwnęła głową z zadowoleniem. Była bliska zawarcia transakcji miesiąca. Podniosła klapę ste-

równi, wyglądającej jak punkt dowodzenia statku kosmicznego. - Może pani wypróbuję, jak jeździ?

Na pięć minut Mackay zamienił się w siedmioletniego chłopca. Zdecydował się kupić dom chociażby ze względu na kolejkę.

Agentka oprowadziła go po salce gimnastycznej i saunie. A Connor od razu wyobraził sobie miłość z Lily na drewnianej ławeczce. Podobne myśli nawiedziły go w kuchni o marmurowych blatach i jadalni ze stołem na osiemnaście osób.

- A oto pokoje pana i pani domu. Sypialnia, łazienka oraz salonik - zaprezentowała przewodniczka.

Wszędzie wiklinowe sprzęty, bawełniane tkaniny - Lily byłaby zachwycona. Przeszklone drzwi prowadziły do basenu, skąd rozpościerał się widok na ocean.

- Biorę ten dom. Pod jednym warunkiem.

- Jakim mianowicie?

- Trzeba przebudować pokój gościnny. W ciągu trzech dni chciałbym urządzić tam pokój dla dziecka.

Agentka straciła dobry humor.

- Nie wiem, czy znajdę dekoratora i ekipę

- Zapłacę każdą cenę.

Miał nadzieję, że Lily wybaczy mu rozrzutność. Bywają przecież w życiu sytuacje, kiedy pieniądze okazują się bardzo pomocne.

Kobieta uśmiechnęła się z profesjonalną uprzejmością.

- Z pewnością zdołamy coś zorganizować.

Przed świtem dały o sobie znać słabe bóle. Podobne wystąpiły poprzedniego dnia, ale szybko minęły, więc i teraz Lily zbytnio się nie przejęła. Uznała, że to fałszywy alarm. Wstała z łóżka o zwykłej porze i udała się do pracy. W ciągu nastę-

nych godzin bóle odzywały się od czasu do czasu, ale Lily była zbyt zajęta, by zwracać na nie uwagę. Telefon w agencji dzwonił bez przerwy. Kiedy Gage wpadł do biura, natychmiast zauważył, że z Lily coś się dzieje.

- Od kiedy trwają skurcze? - spytał, przywołując w pamięci poród, który odebrał w radiowozie na autostradzie w godzinie szczytu.

- Od szóstej rano. Nie sądziłam jednak, że to już bóle porodowe.

- Aleja tak sądzę. Jedziemy.

- Do szpitala?

Przez dziewięć miesięcy czekała na ten dzień, i oto nagle poczuła paraliżujący strach.

- A gdzie? Chyba że wolisz urodzić dziecko w agencji.

Nic nie było w stanie wyprowadzić Gage'a z równowagi i tę jego cechę Lily bardzo sobie ceniła. Szanowała także autentyczną troskę, jaką okazywał innym.

Kolejny skurcz. Tym razem silny.

- Widzę, że za późno na zmianę planów. - Usiłując zachować spokój, dotrwała do końca skurczu i z trudem podniosła się z krzesła. - Damy niezłe przedstawienie na środku drogi.

Connor otwierał właśnie długo zapowiadaną konferencję prasową dotyczącą przyszłości Xanadu Studios, kiedy przekazano mu treść telefonu Blythe Fielding - Lily rodzi. Zostawił przybyłych licznie dziennikarzy i wybiegł z sali.

Jechał jak szalowiec, łamiąc wszystkie możliwe przepisy ruchu drogowego. Na szczęście policjant na motocyklu, który go zatrzymał, okazał się ojcem sześciorga dzieci. Zapewnił niesfornego kierowcę, że przy pierwszym porodzie nie musi

się spieszyć i że żona nie będzie miała z niego pożytku, jeśli spowoduje wypadek. Obyło się nawet bez mandatu.

Salę porodową urządzono z myślą o poprawieniu nastroju przyszłych matek: ściany pokrywały tapety w żółte różyczki, okna przysłaniały koronkowe firanki. Oparta o spiętrzone poduszki Lily na wół siedziała w łóżku, które otaczały podenerwowane przyjaciółki. Zdyszany Connor stanął na progu.

- Kto wzywał pomoc do porodu? - spytał, siląc się na żartobliwy ton, jak gdyby nic się nie wydarzyło między nim a Lily, choć serce waliło mu jak młotem.

Lily nie należała do osób długo żywiących urazę. Ani do tych rzucających słowa na wiatr. Wyznała przecież Connorowi - naówczas Macowi - że go kocha, a teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała wsparcia bliskiej osoby.

- Spóźniłeś się - wytknęła mu tylko.

- Zatrzymała mnie drogówka - odparł Connor, z ulgą przyjmując koniec wojny pomiędzy nimi.

Nie odrywając oczu od twarzy Lily, podszedł do łóżka. Widział, jak cierpi. Włosy miała mokre od potu, przygryzała z bólu dolną wargę.

- Lepiej późno niż wcale - powiedziała Lily.

Connor przysiadł na skraju łóżka.

- Głęboki oddech, pamiętasz?

Niski, ciepły głos Mackaya działał kojąco, podobnie jak dłonie masujące napięty brzuch.

- Powoli i głęboko. - Zaczął oddychać razem z nią. - Na luzie. - Gładził jej biodra. - Mamy mnóstwo czasu, kochanie.

Wszyscy obecni niepostrzeżenie wymknęli się z pokoju, zostawiając ich samych.

- Świetnie sobie radzisz - zachęcał Connor, delikatnie gładząc brzuch Lily. - Pójdzie jak po maśle.

- Jesteś kłamczuchem. Tak samo jak pielęgniarka z przekłętej szkoły rodzenia - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Skurcz minął. Wyczerpana, spocona Lily opadła na poduszki. Dla Conora była najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Przepraszam.

Doszedł do wniosku, że mimo okoliczności powinien to powiedzieć. Wspólnie czekali z radością na dziecko - nowe życie. I tylko to się liczyło. Jakże Lily mogła mu nie wybaczyć?

- Przyniosłem ci prezent.

Wyjął z kieszeni szare aksamitne pudełeczko. Kiedy wręczał je Lily, czuł się jak nastolatek zapraszający dziewczynę na pierwszą randkę.

Równie zdenerwowana jak on, trzęsącymi się palcami otworzyła prezent.

- Och, Mac - westchnęła, widząc złoty piercionek w kształcie dwóch dłoni trzymających serce. - Prześliczny.

- Należał do mojej prababki. - W tej chwili Connor nabrał pewności, że wszystko dobrze się skończy. - Pradziadek przywiózł go statkiem z Irlandii dla narzeczonej. Wiedziałem, że miałaś diamenty. - Cait zdradziła mu, że Lily sprzedała biżuterię, aby spłacić długi męża. - Chciałem ci dać coś z głębi serca.

Oczy Lily zaszklily się ze wzruszenia. Connora stać było na każdy klejnot. Ofiarowując rodową pamiątkę, pokazał, że tak jak ona wyżej ceni rodzinę niż pieniądze. Następnymi słowami potwierdził zaś to, co od dawna podejrzewała: umiał czytać w jej myślach.

- Moja matka nie może się doczekać, kiedy cię pozna. Strasznie się przejęła, że zostanie babcią. Zapisała się nawet na kurs przyrządzania zdrowej żywności dla dzieci.

Wsunął pierścionek na palec Lily i pocałował ją tak czule jak nigdy przedtem.

Zapadł zmrok. Connor nie odstępował Lily na krok. Masował brzuch, poklepywał nogi i ramiona, wycierał twarz zimnym ręcznikiem, zwilżał usta i gardło kostką lodu, uspokajał, a przede wszystkim kibicował. Wczesnym wieczorem po raz wtóry wpadły Blythe i Cait.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany moment - dziecko Lily przyszło na świat.

- Zostaliście dumnymi rodzicami prześlicznej dziewczynki - poinformował lekarz. - Mama była bardzo dzielna.

- O Boże! - Lily rozpłakała się ze szczęścia.

- Mamy córkę. - Zdziwiony Connor otarł łzy z policzków. - Dziękuję. - Ucałował Lily, trzymającą w objęciach małą istotkę, która momentalnie przyssała się do matczynej piersi. - Cud - stwierdził półgłosem. Jeszcze żaden widok nie zrobił na nim takiego wrażenia.

- Tak. To prawdziwy cud.

Głaszcząc maleńką główkę, Lily patrzyła na pierścionek. Ileż kochających się pokoleń symbolizowały złożone złote dłonie... Dwa miesiące wcześniej była na świecie sama, bez rodziny, która by ją wspierała w dobrych i złych chwilach. Teraz miała córkę. A obok kochającego mężczyznę, który wkrótce zostanie jej mężem. Bogactwo Connora nie było ważne. Pokochała go przecież dla niego samego, nie wiedząc nic o majątku, pozycji społecznej, ustosunkowanej rodzinie. Mieli siebie i dziecko - a przez to stali się najbogatszymi ludźmi na ziemi.

Uśmiechnęła się, z miłością w sercu, z miłością w oczach.

- Noc pełna cudów.

Cud.

Aleksandrze kręciło się w głowie, kiedy wyszła z gabinetu lekarskiego przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Niemożliwe stało się możliwe. Była w ciąży. Dokładnie od ośmiu tygodni.

Powiedziano jej kiedyś, że nie będzie mogła mieć dzieci. Pogodziła się z tym. Kiedy zdradziła tę tajemnicę Patrickowi, zapewnił ją, że to nie ma dla niego żadnego znaczenia.

Dziecko Patricka rosło teraz w jej łonie. Aleksandrę rozpieierała radość, choć wiedziała, że Walter Stern będzie wściekły z powodu komplikacji, które niewątpliwie spowoduje jej ciąża.

Roześmiana, przycisnęła dłonie do płaskiego wciąż brzucha. Wyobraziła sobie, że czuje ruchy dziecka.

Pojechała do domu, żeby powiedzieć mężowi, iż niedługo zostanie ojcem.

KONIEC